

Andre Norton

Lot ku planecie Yiktor

Tytuł oryginału: Flight in Yiktor
Tłumaczyła: Dorota Dziewońska

Rozdział 1

Zimno, jak zimno. Podkurczyć nogi... nie ruszać się. Zimno... boli... Ten duży znowu dźga ościeniem... ból. Wstać... uciec... ale jest zimno... tak bardzo... zimno.

Drobna istota wciśnięta między dwa duże wiklinowe kosze pisnęła przeraźliwie i natychmiast jedną dłonią zakryła sobie usta, by stłumić wszelkie dźwięki. Nadal jednak wynędzniałym, chudziutkim ciałkiem wstrząsały dreszcze.

Zimno... gdzie jest zimno... gdzie jest ból?

Skulone ciało drgnęło, jakby na skórze przezierającej przez łachmany poczuło bolesną chłostę. Nikt nie krzyczał, a jednak słowa dźwięczały tak głośno i wyraźnie, jakby sam okropny Russtif stał nad uciekinierem. W głowie... nie w uszach. Mowa w głowie!

Małeńka istota pragnęła zniknąć, zapaść się pod ziemię i coraz bardziej trzęsła się ze strachu. Gdzie jest zimno? Gdzie ból?

Znowu nadeszła komenda, rozkaz do wypełnienia. Pomarszczone dłonie zakryły uszy, ale to nie powstrzymało pytań rozwijających się jak suche, pozwijane liście pod dotknięciem wody... pustka w głowie. Ciało ponownie przebiegł skurcz.

Ból... Russtif za ścianą namiotu używa ościenia, a robi to ze zrećznością doświadczonego tresera, by podjudzić posępne lub też przerażone zwierzę. Nagie, podobnie jak tamte słowa z powietrza, gorącą falą napłynął ból, który spowodował kolejny jęk.

- Tutaj!

Za szczeliną, w której przycupnęła mała istota, widać było nogi... dwie pary kosmicznych butów.

- Żadnej krzywdy... nie ma się czego bać.

Zdrętwiały język przesunął się po spierzchniętych wargach. Było jednak coś, co nieco zmniejszyło strach, ukoilo go trochę.

Za ścianą Russtif warczał i pluł groźbami. Jego złość i zamiłowanie do znęcania się nad wszystkim, czego nie potrafił zwalczyć, były jak wybuchy ognia.

- Nie ma się czego bać. - Słowa znowu wdzierały się do umysłu, który musiał słuchać. Nawet zatkanie uszu nie pomagało. Żadna z obutych par nóg nie zbliżyła się ani nie odeszła. Zwinąć się, czekać na rękę, która sięgnie w dół i wydobędzie małe

stworzonko, może mocno pobije za to, że tu jest, za to, że w ogóle istnieje.

Jednak to nie był Russtif, a buty w dalszym ciągu nie ruszały się. Głowa pokryta suchymi kępkami gęstych włosów powoli wychyliła się w górę przyciągana całkiem wbrew woli przez nowy ton... ..bardzo dziwny ton... w tym myślowym języku. Wielkie oczy rozejrzały się.

Daleko od miejsca, gdzie spodziewał się ujrzeć Russtifa, dostrzegł tych dwoje. Zawsze kręcili się tu jacyś obcy, niektórzy o równie dziwacznych manierach jak więzieni artyści Russtifa. Tak więc nie było nic dziwnego w ich obecności, zdumiewało raczej to, jak stali obok siebie, patrząc w dół. Bez obrzydzenia czy ciekawości, lecz w sposób, którego mały uciekinier nie potrafił zrozumieć.

- Nie bój się. - Głos był miękki. Mężczyzna użył języka obiegowego, rozpowszechnionego w tej dzielnicy dostarczającej rozrywek załogom statków.

Miał bardzo jasną cerę i siwe włosy, choć nie był stary. Niezwykle jasne brwi biegiły łukiem w gore i sięgały niemal linii włosów, oczy zaś były zielone, tak błyszczące, jakby w każdym skrzyły się małe ogniki.

- Nie ma się czego bać. - Tym razem odezwała się kobieta.

Obok jasnowłosego towarzysza wyglądała niczym płomień. Jej włosy, tak czerwone jak jedna z lamp olejnych Russtifa, uczesane były w warkocz okalający głowę na kształt ciężkiej korony. Była...

Mała istotka zaczęła pomału wstawać. Ręce sięgnęły ku krawędzi wielkiego kosza i pomogły skulonemu ciału wyprostować się na tyle, na ile pozwalała natura. Było to bowiem bardzo przygarbione ciało, wypchnięte w przód przez nieregularny garb na wysokości ramienia, tak że głowa musiała podnieść się pod niewygodnym kątem, by jej właściciel mógł w ogóle zobaczyć tych dwoje.

Ramiona i nogi garbusa były cienkie, ich zielonkawą skóre pokrywał brud. Gęstwa nie czesanych włosów była czarna, miejscami szara od brudu.

- Dziecko - odezwał się kosmiczny wędrowiec. - Co...

Kobieta wykonała gest ręką. Wyglądała, jakby czegoś nasłuchiwała. Czyżby też słyszała Toggora?

- Tutaj jest jeden, tak - powiedziała. - Ale jest jeszcze ktoś. Czy nie tak, maluchu?

Odpowiedź została wydobyta intensywnym spojrzeniem jej oczu... nadeszła, nim myśl zdołała ją ostrożnie ująć w słowa.

- On... Russtif... on zmusiłby Toggora do gry. Jest zimno... za zimno. Toggor

cierpi z zimna... od bata.

- Więc?

Nachyliła się, by ująć w dłoń podbródek tej małej, wykoślawionej postaci. Od jej dotyku, od koniuszków jej palców, popłynęło coś ciepłego i dobrego wprost do drżącego dała.

- Toggor to kto?

- Mój... mój przyjaciel. - Choć była to niezbyt dokładna odpowiedź, to właśnie te słowa wydały się mu najtrafniejsze.

Mężczyzna syknął. Kobieta zacisnęła usta. Była zła... ale nie tak jak Russtif, hałaśliwy i zawsze gotów zadać cios... jej gniew nie był zwrócony przeciwko swemu rozmówcy.

- Chyba znaleźliśmy to, czego szukamy - odezwała się ponad wygiętą głowę do swojego towarzysza. - A kim ty jesteś?

- Znów płynęło od niej ciepło.

- Śmierdziel. - Dawno temu przyłgnęło do niego to pogardliwe imię oznaczające zupełne odtrącenie, brak akceptacji.

- Biegam na posyłki. Robię, co mogę. - Duma, którą rzadko odczuwał, spowodowała lekkie uniesienie ramion.

- Dla Russtifa? - Mężczyzna wskazał namiot z tym.

- Russtif ma Jusasa i Sema. - Śmierdziel potrząsnął głową.

- Ale ty też jesteś tutaj.

- To przez Toggora. Ja... mu... przynoszę... - Koścista dłoń pogrzebała w zmiętym ubraniu. Po raz drugi ciepło tej kobiety sprawiło, że zdobył się na powiedzenie prawdy. - Przynoszę... to. - Trzymał nieświeżo wyglądający ochłap. - Russtif nie karmi Toggora dobrze. Chce, żeby walczył o jedzenie. Toggor tam... umrze! - Ostro zarysowany podbródek zadrżał.

Wszyscy usłyszeli trzask uderzenia i narastający szmer przekleństw dochodzący zza ściany namiotu.

- Toggor walczy, a oni się zakładają. Russtif nigdy przedtem nie miał takiego zawodnika.

- Więc - odezwał się mężczyzna - zobaczmy tego wojownika, Maelen. I Russtifa. Bardzo jestem go ciekaw.

Kobieta skinęła głową. Puściła spiczasty podbródek, by chwycić za łachmany pokrywające garb na ramieniu. Czego ona chce od Śmierdziela?

- Chodź! - Jej uścisk nie zelżał. Popchnęła go do przodu za mężczyznę, który chodził, kiwając się jak ktoś, kto większość życia spędził w kosmosie, a który teraz kierował się w stronę wejścia do królestwa Russtifa. Nawet nie spytali schwytanego, czy chce im towarzyszyć. Uścisk, który go z nimi ciągnął, nie słabł. Jednak myśl o ucieczce nie wiadomo dlaczego zniknęła.

Gdy tylko weszli do namiotu, w nozdrza wdarł się wszechobecny odór - zapach Russtifa - brudnych klatek ze słabymi i chorymi więźniami. Biedne istoty mruzczały i skamlały, aż Russtif wrzasnął i zapadła śmiertelna cisza.

Był to duży mężczyzna, który niegdyś szczycił się siłą, a obecnie opływał w fałdy tłuszczu. Jego łysa czaszka połyskiwała oliwą w świetle lampy, którą postawił na stole obok klatki - więzienia Toggora. Podniósł głowę, ukazując marsowe oblicze. Po chwili z wyraźnym wysiłkiem zdobył się na miły uśmiech.

- Szlachetna Fem, szlachetny Homo, czym mogę służyć?

- Odwrócił się plecami do stołu, a oścień szybko położył na blacie. Nagle dojrzał Śmierdziela.

- Czy ten śmieć znów coś przeszkrobał? - Z wysiłkiem zrobił krok naprzód i podniósł dłoń, jakby chciał wymierzyć cios w garbate plecy.

- A jakich to przestępstw już się dopuścił? - spytała kobieta.

- Taki złodziej, łajdus, chodzące ścierwo, potwór jak ten? Wszystko, co tylko możliwe, by szkodzić uczciwym ludziom.

- Może taki jak wielce szanowny handlarz zwierząt Russtif? - zapytał mężczyzna.

Uśmiech Russtifa zaczął pomału gasnąć, lecz wciąż jeszcze się utrzymywał.

- Takim jak ja i wszystkim innym. Właśnie przedwczoraj przyłapałem tego łajdaka na kombinowaniu przy klatce. Miał wtedy szczęście, bo dostałby nauczkę. Takie odpady powinno się wyrzucać, żeby nie zatruwały życia innym.

- Otwierał klatkę? Czy to może ta? - Mężczyzna wskazał klatkę na stole.

Russtif przestał się uśmiechać. Zacisnął dłoń w pięść, która jak uderzenie młotem miała spaść na garbate plecy.

- Skąd takie przypuszczenie, szlachetny Homo? Czyżby ten śmieć wygadywał jakieś łgarstwa, którym wierzysz?

- Wierzę, że masz smaksa do walki - wtrąciła kobieta i Russtif znowu przywołał swój sztuczny uśmiech.

- Najlepszego, szlachetna Fem, najlepszego! Stawia się na niego stelary, nie

zwyczajne miedziaki, i wygrywa się stelary! - Przesunął się wzdłuż krawędzi stołu, by goście mogli lepiej podziwiać jego cenną własność.

Kobieta lekko się nachyliła i wnikliwie przyglądała się czemuś, co przypominało kłębek włochatych szmat zwiniętych pośrodku klatki. Śmierdziel z początku próbował się wyrwać, ale potem stał już spokojnie. Nieznajoma przemawiała myślami do Toggora, ten jednak nie odpowiadał. Zupełnie jakby nie słyszał albo nie słuchał.

- Oni... dobrzy. - Na początku umysł Śmierdźdźla nieświadomie sięgnął tam, gdzie połączył się z tą drugą wiązką pokrzepiających myśli.

Odpowiedź Toggora nie miała formy słów. Były to raczej emocje: ból, strach, i chwilami, bardzo rzadko, rodzaj prymitywnego zadowolenia. Chłopiec pomyślał więc „dobrzy”, nawet „pomoc” i Toggor chwycił się tego łąpczywie, jakby co najmniej już otwarto jego miejsce tortur.

Smaks przytulił mocno kłab łap do swego owłosionego ciała.

Groźne pazury na końcu pierwszych czterech były ze sobą mocno splątane, gdy stworzenie odpowiadało raczej na zapewnienia Śmierdźdźla niż na bardziej precyzyjny przekaz kobiety.

Toggor nie był piękny. Gdyby urósł większy, może i byłby takim monstrem, na którego widok ludzie z wrzaskiem uciekają, gdzie pieprz rośnie. Jego ciało, pokryte sztywnymi włosami tak grubymi, że wyglądały jak kolce, było barwy szarawej czerwieni, jak węgiel ogniska tłący się w popiele. Każdy taki kolec zakończony był ciemniejszą czerwienią, niczym zanurzony we krwi. Zwierzę miało osiem długich owłosionych nóg, a pazury par przednich, od wewnętrznej strony, zakończone były zębami jak upiły.

Jego ciało składało się z dwóch owalnych brył: przedniej mniejszej i tylnej większej z talią nie grubszą niż dwie nogi trzymane obok siebie, a trzy pary oczu były w tej chwili wpuszczone w głąb głowy wraz z podtrzymującymi je szypułkami. Ogólnie rzecz biorąc, był brzydki, a ta jego szpetota nie zwiastowała szybkich i groźnych ataków.

Brzuch Toggora włócił się po podłodze klatki i Śmierdziel poznał, że jest on nie tylko brudny, ale i głodny. Wrzucenie go do półokrągłej klatki z innym przedstawicielem tej samej rasy i kawałkiem surowego mięsa, jako nagroda dla zwycięzcy, obudziłoby u niego instynkt walki. W reakcji na wiązkę jego myśli smaks uniósł jedną przednią łapę i skrobął błagalnie pazurem - przyjaciel ma jedzenie.

Russtif trzyma ręce z dala od ościenia. Czy ośmieli się go użyć w obecności tych dwojga? Śmierdziel nie wiedział, ale łamiąc długo przestrzeganą zasadę samozachowawczą, ubił w rękach odpadki skradzione z zaplecza u rzeźnika i dokładnie oceniwszy odległość, wrzucił ten zlepek do klatki w chwili, gdy Russtif swymi małymi przebiegłymi oczkami przyglądał się kobiecie. Toggor natychmiast pochwycił szczękami ohydnie wyglądający kęs.

Russtif wrzasnął i zamachnął się jedną z tych swoich ciężkich pięści na Śmierdziela, lecz nie dosięgnął zamierzonego celu. To kobieta lekko odsunęła swojego więźnia z drogi, a mężczyzna zadał handlarzowi ostry cios w nadgarstek, na co ten zareagował okrzykiem złości.

- Co to ma znaczyć?! - Russtif zdawał się puchnąć, jakby masa jego ciała nagle zaczęła rosnąć.

- Nic.

- Nic? Pozwalacie temu śmieciowi wrzucać truciznę do mojego smaksa i to jest nic? No, to niech strażnicy zdecydują, czy to naprawdę nic.

Tego Śmierdziel się nie spodziewał. To niesłychane, żeby Russtif powoływał się na prawo. Handlarz tymczasem przesuwał się wzdłuż stołu, spoglądając to na mężczyznę stojącego w dość swobodnej pozie, to na Toggora, to na kobietę, zupełnie jakby się obawiał, że za chwilę wszyscy oni zjednoczą się przeciwko niemu. Śmierdziel jeszcze raz spróbował wywinąć się z uścisku, który go tu przywiódł, lecz bez powodzenia. Co prawda, dłoń trzymająca łachmany na garbie nie zacisnęła się, lecz wyrwanie się było i tak niemożliwe.

- Ten smaks... podaj jego cenę. - To nie mężczyzna, lecz kobieta odezwała się cicho. Russtif lekko się uśmiechnął, pokazując ciemne, cuchnące kołki zębów.

- Dobra passa nie ma ceny, szlachetna Fem. - Przestał już odsuwać się od tych dwojga. Stał teraz przy końcu stołu, a od gości oddzielała go klatka z Toggorem. Smaks skończył jeść ten kawałek padliny, który Śmierdziel zeszkrobał z wyrzuconej tuby, i znowu zwinął się w kłębek stanowiący jego jedyną ochronę od chwili, gdy przed godziną Russtif wycisnął jad z jego pazurów.

- Ale dobra passa zawsze kiedyś się kończy - odparła kobieta tak wyprostowana, że tylko koniuszki jej palców dotykały chłopca. Mimo iż uścisk był słaby, mały więzień nie miał możliwości wyzwolenia się. - A wszystko ma swoją cenę. Wystawiałeś tego smaksa dziesięć... dwadzieścia... może trzydzieści razy, głodząc go między walkami, żeby dla ciebie zwyciężał. Teraz tli się w nim już tylko

mała iskierka życia. Czyżbyś wolał go zabić, niż na nim zarobić?

- Śmierdziel oblizał poblizłe wargi swoim ciemnym językiem.

- Toggor... - Nawet nie wiedział, że wymówił to na głos, póki dźwięk tego słowa nie dotarł do jego uszu.

Przybysz z kosmosu przysunął nadgarstek bliżej lampy. Światło ukazało wyświetlacz tarczy płatniczej. Gdy Russtif to ujrzał, w jego małych oczkach pojawił się nowy błysk. Wszystko, o czym mówili, było prawdą. Ten smaks jest... czy raczej był... silnym zawodnikiem, najlepszym, jakiego kiedykolwiek miał. Wydostanie go z rąk pijanego przybysza, usiłującego dotrzeć na swój statek, Russtif uważał za przysłowiowy łut szczęścia. Ale kto wie, jak długo to zwierzę jeszcze pociągnie? Russtif był pazerny, lecz odzywały się też w nim ślady kupieckiego rozsądku.

- Obcy nie mogą grać - zauważył. W roztargnieniu, palcami jednej ręki pocierał nadgarstek drugiej, ten, który uderzył nieznanomy mężczyzna.

- Mamy licencję na kupowanie - wtrąciła kobieta. - Nie wybieramy zwierząt do walki, tylko dziwaczne obce stworzenia.

- Więc wybierajcie, szlachetna Fem. Mam tu duży wybór. Jest skoczek z Grogon, suchoszczęk z Basil, jest... - Russtif wykonał szeroki gest obejmujący inne klatki i ich więźniów.

- Smaks z... skąd. Panie Handlarzu Zwierząt? Z jakiego świata pochodzi pański szczęśliwy zawodnik?

Russtif wzruszył grubymi ramionami.

- Kto wie? Nim się takiego zdobędzie... a trafiają się rzadko... był już sprzedawany z tuzin razy. A sam na pewno nie potrafi odszukać swojej ojczyzny. Toto walczy... walczy, żeby jeść. Śpi. Żyje na swój sposób, ale nikt nie może posądzić Russtifa o handel rozumnymi gatunkami. Wszystkie one są poniżej oficjalnych ustaleń, potwierdzą to rejestry.

Śmierdziel mógłby zaprotestować. Spośród więźniów Russtifa tylko Toggor nawiązał z nim kontakt. Fale umysłowe tego stworzenia były dziwne, bardzo trudne do kontaktu. Przyływały i odpływały, kiedy próbował przekazać więcej niż najprostsze sygnały i emocje. Chłopiec był jednak przekonany, że smaks jest bardziej rozgarnięty, niż sądzi Russtif.

Kosmiczny przybysz stuknął palcem wskazującym w krawędź swojej tarczy płatniczej. Ten stuk zaniepokoił stworzenia z sąsiednich klatek. Russtif odsonił swoją tarczę.

- On przynosi stelara...

Teraz kobieta roześmiała się, a w jej głosie zabrzmiała nuta nagany.

- Stelara za walkę? Jak długo jeszcze? On jest coraz słabszy, prawda? Zdaje się, że w ostatniej walce omal nie stracił pazura?

Russtif zmrużył oczy. Wpatrywał się w nią zuchwale, ale zmuszał się do mówienia z szacunkiem.

- Nie widziałem cię wśród graczy, szlachetna Fem.

- I nie mógłbyś - odparła - ale mówię prawdę.

Russtif znowu wzruszył ramionami.

- Ten brzydał wygrał stelara. I wygra znowu.

- Dwa stelary. - Tym razem odezwał się kosmiczny wędrowiec, a ton jego słów był suchy i rzeczowy.

Śmierdziel jęknął, po czym szybko podniósł swe patykowate palce, by zakryć zdradzające go usta. Dwa stelary! Toż to niewyobrażalna fortuna w tej dzielnicy wyrzutków!

- Dwa stelary, hm? - Russtif obracał te słowa w ustach, jakby fizycznie delektował się słodkim smakiem oferty.

- Trzy. - Umysłowo chorego, który składa tak nedorzeczną propozycję, można pewnie naciągnąć na więcej.

- Nie targuj się. - Głos kobiety nie był ani podniesiony, ani surowy. Nie była to też groźba. Śmierdziel jednak zadrżał i wtulił głowę w ramiona, by nie widzieć jej twarzy. Chociaż odkąd sięga pamięcią, zawsze uciekał przed groźbami i przekleństwami, nigdy jeszcze nie słyszał takiego tonu. Co to za kobieta? Pewnie jakaś wielka dama, której nikt by nawet nie podejrzewał o wizytę w takiej dziurze. Powinna być niesiona w lektyce na ramionach sług, ze świtą u boku. Kim ona jest?

Jej rozkaz odniósł natychmiastowy skutek. Pięści Russtifa opadły na stół, a jego oczy zapłonęły czerwienią. Śmierdziel spodziewał się usłyszeć przekleństwa i wrzaski wyganiające tych dwoje z namiotu, ale nie padło ani jedno słowo. Zamiast tego tłuste policzki Russtifa stały się purpurowe, a on sam wyglądał, jakby dusił się własną śliną.

- Dwa stelary - powtórzył obcy mężczyzna głosem równie cichym jak głos kobiety, lecz bez takiej siły. Był to jednak również ton nie znoszący sprzeciwu.

Russtif ryknął niczym rozwścieczony grom, jego purpurowe policzki przybrały jeszcze intensywniejszą barwę. Mocno uderzył w klatkę ze smaksem, tak że ta zaczęła

sunąć po tłustym blacie.

- Dwa stelary. - Wykrztusił z takim wyrzutem, jakby mu proponowano tylko miedziaka.

Mężczyzna zaczął wystukiwać na swojej tarczy przelew z własnego konta na konto Russtifa.

Podskakująca klatka omal nie spadła ze stołu, ale Śmierdziel zdążył pochwycić ją swoją szponiastą dłonią. Po raz pierwszy garbus ośmielił się ponownie zbliżyć do Toggora.

- Oni są dobrzy. - Na pewno każdy byłby lepszy od Russtifa, ale w myślowym dotyku tej kobiety było coś obiecującego. Myślami nie da się tak kłamać jak słowami.

Kobieta nie próbowała brać klatki, ale nie poluzowała też uścisku na łańchmanach Śmierdziela. Pociągnęła go lekko w stronę wyjścia z namiotu. Znaleźli się na zewnątrz, gdzie zapadający mrok rozpraszały pochodnie i migające lampy innych namiotów, dając jako taką widoczność.

Po chwili dogonił ich mężczyzna.

- Kłopoty? - Kobieta nie użyła słów, lecz komunikacji myślowej, którą Śmierdziel rozumiał bez trudu.

Mężczyzna nie potrafił zaśmiać się w tym myślowym języku, lecz w jego odpowiedzi było coś równie beztróskiego jak śmiech.

- Kłopoty? Nie. Może przez chwilę będzie trochę skołowany, ale potem pogratuluje sobie udanej transakcji. Szkoda, że nie możemy wyczyścić całej tej nory.

- Myślisz o swobodzie?

Śmierdziel pochwycił nie tylko słowa, lecz obraz... obraz przedstawiający łapy, nogi i macki owijające się wokół drutów, opanowujące zamki klatek w namiocie z tyłu...

- Pochyl się... tak... pchaj. Biegnijcie, maleństwa... uciekajcie!

Śmierdziel poczuł dotknięcie na własnej pokrytej brudem dłoni. To smaks wysunął przednią łapę przez otwór w drucianej sieci i chwycił pazurami za uchwyt klatki. Jak tamci w namiocie, Toggor odebrał informację i działał, jak nakazywał obiecujący rozkaz.

Sapiąc garbus przytulił klatkę do siebie. Zrobił to jednak za późno, ponieważ małe zwierzątko już się wyzwoliło i wszystkimi czterema pazurami wczepiło się w łańchmany na piersi garbusa. Śmierdziel upuścił klatkę i omal się o nią nie potknął, lecz silna dłoń przytrzymała go za kościste ramię i pomogła utrzymać równowagę.

Chłopiec obiema dłońmi objął Toggora, zupełnie nie bojąc się ostrych pazurów. Niewielka istotka umościła się w nich od razu tak, jakby były bezpiecznym gniazdem. Wtedy te dłonie wyciągnęły się do mężczyzny, tak wysokiego i prostego, że Śmierdziel musiał boleśnie naciągnąć szyję, by spojrzeć mu w twarz, i ofiarowały smaksa temu, który zapłacił tak niewiarygodną cenę, by go wyzwolić.

- Trzymaj go dobrze, malutki. Przekaż mu, że będziemy się nim opiekować... jest głodny i spragniony. I... - Język myśli był ciepły i czuły. W swoim krótkim, twardym życiu garbus nigdy takiego nie słyszał. - I ty też.

Tak oto ten, który dotąd zawsze chyłkiem przemykał w ciemnościach, kroczył teraz tak wyprostowany, jak tylko pozwalało mu powyginane, niezgrabne ciało, z przyjacielem w dłoniach i w towarzystwie obcych, zachowujących się tak, jakby był równie wysoki i zgrabny jak oni. To było tak niewiarygodne, a przecież prawdziwe!

Rozdział 2

Dwukrotnie, gdy mijali patrole pilnujące porządku wśród różnorodnej rzeszy kupców i cwaniaków, jacy zwykle gromadzą się wokół portów kosmicznych, chłopiec próbował się wyrwać. Zanurkowałby już nawet w ciemność, gdyby nie ten uścisk kobiety, nakazujący iść prosto przed siebie aż do niewidzialnej granicy między Obrzeżami a szanowaną częścią miasta.

Słabe światło zmierzchu wystarczało Śmierdzielowi, by widzieć spojrzenia, jakimi ich obrzucano. Przechodnie przyzwyczajeni do różnych dziwołagów z Obrzeży zdawali się uważać ten mały oddział za coś wyjątkowego. Jednak przybysze z kosmosu jakby nie dostrzegali spojrzeń i komentarzy, których byli przyczyną, i ciągnęli ze sobą Śmierdziela jak kogoś, kto ma pełne prawo im towarzyszyć.

Doszli do jednego z dużych pawilonów dla podróżnych. Z szerokiego wejścia wydobywało się intensywne światło, a przy drzwiach stali strażnicy. Garbus wyciągnął szyję, gotów do uchylenia się przed uderzeniem czy kopniakiem. Zauważył, że strażnik po prawej uczynił krok do przodu, jakby chciał zastąpić im drogę, lecz wycofał się, gdy nieznajomi zupełnie go zignorowali.

Cała trójka przeszła przez szeroki hol z pierścieniem luksusowych sklepów i tłumem ludzi i udała się w stronę jednego z talerzy transportowych, o których Śmierdziel słyszał, ale nigdy ich nie widział. Teraz był on tylko do ich użytku, a inni rozstępowali się, gdy ich grupka zbliżała się do pojazdu. Transporter zawirował w górę, po czym skierował się do jednego z otwartych pasaży trzy poziomy ponad holem. Chłopcu zrobiło się niedobrze, zaczęło mu się odbijać. Niewidoczne ściany z plastiszkła nie dawały poczucia bezpieczeństwa.

Odbiło mu się po raz trzeci, gdy zatrzymali się wreszcie przed jakimiś drzwiami. Mężczyzna wyciągnął rękę, by nacisnąć płytkę zamka, po czym drzwi wsunęły się w ścianę, robiąc im przejście. Toggor wiercił się i opierał odruchowo zaciśniętym dłoniom Śmierdziela. Były tu luksusy, jakich śmieć z Obrzeży nigdy dotąd nie widział. Jego zdeformowana stopa zanurzyła się w gęstym dywanie o intensywnej, zielonej barwie i dziwnym, ostrym zapachu.

Nie było tam dymiących pochodni ani lamp. Same ściany błyszcząły, a gdy drzwi się zamknęły, ten blask stał się jeszcze mocniejszy. Pod jedną z nich po lewej stronie ciągnęła się szeroka kanapa ze stosem poduszek. Wszędzie ułożone były,

jedna na drugiej, poduszki, a obok nich jakieś niskie stoliki czy półki z mnóstwem rzeczy. Śmierdziel nie miał czasu im się przyjrzeć, ponieważ ściskająca go dłoń przyciągnęła go do pierwszego stolika, z którego mężczyzna szybko odsunął jakieś taśmy i dziwnie ukształtowaną miskę.

- Połóż tu smaksa. - Kobieta nie użyła komunikacji myślowej, lecz języka handlowego i puściła Śmierdziela, by zbliżył się do pustej już powierzchni. - Może sobie pobiega?

Śmierdziel oblizwał wargi, suche od wiecznie towarzyszącego mu strachu. Kupili tego smaksa. Może Śmierdziel był im potrzebny tylko do przyniesienia go tutaj. Teraz mogą już nie potrzebować jego zdeformowanego, powyginanego ciała.

Posłusznie rozluźnił palce i umieścił pokrytego kolcami stworka w miejscu wskazanym przez kobietę.

- Zostań, oni są dobrzy - pomyślał Śmierdziel, choć nie mógł przecież być tego pewien!

Toggor przykucnął i zwinął się w kłębek, obejmując nogami kuliste ciało. Szypułki oczu na najeżonej głowie wysunęły się odrobinę i wszystkie oczy zaczęły się nerwowo rozglądać, jakby szukając, z której strony nastąpi atak.

Mężczyzna podszedł do ściany i przycisnął jakieś guziki. Wysunęła się półka, a na niej taca z kilkoma małymi pojemnikami i talerzami. Położył tacę na stole, na którym przycupnął Toggor.

- Co on je? - Znów język handlowy.

Śmierdziel sam poczuł suchość w ustach i pieczenie w żołądku, gdy kosmiczny podróżnik uniósł pokrywy talerzy, ukazując różne potrawy..

- Mięso - odparł Śmierdziel i schował ręce za siebie, żeby nie wyrwały się do skradzenia czegoś z tych dobroci.

- Dobrze.- Podróżnik przysunął dwa talerze bliżej smaksa, ale Toggor nie poruszył się. Ten dziwny wzór myślowy, który docierał do Śmierdziela, wyrażał obawy.

- Toggor chce wiedzieć, gdzie ma walczyć - przetłumaczył Śmierdziel.

- Nie ma walki, tylko jedzenie. Powiedz mu to! - Kobieta nie przytrzymała już chłopca, ale sięgnęła dłonią do zadartej w górę głowy i lekko dotknęła miejsca ponad i między zaczerwienionymi oczami.

- Nie walczyć... jeść. - Śmierdziel z trudem dopasowywał swoje myśli do wzoru zrozumiałego dla Toggora.

Przez dłuższą chwilę wydawało się, że smaks nie rozumie albo zrozumiał i nie wierzy. Potem jedna łapa tak szybko rzuciła się na najbliższy talerz, że niemal nie było jej widać, gdy chwyciła leżący tam kawałek i przenosiła go do drżących szczęk.

Kiedy smaks zaspokoił już pierwszy głód i do opróżniania talerza zaczął używać dwóch przednich łap, kobieta znów się odezwała, tym razem nie językiem handlowym, lecz mową, która wyraźnie zabrzmiała w umyśle Śmierdziela.

- Ty też jedz. Jeśli chcesz jeszcze czegoś, powiedz.

Śmierziel poczuł się zapewne jak Toggor kilka chwil wcześniej: to może być jakaś pułapka. Dlaczego go tu sprowadzono... Jednak, tak samo jak w przypadku Toggora, głód zwyciężył nad strachem i chłopiec pochwycił płaskie, okrągłe ciastko z galaretką, które delikatnie rozpląnęło się w ustach. Nie miał oczu na szypułkach, którymi mógłby obserwować wszystko wokół, ale używał własnych, najlepiej jak potrafił. Jadł tak szybko, że smak potraw gubił się w błyskawicznym żuciu i przetykaniu.

Wszystko wskazywało na to, że nie ma w tym żadnego podstępu. Jadł coraz wolniej, bo żadna dłoń nie zamierzała wyrwać mu jedzenia, żadna stopa nie podnosiła się, by ciężkim butem kopnąć kościste ciało. Przez wszystkie te lata, które Śmierziel obejmował pamięcią, nigdy nie został ugoszczony taką ilością jedzenia.

Gdy skończyli, na stole stały już tylko puste naczynia. Smaks zwinął się i otulił łapami. Mógłby teraz spać kilka godzin. Garbus popatrzył na stosy poduszek i zapragnął pójść w ślady Toggora. Jednak ci, którzy go tu sprowadzili, jeszcze nie skończyli.

Tym razem mężczyzna chwycił go za ramię i przyciągnął do ściany, po której przesunął dłonią. Otworzyły się drugie drzwi, za którymi był ciasny pokój - bez poduszek, tylko puste ściany i podłoga.

A więc obawy były słuszne. Chcą go tutaj zamknąć. Spróbował wykręcić się z uścisku, lecz mężczyzna trzymał mocno. Kosmiczny wędrowiec ściągnął z niego łachmany, których przegniła tkanina poszarpała się przy tym na dobre, i odrzucił je na bok. Nagi, tak że widać było wszystkie siniaki na zielonkawym ciele. Garbus pozostał wewnątrz sam, drzwi zaś zamknęły się, nim zdążył rzucić się w ich stronę w desperackiej próbie ucieczki. Ze ścian zaczęły tryskać strumienie wody i ciepłem głaśkać ciało. Z błyszczących powierzchni wysunęły się dwa metalowe ramiona i pochwyciły Śmierdziela. Żeby go utopić? Nie, szorowały małe ciało, zdrapując brud, który od zawsze był jego nieodłączną częścią. Nie opierał się już. Stał spokojnie i

pozwaliał narastać przyjemności, czysty jak nigdy nie mógłby być ktoś taki jak on. Nawet rozczochrane włosy zostały umyte i uczesane, tak że ich mokre, kręcone końce dotykały garba.

Skóra w tym miejscu różniła się od tej, która pokrywała resztę ciała. Śmierdziel nigdy nie widział się w lustrze, lecz już dawno wyczuł palcami, że jest ona gruba i twarda, prawie jak paznokcie, z grzebieniem poprzez środek pleców, którego mógł dotknąć tylko przy bolesnym przekrzywieniu. Czucie w tym miejscu było niewielkie, prawie żadne.

Woda przestała się lać i drzwi ponownie się otworzyły. Jednak kosmiczny przybysz nie wywlókł go, tylko wyciągnął ramię i mocno przycisnął kciuk do ściany.

Przedtem była woda, teraz pojawił się wiatr, ciepły, osuszający. Zrozumiawszy cel jego podmuchu. Śmierdziel zaczął się powoli obracać. Nawet włosy, które tak gładko przylegały do głowy, zaczęły podfruć w górę i na boki.

Po chwili podmuch ustał i gdy chłopiec spojrzał rozczerowany w górę, wyłoniła się ręka mężczyzny ze zwiniętym kawałkiem tkaniny. Garbus odebrał ten tobolek i rozwinął go. Była to tunika, czysta, biała, z delikatnej wełnianej tkaniny nie znanej żadnemu żebrakowi z Obrzeży.

Być nakarmionym, czystym i mieć na sobie całe ubranie - w najśmielszych marzeniach Śmierdziel nigdy nie posunął się tak daleko. Szponiaste palce z żalem gładkały fałdy miękkiego materiału. Jeden spacer w znane mu ciemności i to okrycie padnie łupem silniejszych.

Wyszedł z miejsca kąpieli mrugając. Od bardzo dawna jego oczy nie roniły łez. Gdzieś w zakamarkach pamięci pozostało wspomnienie czasu, gdy spazmy dławily gardło i wstrząsały ciałem, gdy istniał tylko ból, ból... coraz większy ból. Potem nadszedł dzień, gdy drzwi pozostały nie strzeżone, ponieważ Śmierdziel był już bezużyteczną, nieznaną rzeczą, niepotrzebną nikomu. Zebrał siły, by się wyczołgać i rozpocząć życie w ciemnościach. Ale był też okres wcześniejszy, lecz tak odległy, że już prawie zapomniany. Czystość i ubranie przywołały to wspomnienie. Jednak zaraz potem zrodził się strach tak głęboki, że chłopiec rzucił się na podłogę i skulił, czekając na nadejście tego, co przerwało tamte dobre chwile. Głowę rozsadały przerażające myśli...

- Czemu tak się boisz, maleńki?

Nie podniósł wzroku. Te słowa nie sprawiały bólu głowy, ale przecież kogo może interesować, co stanie się ze śmieciem z Obrzeży albo jaka jest jego przeszłość?

- Nas to interesuje, maleńki. I nie masz się czego bać.

Śmierdziel z wysiłkiem uniósł głowę, przechylając ją na bok.

- Jestem Śmierdziel - powiedział to i tak myślał. Myślał o podłości, która nadała mu to imię.

- W żadnym razie. Jesteś tym, za kogo się uważasz, maleńki. Czy ty sam nazywałeś siebie tym określeniem, oznaczającym odpady i smród?

Była zbyt bystra, domyśliła się, wiedziała. Rękami zakrył twarz, nie potrafił jednak ukryć swoich myśli, które oboje mogli wyłowić, tak jak Toggor wygrzebuje kawałki mięsa z wnętrza muszli.

- Faree? - Kobieta wymówiła to imię na głos. Teraz go wyśmieją i wypchną czym prędzej w zapadający zmrok, na Obrzeża, gdzie będzie mu jeszcze trudniej niż przedtem przez to, że na chwilę się stamtąd wyrwał.

- Śmierdziel! - poprawił głośno, a jego głos przeszedł niemal w pisk. - Śmierdziel! - Może przywołanie tego imienia pomoże uniknąć szyderstw i drwin.

Kobieta uklękła, tak że nie musiał nawet za bardzo wykrzywiać głowy, by widzieć jej twarz. Dłońmi delikatnie dotknęła koślawych ramion.

- Faree. Trzymaj się tego, co masz od narodzin. Nie zgadzaj się na to, co narzucają ci tacy, którzy nic nie widzą.

Garbus potrząsnął głową. Co ktoś, kto żyje w luksusie, może wiedzieć o życiu na Obrzeżach.

- Nie pochodzisz ze Świata Granta? - odezwał się mężczyzna.

Zadrżał. Naprawdę nie wiedział, skąd pochodzi. Odległą przeszłość przysłoniły cierpienia i strach, które przyszły potem.

- Jestem Śmierdziel. - Musiał się tego trzymać, odejść od tego oznaczało stanąć nagim i bezbronnym naprzeciw zbirów z Obrzeży. Widział już słabych kopanych i bitych na śmierć za to, że odważyli się pokazać choć odrobinę własnego charakteru.

Poczuł szarpnięcie za tę czystą tunikę, która miał na sobie. Spojrzał w dół i zobaczył, jak Toggor wczepiony pazurami w tkaninę próbuje wspiąć się do góry. Nigdy przedtem chłopiec go nie trzymał, ale nic nie było w stanie obudzić w nim strachu czy obrzydzenia.

- Dobrze. - Nie słowo, lecz uczucie sygnalizowane przez smaksa owionęło go ciepłem. Było to jak krzyk. Może to niewiele, lecz w tej krótkiej chwili smaks potrafił cieszyć się rozkoszami życia. Śmierdziel też chciałby poczuć taką radość i odprężenie.

- Możesz, jeśli chcesz.

Spojrzał zdziwiony na kobietę, która wciąż przed nim klęczała.

- Jeżeli potrafisz porozumiewać się z tym bratem... - Rozejrzała się i podniosła wzrok na mężczyznę, który natychmiast otworzył jeszcze jedne drzwi.

To, co weszło tanecznym krokiem, było stworzeniem, jakiego Śmierdziel nigdy jeszcze nie widział, choć przecież schronienia udzielały mu tylko istoty o dziwacznych kształtach. Pośród takich dziwolągów jego własna pokraczność zdawała się mniej rzucać w oczy.

- Yazz. Jestem Yazz. - Dźwięczało w myślach, gdy przybysz paradował wokół garbusa i wydawał ostre dźwięki.

Był o głowę wyższy od chłopca. Cztery smukłe, złotobrazowe nogi podtrzymywały krągłe boki i brzuch z ulizanymi włosami. Głowa była trójkątna. Grzywa z gęstwą kędzierzawych włosów opadała na wielkie oczy i łukiem porastała długą, wysmukłą szyję i ramiona.

Te uważnie przyglądające się Śmierdzielowi oczy były jaskrawo czerwone, jak klejnoty, które mogłyby zdobić lorda, a w lekko uchylonym pysku widać było lśniące czystością złotożółte zęby, o kilka tonów jaśniejsze od futra.

Jego cienki ogon kiwał się na boki. Po chwili Yazz stanął nieruchomo, przyglądając się Śmierdzielowi.

- Kim jesteś, bracie? - Przechylił głowę na bok, by lepiej przyjrzeć się chłopcu
- Nie... jest was dwóch. - Widocznie zauważył Toggora. - Duży, mały. Różni. Co...?

Słowa docierały do umysłu bez przeszkód, lecz z mniejszą siłą niż mowa podróżnych z kosmosu.

- Jestem... - Śmierdziel zaczął odpowiadać i nagle się zawahał. Nigdy przedtem nie musiał wyjaśniać, czym jest: fatalną pomyłką w świecie, który uznał go za śmiecia. - Jestem... ja... - bąkał tępo. - To... - Wziął smaksa znów w obie ręce.

- To jest Toggor. On jest smaksem.

To, że odpowiadał na pytania czegoś, co wyraźnie było zwierzęciem, nie wydawało się dziwniejsze od całej reszty zdarzeń, które nastąpiły, odkąd spotkał tych dwoje.

- Co robisz? - spytał Yazz. Ta istota przepelniona była czymś, co garbus bardzo niejasno odebrał jako zadowolenie... szczęście... choć zdefiniowanie szczęścia nie było w jego mocy.

Co on robi? Walczy, żeby żyć, i każdego dnia znajduje mniej przyczyn do

podejmowania tej walki.

- Ja... żyję - powiedział to na głos, nie myślami.

- Żyjesz. - Kobieta odezwała się tak, jakby to było ważne wyznanie. - A teraz możesz robić więcej. Skoro potrafisz rozmawiać z Małym Ludkiem, jest dla ciebie miejsce, Faree...

- Jestem Śmierdziel. - Znowu ją poprawił, lecz w głębi duszy poczuł błysk maleńkiej iskierki rodzącego się cudu. Czyżby tych dwoje... czy mogliby... Nie chciał nawet dopuścić myśli o jasności, która mogłaby być prawdą.

Wyglądało jednak na to, że ten cud nad cuda jest możliwy, bo mężczyzna zapytał:

- Nie masz krewnych, nie terminujesz u nikogo?

Śmierdziel roześmiał się urywanym chichotem, jaki rzadko wydobywał się z jego ust.

- Kto chciałby Śmierdziela? Jestem śmieciem z Obrzeży.

Kobieta szybko położyła palce na jego ustach. Jeszcze wyraźniej poczuł mocny zapach, który zdawał się tak samo jej częścią, jak skóra czy połysk włosów.

- Jesteś Faree. Nie wymawiaj tamtego imienia. I teraz jesteś w terminie u nas, jeśli chcesz. Z radością witamy kogoś, kto potrafi rozmawiać z naszym Małym Ludkiem.

W ten oto sposób Śmierdziel stał się Faree, choć dla niego wciąż było to jak sen, z którego może się nagle obudzić i wrócić do beznadziejnej codzienności. Łapczywie pochłaniał otrzymywane posiłki w ciągłej niepewności, że lada moment ta ich łaskawa szczodrość może się skończyć. Nauczył się utrzymywać ciało w czystości i reagować na to drugie imię, ale kurczył się na myśl o wyjściu na zewnątrz, opuszczeniu tego schronienia przed wszystkim, co znał do tej pory.

Chociaż pokoje w tym wysokim budynku dla podróżnych nie były domem tych dwojga, do których nauczył się zwracać per lady Maelen i lord Krip (mimo iż sprzeciwiali się używaniu przez niego tych tytułów), to dla niego były one wspanialsze od wszystkich pałaców w Świecie Grania, które widywał tylko z daleka. Było to tylko chwilowe miejsce postoju. Ci dwoje naprawdę byli z innego świata. Posiadali własny statek, chwilowo umieszczony w warsztacie, gdzie zajmowano się jego przebudową. Najdziwniejszy był fakt, że celem wprowadzanych zmian była możliwość przewożenia ciał, które nie miały być ludzkie, ani nawet o ludzkich kształtach. Miały to być zwierzęta!

Raz czy dwa zastanawiał się, czy i w nim nie widzą zwierzęcia, takiego z nadzwyczajnym talentem do porozumiewania się. Lepiej jednak być zwierzęciem i wieść życie, jakie mu oferowali, niż Śmierdzielem. Rozmawiali o nim zawsze tak, jakby był wyprostowany i wysoki, o tak kształtnym ciele jak ich własne. Po jakimś czasie (choć nigdy nie zadawał pytań, by przypadkiem kogoś nie obrazić) dowiedział się, że ich zamiarem jest zebranie wielu zwierząt, nawet takich jak Toggor, i wożenie ich od świata do świata, by pokazać, że wszystkie żywe istoty są ze sobą spokrewnione i powinny być traktowane jak bracia i siostry, a nie więzione w takich warunkach jak u Russtifa.

Na razie mieli tylko trójkę, gdyż jak Faree szybko się zorientował, udział w przedsięwzięciu zależał od zdolności do komunikacji myślowej. Był więc z nimi Yazz, również kupiony od tresera i pamiętający swoją przeszłość w górskiej krainie przed schwytaniem, był smaks i przetrzymywany w chacie obok statku bartel, zwany przez podróżnych Bojor.

Gdyby Faree nie widział, jak bartel spuszczone z łańcucha przyszedł pokłonić się Maelen i lizał jej stopy, uciekałby od jego chaty tak szybko, jak szybko niosłyby go koślawe nogi, ponieważ bartel to jedno ze straszdeł z dawnych opowieści Świata Granta. Faree widywał pazury bartla nawleczone na łańcuchy i noszone z dumą przez tych, którym udało się je posiąść.

Gdy Bojor stawał na tylnych łapach, przewyższał lorda Kripa. Jego tułów był tak masywny, że zmieściłoby się w nim trzech mężczyzn. Była to pora linienia, więc na podłodze chaty leżały kłęby szorstkich włosów, a na ciele bartla zielonoszarymi plamami przeświecała spod futra gładka skóra.

Kosmiczni wędrowcy codziennie spędzali z nim wiele godzin. Mężczyzna wymiatał wyliniałe włosy, oboje komunikowali się ze zwierzęciem. Faree, który wiedział, że wystarczy machnięcie jedną z tych olbrzymich łap, by z człowieka pozostała mokra plama, z początku trzymał się z daleka. Gdy jednak przypadkiem pochwycił myślowy kontakt z bartlem, zaczął myśleć o tej kudłatej bestii jak o innej osobie - nietypowej, dziwacznej co prawda, ale w tym względzie wcale nie różniącej się od wielu obcych, których oglądał ze swych kryjówek w okolicach portu.

Przebudowa statku przebiegała powoli. Wkrótce lord Krip spędzał coraz więcej czasu na poganianiu robotników, bo z jakiejś przyczyny on i lady Maelen pragnęły jak najszybciej wyruszyć w kosmos.

W kosmos! Faree czym prędzej porzucił ten tok rozumowania i nie chciał

więcej sięgać myślą w przyszłość. Potem wróci na Obrzeża. Tym razem... teraz...
gdy już nie ma...

Siedząc w przejściu siedziby bartła, rozpoczął ten ciąg myślowy, którego nie mógł już dłużej od siebie odsuwać. Pojadą z bartlem, Toggorem, Yazzem, a on... on będzie...

- Jedź z nami!

Faree zerwał się na równe nogi. Zacisnął dłonie i wygiął głowę pod ostrym kątem, by móc spojrzeć w twarz lady Maelen.

Myślał, że jest zajęta obcinaniem pazurów bartła. To wielkie zwierzę obgryzało je, odkąd nie mogło już ich ścierać o kamienie w odległych kanionach. Maelen nie patrzyła na Faree, ale mimo to był pewien, że to jej myśl przechwycił.

- Masz rację. Jedź z nami.

- W kosmos? - Przełknął ślinę i poczuł ból, jakby w gardle tkwiło coś ostrego.

- Jeśli chcesz, tak. - Nie patrzyła na niego nawet teraz, ale w jej myśli była taka stanowczość, że musiał uwierzyć w jej prawdziwość.

- Jeśli chcę... - Wprost nie mógł uwierzyć. To nadal ten sen, z którego miał nadzieję się nie obudzić. - Jeśli chcę... lady... - Zacisnął palce na pokracznej piersi. - Ja... ja nie chcę... niczego innego.

- A więc załatwione. - Dopiero teraz spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Poczuł się, jakby był Yazzem, zapragnął przytulić się do niej, wcisnąć nos między jej dłonie, machać ogonem, którego nie posiadał. Sen wciąż trwał!

- Znowu problem z Kem-fu. - Lord Krip pojawił się tak nagle, że Faree dopiero teraz go zauważył. - Trzeba wymienić osprzęt. - Marszczył brwi i stukał palcami po swojej twarzy, jak (Faree zauważył to już wcześniej) czynił zawsze, gdy był zdenerwowany.

- Ależ on sam go instalował. - Lady Maelen wstała. - Skąd nagle jakieś problemy?

- Nie pytaj mnie. To wygląda zupełnie tak jakby... - Faree zauważył, że bruzdy na czole mężczyzny pogłębiają się. - Jakby... - ciągnął po chwili - rozmyślnie opóźnił nasz wyjazd. A księżyc...

- Czemu miałby rozmyślnie nas zwodzić? Nie widzę powodów.

- Z wyjątkiem Sehmet i tego, co się tam działo. Początkowo był to napad najeźdźców, a gdy zepsuliśmy tę grę i odkryliśmy wielki skarb. Gildia nie była zachwycona. Nie wiadomo, jakie plotki rozeszły się na ten temat. I kto stał za ową

operacją plądrowania grobowców.

- Ale co mogliby uzyskać od nas? Nasza część znaleźnego jest już bezpieczna i nie mają szans się do niej dostać. To, co tu robimy, nie ma nic wspólnego z żadną Gildią ani spiskami najeźdźców. Tamto skończone, a na Yiktor nie ma nic, co by ich mogło skusić. Oni robią wielkie interesy, nie obchodzi ich grabienie małej planety, na której panowie od tak dawna zwalczają się nawzajem, że nie pozostało już nic, co może przyciągnąć nawet Wolnego Kupca.

- Może zemsta albo chęć dania nam nauki. Słowo daję, że pozbędę się tych inspektorów przed odlotem.

Lady Maelen uśmiechnęła się.

- Prawdopodobnie ten inżynier po prostu po raz pierwszy zetknął się z takim statkiem. Dlatego pracuje powoli i popełnia błędy.

- Księżyc - powtórzył lord Krip krótko.

Teraz z kolei lady Maelen się zachmurzyła.

- Mamy czas. Chyba mamy go dość.

- To prawda, ale czas biegnie szybko. Musimy wyruszyć w ciągu najbliższych siedmiu dni, jeśli ma nam się udać.

- Kem-fu... - Faree nie rozumiał tego wszystkiego o księżycach i skarbie, ale wiedział sporo o tym, co dzieje się na Obrzeżach. - On dużo przegrywa przy stołach w Go-far. Wszyscy wiedzą, że jest zadłużony u Georga L'Kumba.

Lord Krip spojrział w dół zaskoczony.

- Co jeszcze wiesz, Faree? To ważne. Bardzo ważne.

Rozdział 3

Chociaż to, co wiedział Faree, stanowiło zaledwie cząstkę faktów znanych powszechnie na Obrzeżach, i tak było tego tyle, że nim odparł, musiał dokonać selekcji.

- Mówi się... - urwał. Chciał bardzo uważnie oddzielić plotki od tego, co było mu znane z obserwacji i podsłuchanych rozmów. Ktoś taki jak on był tak nieodłączną częścią wszelkiego motłochu z Obrzeży, że mało kto uważał na swoje słowa, widząc go skulonego lub przemykającego w pobliżu.

- Powiadają... - zaczął powoli jeszcze raz - że Georg L'Kumb ma na Obrzeżach taką władzę jak prawnicy w Wielkim Mieście. Rzadko jednak widać lub słyszeć, jak on sam z niej korzysta, bo już wymówienie jego imienia wystarczy, żeby pragnienie stało się czynem. On ma oczy i uszy wszędzie. I, lordzie...

- Kripie. - Mężczyzna poprawił go odruchowo.

- K...Kripie. - Faree zająknął się, próbując wymówić to imię bez żadnych tytułów. - Jeżeli to on chce opóźnić prace nad waszym statkiem, to będą one opóźnione. Powiadają, że on dość często tak robi, żeby mu zapłacić, a potem jak spod ziemi wyrastają potrzebni ludzie i natychmiast wszystko jest gotowe.

- Wymuszenie. - Usta lorda utworzyły cienką linię.

Lady Maelen przytaknęła.

- A my jesteśmy odpowiednimi ofiarami do takiej gry. Może on wie i to.

Faree wziął oddech tak głęboki, jak to tylko było możliwe.

- Pozwólcie mi znów włożyć łachmany i wrócić na Obrzeża - powiedział. - Nikt o mnie nie dba i pewnie nikt nie zauważył, że na jakiś czas zniknąłem. O tym, żeście mnie schronili, też wie niewielu. Czyż nie tak?

- A jeżeli zauważono twoją nieobecność i doniesiono o tym Władcy Obrzeży, a ty się znowu nagle pojawisz. Jaką wymówkę...

Faree uniósł głowę najwyżej, jak mógł.

- Są w górnym mieście lordowie, którzy dla rozrywki trzymają takie pokraki jak ja. Gdy już im się znudzimy, wracamy na Obrzeża... jeśli mamy szczęście.

- A jeśli nie macie szczęścia? - spytała lady Maelen.

- Są jeszcze inne sposoby rozrywki, lady. Dla nich takie wybryki natury są po to, by je dowolnie wykorzystać i wyrzucić.

- Nie podobają mi się tutejsze zwyczaje - stwierdziła. - A więc, maleńki, mógłbyś wrócić na Obrzeża jako ten, który został już przez nas wykorzystany?

- Jeśli będę się trzymał z dala od Russtifa, to tak, mógłbym tak zrobić. Ludzie nie pilnują języków w obecności zwierząt... chociaż pokazaliście mi, że i one mogłyby pokrzyżować komuś plany, gdyby spotkały takich jak wy. Na Obrzeżach nie jestem wart nawet tyle, ile Toggor może wygrać w jednej walce.

- Nie podoba mi się to - odpowiedziała szybko. - Narażać cię na takie niebezpieczeństwo...

- Lady, spędziłem na Obrzeżach dziesięć pór roku i jeszcze żyję. - Faree trzymał się tak prosto, jak to tylko było możliwe.

- Potrafię podsłuchiwać i podglądać. Jeśli zależy wam na czasie, powinniście wykorzystać wszelkie możliwości, również Śmierdziela. - Po raz pierwszy od wielu dni użył swego starego imienia, tego, do którego miał nadzieję już nigdy nie wracać. Lord Krip spojrzął na kobietę ponad wygiętą sylwetka Faree. - Jeśli naprawdę ktoś chce nam przeszkodzić w opuszczeniu tej planety, to może za tym stać Gildia. Nie podobała im się nasza interwencja w ich grabieże na Sehket. A jeśli mamy do czynienia z nimi, to im wcześniej się o tym upewnimy, tym lepiej. Co wiesz o Gildii Złodziejskiej, Faree? I czy naprawdę chcesz tam iść, jeśli to w ich interesy jest teraz zamieszany ten L'Kumb?

Gildia Złodziejska! Faree oblizał dolną wargę. Wystąpić przeciwko wszechpotężnej Gildii, o tak, to zupełnie co innego. Był jednak przekonany, że potrafi jeszcze raz pogrążyć się w odmętach Obrzeży, przemykając nie zauważony przez nikogo, może z wyjątkiem jakiegoś mieszkańca rynsztoków, takiego, jakim niedawno był on sam.

- Doprowadzisz mnie, panie, do bramy. Mógłbyś wygnać mnie kopniakami i przekleństwami twierdząc, że cię okradłem. To by wyglądało bardzo naturalnie. - Wyciągnął rękę ku drzwiom chaty bartla. - Przez trzy noce nie będzie księżycy, a ja przywykłem do ciemności. Potrafię bardzo dobrze słuchać.

Faree poczuł na sobie uderzenia małego ciałka i choć nie były mocne, omal nie stracił równowagi. To Toggor wypełził z worka u pasa Maelen, by skoczyć na Faree. Nie zauważony wspiął się i przykucnął w wąskim wgłębieniu między głową a ramieniem garbusa. Kiedy lady sięgnęła po niego, zasyczał gniewnie.

Faree próbował usunąć smaksa i wtedy poczuł, że kontakt myślowy z nim jest lepszy, silniejszy i wyraźniejszy niż kiedykolwiek przedtem, jakby dni spędzone z

kosmicznymi wędrowcami wyostrzyły ten niezwykle zmysł do granic możliwości.

- Iść z tobą. Schować, ale iść.

Kobieta cofnęła się i potaknęła, jakby smaks stał się nagle jednym z jej krewnych, z którym potrafi się w pełni porozumieć. Być może kilkudniowy kontakt z tym stworzeniem dał jej taką moc. Faree miał jednak wątpliwości.

- Russtif... - Przywołał w myślach obraz handlarza zwierząt.

- Nie widzieć... schować. - Po tych słowach smaks wsunął się pod tunikę Faree i polectał go swymi pazurami, wędrując z garbu na pierś, na której się umościł. Sztywna sierść drapała skórę chłopca, gdy zwierzątko przylgnęło do jego ubrania.

- Niech będzie - powiedział lord. - Poczekamy dwa dni. W tym czasie ja też spróbuję się dowiedzieć, dlaczego prace posuwają się tak powoli. Potem wrócisz, niezależnie od tego, czy coś będziesz wiedział czy nie. - Ujął spiczasty podbródek Faree swymi długimi palcami i popatrzył w szeroko otwarte oczy z taką mocą, że Faree musiał się zgodzić, bo wiedział, że nie jest w stanie oprzeć się takiemu rozkazowi. Tych dwoje różniło się od wszystkich, których znał. Nie potrafił wyczuć przejawów ich władzy, nawet takich, jak podporządkowywanie sobie jego umysłu.

Gdy tylko lord go puścił, Faree wstał, nabrał przy drzwiach trochę błota i słomy i rozmazał to starannie po tunice.

- Musisz, panie, krzyżeć za mną przekleństwa, popychać mnie kopniakami... - zwrócił się do lorda. - I to bez udawania. Każdy, kto będzie to widział, bo może ktoś was śledzi, musi dać się nabrać.

- W porządku! - Lord pochylił się, by chwycić go za ramię i wypchnąć z chaty. Gdy Faree wyłożył się jak długi na ziemi, jedną ręką ochraniając ukrytego na piersi smaksa, poczuł ból celnie wymierzonego kopniaka. Jego uszu dobiegły głośne przekleństwa, wykrzykiwane w języku handlowym, na przemian z innymi, które widocznie były w rodzimym języku lorda.

Twardy but zsunął się po rozczochranej czuprynie. Faree wrzeszczał przeraźliwie, gdy najpierw na rękach i kolanach, a potem już na nogach uciekał w kierunku bramy. Za nim szedł lord, rzucając wyzwiska i oskarżenia, że to złodziej, jakiego żaden uczciwy człowiek nie powinien oglądać. Gdy Faree zwolnił przy bramie, znów dosięgnął go but, tym razem z taką siłą, że pozostawił siniaka. Dwaj strażnicy wybuchnęli śmiechem, a jeden z nich machnął drzewcem swojej halabardy, przeganiając garbusa tak zamasyście, że Faree znów omal nie stracił równowagi.

Biegł jak wiele razy przedtem, w stronę najbliższych budynków

wyznaczających granicę Obrzeży. Skądś doleciała do jego ucha gruda twardej ziemi, zadając ból i wydobywając z gardła kolejny krzyk.

Wbiegł między budynki. Dwukrotnie poślizgnął się w cuchnących ściekach obecnych wszędzie, prócz głównych ulic Obrzeży. Nie zatrzymywał się, aż poczuł ostry ból pod żebrami. Wtedy ciężko dysząc, chwycił się liny namiotu.

Jego tunika nie była podarta, ale za to zabrudzona błotem. Był jednak przekonany, że i tak wygląda trochę lepiej niż wówczas, gdy owi państwo wyprowadzali go z tego siedliska strachu i beznadziei.

Czystość ubrania nie przytłumiła jego zmysłów. Nawet tak zmęczony rozglądał się uważnie i zastanawiał, gdzie mógłby się zaszyć, by zdobyć potrzebne informacje. Konieczne przy tym było unikanie zarówno Russtifa, jak i całego sektora należącego do niego.

Rewir, w którym Faree teraz się znalazł, był wypełniony budkami z alkoholem, do których garnęli się niżsi rangą członkowie załóg z wszelkich statków zakotwiczonych w porcie. Mimo iż o tej porze nie było tu tak gwarno, jak zwykle być w godzinach wieczornych, to baraki wypełniało dostatecznie dużo osób, by po dniach spędzonych w górnym mieście chłopiec, uznał panujący tu zgiełk za głośny. Potracił zataczając się, rozspiewaną parę, która wyszła z najbliższego namiotu, i wbiegł za surowe budynki.

Toggor przesuwiał się teraz pod samym policzkiem garbusa, a szypułki jego oczu sterczały ponad kołnierzem tuniki. Faree pomyślał, że smaks rozgląda się z taką samą uwagą, jak on sam.

Dotarłszy do pawilonu gier hazardowych L'Kumba, Faree przykucnął przy wejściu. Jest pewien stary przesąd znienawidzony przez garbusa, że potarcie garbu kogoś takiego jak on przynosi szczęście. Nigdy przedtem nie zgadzał się na to, lecz teraz miał cel, dla którego potrafił znieść takie poníženie. Ukucnął więc z zadartymi chudymi kolanami, rękami na brudnej ziemi i głową wygiętą ku górze. Plecami opierał się o ścianę baraku. Próbował wyławiać głosy dobiegające z wnętrza, lecz były one zbyt niewyraźne, zlewały się w ogólny szum, z którego wyróżniały się tylko okrzyki powodowane wygraną lub porażką.

Jakiś człowiek, w znoszonej skórzanej kurtce oficerskiej, z jaśniejszymi miejscami na piersi, z których oderwano insygnia, zdecydowanym krokiem szedł przed siebie. Faree znał takich jak on: młodszych oficerów, którzy po wylądowaniu zostali zwolnieni lub spóznili się na swój statek i czekało ich staczanie się w dół

rynsztokami Obrzeży. Mężczyzna był mocno opalony, jak wszyscy ci, którzy przybywają z przestrzeni kosmicznej. Dotyczyło to nawet skóry głowy, gdyż był albo dokładnie wygolony, albo naturalnie łysy.

Mimo znoszonego ubrania nie wyglądał na załamane go, a w kącikach szerokich ust nie widać było śladów wina. Kroczył pewnym krokiem kogoś, kto ma w życiu wyraźny cel. Gdy podszedł bliżej, Faree zauważył, że mężczyzna uważnie się rozgląda, nawet za siebie, jakby sądził, że może być śledzony. Czyżby przez któregoś ze strażników żądających wyższej łapówki, niż dało się wyciągnąć z marnego portfela przy pasie, który, jak zauważył Faree, nie był pusty? Dłoń mężczyzny ani na chwilę się od niego nie oddalała, co znaczyło, że jest on w posiadaniu niezłej sumki, i że będzie mile widziany w posiadłości L'Kumba.

Nagle te bystre oczy, które zdawały się zdradzać graną rolę, dostrzegły Faree i zatrzymały się na nim. Mężczyzna trochę zboczył ze ścieżki i opuścił dłoń, by mocno uderzyć garbusa między ramiona.

- Życz mi szczęścia. Śmierdzielu. - Pogrzebał w kurtce i z wewnętrznej kieszeni wyciągnął mały krążek zniszczonego stelara, który rzucił na ziemię obok gołych stóp Faree.

- Powodzenia. - Faree wymówił to słowo posłusznie, lecz jakby automatycznie, tak był zaskoczony. Nie przypominał sobie tego człowieka. Dlaczego użył tego pogardliwego imienia znanego na Obrzeżach? Ilu obcych wobec tego słyszało o Śmierdzielu i mogło zauważyć jego odejście i powrót?

Mężczyzna tymczasem zdążył się odwrócić i przejść przez wejście do baraku. Dłoń Faree zacisnęła się na kawałku metalu, którym został obdarowany. Chciał go od siebie odrzucić, ale uznał to za niemądry gest. Musi przecież coś jeść, skoro chce zostać jakiś czas na Obrzeżach. Ten metal może mu zapewnić miskę zupy w namiocie Hangsta, o ile zdobędzie się na wejście do części kuchennej i wręczenie go kelnerowi–barmanowi, którego zwano Kufel.

Toggor poruszył się, wylazł na zewnątrz przez dekolt tuniki i zsunął w dół na kolano Faree. Tam przykucnął, wciągając trzy szypułki oczu, a pozostałymi tak obracając na wszystkie strony, że od patrzenia na niego mogło się zakręcić w głowie.

- Co? Co widzisz?

Może związek z dwójką obcych i ich komunikacja myślowa wzmocniły moc Faree. Zakłócenia kontaktu, które zawsze towarzyszyły porozumiewaniu się z Toggorem, były teraz słabsze, a odbiór tego, co z pewnością było pytaniem, dużo

wyraźniejszy niż kiedykolwiek przedtem. Nagle Faree wpadł na pewien pomysł. Dotknął kolczastego grzbietu smaksa przy samej głowie. Może mógłby użyć tej małej istoty do dotarcia tam, gdzie obecność garbusa groziłaby niepowodzeniem misji?

- Toggor widzieć? - Ukształtował informację tak, że było to pytanie, i dość szybko otrzymał odpowiedź.

- Toggor widzieć... co?

- W środku. - Faree wskazał kciukiem na barak. - Schować się... patrzeć.

Nie było to jednak łatwe. Smaks zwinął się w kłębek, jak czynił to zawsze w chwilach przerażenia. Bez słów dało się wyczuć jego odmowę.

To była tylko krótka myśl. Faree z żalem z niej zrezygnował. Po Obrzeżach grasują najróżniejsze pasożyty i zarazki, niektóre śmiertelne. Chłopiec dwukrotnie walczył o życie z ostrożnym wirusem, który atakuje stadnie i znany jest z tego, że ogarnięty głodem dopada śpiących pijaczków, po których pozostawia tylko dokładnie obrane kości.

Po raz pierwszy Faree sam był przerażony. Smaks widocznie śledził tok jego rozumowania, choć nie był on kierowany do niego, ponieważ rozwinął trzy szypułki oczu, z których jedno zwrócił na drzwi baraku, a pozostałych dwoje na garbusa. Za parą oczu nadeszła wiadomość.

- Patrzeć... w środku... co?

Racja, co? Był pewien, że w tak bardzo obcym umyśle Toggora nie potrafi zaszcześcić idei szpiegowania. Mógł jednak coś wypróbować, na przykład obserwację obcego, który wszedł przed chwilą.

- Widzieć... jego. - Przedstawił, najlepiej jak potrafił, mężczyznę, który klepnął go na szczęście. - Co on robi? - Toggora... złapać.

- Toggor mały. Schowa się... patrz. - Faree wskrobał ze ścieżki garść cuchnącego kurzu, posypał nim uniesioną krawędź swojej tuniki i roztarł palcami. - Toggor pokryty tym. - Wszystkie oczy uniosły się ponownie i ponad połowa z nich obserwowała pył przesypany się między palcami garbusa.

Faree nie dodawał nic więcej. Nie był Russtifem, by nakazywać smaksowi posłuszeństwo. On poprosił, decyzja należała do Toggora.

Zwierzątko wyciągnęło przednią łapę i zanurzyło ją w piachu rozmazanym po tunice Faree, po czym zgarnęło nią cząstkę i pozwoliło ziarenkom przesypaną się z powrotem. Następnie nabrało ziemi po raz drugi, rozprowadzając ją po kolcach i grzbiecie.

Dla chłopca była to wystarczająco jasna odpowiedź. Delikatnie, tak by nie upuścić ani ziarenka na wystające oczy, nabrał szczyptę błota i rozsmarował po smaksie. Toggor zeskoczył z kolan garbusa i wylądował w kurzu. Wciągnąwszy oczy, poturlał się po ziemi. Kilka chwil później wyglądał jak bryłka błota.

Faree delikatnie podniósł małą istotkę i ustawił przy otwartym wejściu. Smaks wyciągnął przednie łapy i wsunął się do środka, znikając z widoku.

Nagle omal nie zwała chłopca z nóg fala strachu i złości. Nie mógł uwierzyć, by nadawcą tych uczuć był maleńki Toggor. Część tej wiązki stanowił mętny obraz, coś ciemnego, brzydkiego i...

Tylko jedna rzecz mogła wydobyć ze smaksa taką reakcję: Russtif!

Szybko nadeszło potwierdzenie. Był tam handlarz zwierząt... z kimś. Faree pomyślał, że to może ten mężczyzna, który wszedł przed chwilą. Był też ktoś trzeci, ale chłopiec nie mógł wydobyć nic, prócz informacji o jego obecności.

Garbus przyłgnął mocno do przegniłych bali chwiejnej ściany. Gdy wyciągnął rękę i przesunął paznokciami po jej powierzchni, poczuł odrywające się drzazgi. Gdyby tak mógł...

- Blisko ciebie? - spytał Toggora. Był pewien, że smaks nie wszedł daleko w głąb sali. A jeśli ci trzej byli dobrze widoczni, to znaczyło, że nie mogą być daleko od ściany, o którą Faree się opierał.

- Tutaj. - Toggor nadał odpowiedź, lecz Faree nie potrafił stwierdzić, gdzie może być owo „tutaj”.

Garbus przyłożył ucho do drewnianej ściany. Musiał jednak uważać na przechodniów, którzy mogliby go zobaczyć. Z prawej strony dobiegały głosy... słowa... ale nie należały one do graczy. Uważnie wsłuchiwał się w to, co mógł uchwycić.

- ...brakuje pilota.

- Dopilnuj, żeby tak zostało.

- Stelary, stelary jak koła. - To był Russtif. Faree nie mógłby zapomnieć tego chrapliwego głosu.

- Powiedz...

- Czemu się dzielić? - Znowu Russtif.

- L'Kumb wie. Nigdy nie odchodź z...

- Jego plan... czemu zawsze jego? - Ten głos był trochę podniesiony. Potem nadeszła wiązka myśli, która przedarła się przez stan skupienia Faree.

- On nadchodzi. Kłopot... porusza się.

Potem smaks się wycofał. Przecisnął się przez szczelinę w ścianie i zaszył w fałdach tuniki Faree. Po chwili przemieścił się w stronę dekoltu.

- Ten zły. Patrzy. Widzi.

Tym razem Faree poczuł, jak ogarnia go strach. Odskokzył od ściany i na czworakach przesunął się na tył baraku. Tam zmusił się do zatrzymania i wyjrzenia zza rogu. Jeśli handlarz zwierzętami istotnie dojrzał smaksa, mógł ruszyć za nim.

Russtif rzeczywiście wyszedł, ale nie spojrzął w głąb alejki. Z wysiłkiem przeszedł na drugą stronę i zniknął. Serce Faree wróciło do normalnego rytmu. Za handlarzem zwierząt szedł jakiś mężczyzna - nie ten, któremu Faree życzył szczęścia, lecz wysoki, w mundurze strażnika. Na moment zatrzymał się na początku alejki. Faree zamarł, lecz i ten mężczyzna nie popatrzył w głąb uliczki. Spojrzął za Russtifem, wzruszył ramionami do jakiejś ze swych myśli i udał się w przeciwnym kierunku.

Faree czekał na upatrzonego kosmicznego przybysza. Coś mówiło mu, że ten obcy ma znaczenie dla jego misji. Musiał czekać dość długo - może mężczyzna próbował szczęścia w grze.

Gdy obcy wreszcie wyszedł, dwoma krokami pokonał szerokość alejki. Faree już wcześniej zaplanował sobie sposób jego śledzenia. Zauważył bowiem drogę na tyłach i mimo iż tylko szedł, nadał krokom dość szybkie, jak na niego, tempo. Kamienie i razy już dawno przekonały go, jak ważną rzeczą jest odpowiednia prędkość.

Cały czas trzymał się o długość namiotu, czy też baraku, za śledzonym mężczyzną i pozostawał w cieniu, którego o tej porze, po zachodzie słońca, było coraz więcej. „Ulice” stawały się coraz gwarniejsze. Dopóki nie było jeszcze zbyt tłoczno, Faree mógł swobodnie podążać za obiektem swojego zainteresowania.

Mężczyzna wszedł w jedną z krętych uliczek, biegnących przez Obrzeża do szanowanych ulic górnego miasta. Jeśli opuści Obrzeża, Faree nie pójdzie za nim. Tam jego obecność za bardzo rzucałaby się w oczy. Zaczynało mu już zresztą brakować tchu, bo nie był przyzwyczajony do tak długich marszów swoim najszybszym krokiem. Musiał przy tym ciągle wybierać zacienioną trasę, co często zmuszało go do nadłożenia drogi.

Na szczęście kosmiczny przybysz nie szedł do górnego miasta, lecz zwrócił się ku drzwiom jednego z najdostojniejszych budynków Obrzeży. Zatrzymywali się tu

tacy podróżni, którzy byli w stanie płacić pół stelara za dzień. Pocierając zębra w miejscu, w którym zaatakował go ostry ból, Faree usiadł w najbliższym zacienionym miejscu nie wiedząc, co robić dalej. Wciąż nie był pewien, dlaczego postanowił śledzić tego obcego. Był to przybysz z przestrzeni kosmicznej, któremu szczęście wyraźnie nie sprzyjało, ponieważ żaden obcy nie tkwiłby dłużej na jednej planecie, gdyby mógł coś na to poradzić. Chłopiec słyszał, jak lord Krip mówił, że ich statek nie może mieć licznej załogi, bo nie mógłby wystartować. Lord wynajął już jednego członka załogi, człowieka, który pozostał na tej planecie, po tym, jak kapitan bogatego statku nie mógł pozwolić sobie na jego przebudowę. Ów człowiek zaciągnął się, bo pragnął dotrzeć do bardziej uczęszczanego portu w innym, bogatym świecie. Czyżby ten śledzony przez Faree też był kimś takim?

Rozdział 4

A może by tak udawać żebraka na tyłach noclegowni? Dobrze wiadomo, że wszelkie szumowiny robią tak od czasu do czasu. Jednak gdyby tajemniczy obcy go zauważył, mogłoby wydać mu się podejrzane, że spotkał Faree najpierw przy pawilonie gier hazardowych, a teraz znów tutaj, w zupełnie innej części Obrzeży. Czego się dowiedział? Niewiele. Że jest jakaś przyczyna, dla której ktoś będzie miał trudności ze skompletowaniem załogi statku. Tylko jedna osoba próbuje obecnie zebrać załogę - lord Krip.

Faree zawahał się. Próbował obmyślić plan działania. Wtedy dojrzał zbliżającą się postać. Szła pewnym krokiem, wymachując pałką. Strażnicy mieli sieci i ogłuszacze, lecz większość z nich wolała zaprowadzać porządek za pomocą pałek, gdyż łatwiej pozostawić półżywą, pobitą ofiarę na ulicy niż tracić czas i energię na wiązanie i odstawianie więźnia na posterunek.

Chłopiec cofnął się najdalej, jak to było możliwe, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Wiedział, że zadaniem tamtego było wyszukiwanie właśnie takich, zakłócających niepewny spokój, za jakiego uważany był garbus. Faree oddychał powoli i płytko, wstrzymując wydech tak długo, jak tylko mógł. W szczelinę między dwoma domami wciśnięta była stara skrzynka, o większych niż przeciętne rozmiarach, i Faree zrobił z niej najlepszy w tym momencie użytek.

Strażnik bez wahania skręcił do domu noclegowego, podobnie jak kosmiczny wędrowiec wcześniej. Chłopiec próbował zebrać myśli. Może strażnik niesie jakąś wiadomość... może ważną dla tych, którzy czekają w porcie. Ale jak dostać się do budynku, zobaczyć tych, których musi śledzić? Chociaż było już dobrze po zmierzchu i tylko nieliczne, rzadko porozstawiane latarnie dawały trochę światła, wiedział, że nie ma szans na dotarcie do wnętrza.

Poczuł na piersiach kolce. Smaks... czy Toggor mógłby wspomóc jego wzrok i słuch, tak jak zrobił to w pawilonie gier? Faree delikatnie położył dłoń na przedzie pofałdowanej tuniki i poczuł, że pazury chwytają go na tyle mocno, by mógł wyciągnąć go na zewnątrz.

Przez lata spędzone na Obrzeżach chłopiec wyćwiczył umiejętność widzenia w ciemnościach do granic możliwości swojego gatunku. Na krętej uliczce panował teraz ruch. Co najmniej czterech przechodniów weszło do pensjonatu. Garbus czekał

na swoją szansę. Przeszedł na drugą stronę, by jeszcze raz oprzeć się o oślizgłą ścianę, i gdy tylko znalazł się w najciemniejszej z możliwych kryjówek, wyciągnął zza pazuchy Toggora. Oczy smaksa natychmiast powyciągały się na wszystkie strony.

- Co robić?

Zwierzątko zdawało się nie czuć strachu. Faree przyglądał się ścianie, o którą się opierał. Parter budynku był z kamienia - ze starych, dopasowanych do siebie bloków, połączonych kruszącą się zaprawą. Niegdyś mogła to być jakaś ważna budowla, jak te w górnym mieście. Piętro zbudowane było z kwadratowych bali, też nieregularnych. Przyszło mu do głowy, że mógłby swoimi cienkimi palcami wymacać szczeliny i wspinać się po nich. Jednak ciężar na plecach nie sprzyjał wspinaczkom i mógłby zniweczyć każdą taką próbę.

Zamiast tego garbus przysunął smaksa bliżej swojej głowy, jakby ta bliskość miała pomóc w przekazywaniu myśli.

- Mężczyzna. - Z wysiłkiem przedstawił jak najwierniejszy obraz obcego, bez pewności, że umysł małego stworzonka zrozumie tę identyfikację. - Szukaj w środku. - Drugą ręką wskazał kamień ściany.

Trochę go zaskoczyło, że smaks tak chętnie chciał pójść. Wspiął się po plecach Faree, a następnie próbował wbić pazury w miejsca między blokami, z których odpadła zaprawa. Faree wychylił się do tyłu, by zobaczyć, jak zwierzątko zgrabnie się wspina. Toggor doszedł do wąskiego parapetu jednego z małych okien. Nie znalazł tam możliwości przejścia, więc przesunął się dalej po drewnianych balach. Po chwili zniknął!

Faree rozejrzał się niespokojnie. Czyżby stracił punkt oparcia i spadł? Nie... dochodzi wiązka, nie myśli, lecz emocji. Brak pożywienia, polowanie... smaks trafił na trop winata. Chłopiec poczuł gorzki smak porażki. W tej sytuacji nie mógł liczyć na odciążenie Toggora.

Nie zrywał jednak tej cienkiej nici myślowego kontaktu, która ich łączyła. Pragnienie smaksa stało się na tyle silne, że chłopiec sam poczuł skurcze żołądka i pomyślał o mięsie ociekającym tłustym sosem, takim, jakie jadł nie dalej jak rano. Głód... potem atak...

Faree drżał cały, zmuszając się wciąż do uczestniczenia w gorączce Toggora, gdy ten rozrywał ofiarę na strzępy. Czuł krew na swoim ciele, aż w końcu najadł się do woli. Nigdy przedtem garbus nie odczuwał myślowej łączności z myśliwym! Czuł, że cały się trzęsie, a dłonie rozwierają się, jakby miały przed sobą smaczne jedzenie.

Smaks był już zadowolony. Chłopiec musi albo go jakoś przywołać, albo...

Może Toggor chciałby się przespać po tym polowaniu? Jeśli tak, to jak mógłby odzyskać nad nim kontrolę?

Zginał i prostował palce, wciągał głęboko powietrze i szukał kontaktu.

Możliwe, że jego niepewność dodała siły temu wezwaniu, bo już za pierwszym razem dosięgnął niespokojnego umysłu małego stworzonka.

- Jeść. Dobrze. Jeść!

Faree zaczął już tracić nadzieję na przebicie się przez uczucie zadowolenia z udanego polowania, które owładnęło Toggorem. Czekał i wciąż ponawiał próby, mimo iż czuł, że dla smaksa jest on czymś irytującym, choć nie do odrzucenia. Po namyśle wydał komendę.

- Szukaj. Szukaj mężczyzny. - W rozkaz ten starał się włożyć całą siłę swego umysłu.

- Jeść! - Pasja myśliwego utrzymywała się. Załamany Faree zaczął z rezygnacją walić w mur za plecami, jakby chciał go zniszczyć.

- Szukaj! - Na jego wąskim czole pojawiły się kropelki potu wypływające spod bujnej czupryny. - Szukaj!

Kontakt myślowy między nimi zanikał coraz częściej. Smaks był w swoim własnym świecie, czuł się teraz zdobywcą, nareszcie sobą, chyba po raz pierwszy od momentu schwytania. Jakiej siły trzeba by użyć, by sprowadzić Toggora z powrotem w zasięg wpływu Faree, który i tak przecież był nieznaczny?

- Szukaj! - Mimo iż wiedział, że to niebezpieczne, garbus wyzwolił swoją świadomość z otaczającej go rzeczywistości, przywołał obraz przybysza z kosmosu i wysłał tę wiązkę ku stworzeniu w budynku na górze. - Szukaj!

Łączyła ich już tylko bardzo wada nie porozumienia, choć i tego Faree nie mógł być już teraz pewien. Smaks mógł przecież kontynuować swoją pogoń za robactwem w tych murach, polować i zabijać, by jeść. Dlaczego miałby odpowiadać i w ogóle chcieć stamtąd wyjść?

- Szukaj! - Faree całkowicie skoncentrował się na odbudowaniu porozumienia, na próbie przerwania tego letargu. Nagle, niespodziewanie owa nie została zerwana. Była już tylko pustka. Chłopiec poczuł, że traci siły. Jego głowa opadła w tył i oparła się o mur, przez który przedostał się smaks. Toggor wybrał własną drogę. Przepadł!

Resztkami własnej woli Faree podniósł się. Rozumiał doskonale, że strata tego zwierzątka była jego winą. Tak bardzo był pochłonięty realizacją swojego celu, że

zapomniał, iż ma do czynienia ze współnikiem, którego interesy są trochę inne niż jego. Faree był pewien, że smaks może przeżyć wiele dni, żerując na drobnej zwierzynie.

- Szukaj! - Wysłał ostatni, desperacki i rozpaczliwy, krzyk bez głosu w nicość, w której wcześniej był Toggor. Jak długo czekać i mieć nadzieję? Tak trudno było podjąć decyzję. Tajemniczy mężczyzna i strażnik... wyraźnie istniała między nimi jakaś więź, w którą wplątany był też Russtif. Nagle z tej nicości nadszedł słaby sygnał.

- Mężczyzna! - Obraz był tak niewyraźny, że mógł to być zarówno kosmiczny przybysz, jak i strażnik. Smaks jednak został wysłany, by znaleźć obcego, więc...

Uczucie ulgi było tak silne, że Faree musiał mocno wziąć się w garść i pozwolić myślom na wyciszenie. Dopiero potem mógł się skupić i nadać wiadomość.

- Co robi? - Poczucie popełnionego już raz wobec Toggora błędu sprawiało, że czuł się niepewnie.

- Mężczyzna, mężczyzna.

Dwa razy? Może to oznacza kolejne spotkanie strażnika i obcego. Gdyby mógł coś podsłuchać, tak jak udało mu się z tyłu baraku. Kilka słów mogłoby wszystko wyjaśnić! Do jego świadomości zaczęły docierać niewyraźne kształty dwóch osób. Były blisko siebie, wręcz na wprost siebie. Potem stały się wyraźniejsze, jakby smaks podjął większy wysiłek.

Złość. Złość i groźba. Smaks nie potrafił przekazać słów, lecz odebrane przez niego emocje były wystarczająco niepokojące. Cokolwiek tych dwoje knuło, oznaczało to kłopoty. Dla obcych? Faree nie był pewien, ale czuł, że to ma coś wspólnego z dwójką jego przyjaciół.

W obrazie przekazywanym przez smaksa nastąpiła zmiana. Jedna z niewyraźnych postaci wstała i po chwili zniknęła z zasięgu wzroku. Druga pozostała na swoim miejscu. Faree był pewien, że to obcy, gdyż właśnie jego miał śledzić Toggor.

- Chodź. - Niczego więcej nie mógł się dowiedzieć, skoro smaks nie potrafił zastąpić uszu.

- Przychodzi inny - odpowiedziało czatujące stworzenie.

- Pokaż! Pokaż mi tego drugiego, najlepiej jak umiesz! - Czy to coś da? Wzrok Toggora nie zastąpi mu własnego i to, co dla smaksa jest wyraźne, dla niego będzie nieprecyzyjne i zamazane. Jednak ktoś zbliżył się do obcego. Ku radości chłopca

posiadał on charakterystyczny znak. Miał na sobie mundur kosmicznego pilota z jaskrawym elementem na piersiach. Smaks odbierał barwy inaczej niż ludzie. Rejestrował kształty czerwone i żółte podobnie i nie rozpoznawał innych odcieni. Ta plama była żółta.

- Chodź! - Faree chciał odciągnąć Toggora od kuszącej zwierzyny w ścianach gospody. Zastanawiał się, czy będzie w stanie wyciągnąć go z tak bogatych terenów łowieckich.

Ktoś wychodził z frontowych drzwi gospody, nucąc coś pod nosem, jakby był wolny od wszelkich trosk. Faree odsunął się, gdy mężczyzna przechodził obok. Szczęśliwym trafem ów człowiek skręcił na pomoc, a nie na południe, i ruszył w stronę wąskiej uliczki prowadzącej do górnego miasta.

Kontakt ze smaksem znowu się urwał. Garbus mógł tylko mieć nadzieję, że oznaczało, iż zwierzę jest w drodze powrotnej, a nie na polowaniu. Jeszcze dwukrotnie nadał „chodź” i nie otrzymał odpowiedzi. Było już na tyle ciemno, że ściana ponad chłopcem pozostawała w cieniu. Blask latarni oświetlających ulicę nie docierał tak daleko. Z oddalonej części Obrzeży dobiegał gwar - dzielnica przygotowywała się do nocnego życia.

Nagle Faree zauważył poruszenie w cieniu muru. Nim zdążył cokolwiek zrobić, smaks zeskoczył z parapetu wąskiego okna i wylądował chłopcu na plecach, po czym zwinnie zanurkował w fałdy dekoltu tuniki.

Garbus podniósł obie dłonie i delikatnie objął Toggora. Poczł się tak odprężony i zadowolony z powrotu smaksa, że mógłby nucić pod nosem jak widziany wcześniej strażnik. Jego umysł odebrał silny impuls dwóch chwiejnych postaci, wychodzących z pokoju na górze. Skulił się w ciemnościach, nie spuszczać wzroku z wejścia do gospody. Wreszcie wyszli: obcy, za którym Faree tu przybył, w towarzystwie tego, który posiadał odznakę. Nie była ona tak jaskrawa, jak przedstawiał to Toggor, ale istotnie rzucała się w oczy.

W przeciwieństwie do strażnika ci dwaj udali się drogą w dół, w kierunku odległego portu. Faree znowu przemykał w ciemnościach między latarniami, posuwając się za nimi. Chwilami docierały do niego jakieś słowa, nie mógł ich jednak zrozumieć, ponieważ nie mówili w języku handlowym. Zauważył za to, że obcy poważnie o czymś rozmawiali po drodze.

Nie zatrzymywali się w przybytkach rozrywki ani barach, lecz szli prosto do portu, którego teren, dzięki oświetlonym statkom, wyraźnie odbijał się od mrocznych

ulic w okolicy. Na lądowisku stały trzy oddalone od siebie statki. Ten, który należał do przyjaciół z kosmosu, stał najbliżej bramy. Otaczały go rusztowania, lecz o tej porze nie było widać żadnych robotników. Dalej stał mały patrolowiec, statek-goniec, który wylądował zaledwie dwa dni wcześniej z informacjami dla tutejszej rady Ligi. Za nim znajdował się statek handlowy, większy od tego, który posiadała dwójka obcych, z wgniecionymi, wyblakłymi insygniami na jednym stateczniku.

Śledzeni mężczyźni przeszli przez bramę. Strażnik zachowywał się tak, jakby w ogóle ich nie zauważył. Minęli go i udali się w kierunku remontowanego statku. Faree czuł, że musi iść za nimi. Jak jednak przedostać się przez oświetloną bramę, przy której w dodatku stoi strażnik?

Zanurkował w brudną przestrzeń między dwoma najbliższymi namiotami Obrzeży. Tam pochylił głowę w przód, aż dotknął czołem skrzyżowanych na piersiach ramion. Natarczywie domagał się odpowiedzi.

Poczuł, jakby wirował w przestrzeni wypełnionej ledwie widocznymi wstęgami, wśród których szukał tej właściwej, mającej doprowadzić go do celu. Były tam błyski myśli, które usilnie próbował gasić, by móc szukać tylko jednym torem. Wtem...

- Mały bracie! - Nie była to odpowiedź Toggora, ponieważ słowa te zostały wymówione wyraźnie, jakby wprost do jednego z jego spiczastych uszu. - Do środka.

Niewiele miał do doniesienia, tylko o tych dwóch spotkaniach. Czuł jednak, że wiadomości, z którymi przyszedł, są ważne, a czasu jest niewiele.

- Wprowadź mnie.

Przez chwilę myślał, że stracił kontakt, że stało się to, co w przypadku Toggora, bo jego zdolności są tak ograniczone. Po chwili nadeszła jednak zdecydowana odpowiedź:

- Bądź gotów... przy bramie.

Opuścił się na wszystkie cztery kończyny. Czuł nacisk pazurów i kolców Toggora, gdyż smaks poruszał się pod tuniką. W ten sposób Faree dotarł na skraj ciemności. Dalej było już tylko bezlitosne światło przy bramie.

Ktoś zbliżał się z przeciwnej strony. Chłopiec dostrzegł, że kaptur peleryny zsuwa się z głowy, odsłaniając piękne włosy o głębokim, rubinowym odcieniu. Lady szła po niego osobiście.

Zatrzymała się przy strażniku i zaczęła z nim rozmawiać. Słyszał szmer jej głosu, lecz nie rozróżniał słów. Uniosła prawą dłoń i obracała coś w palcach

rytmicznymi ruchami.

- Teraz!

Garbus musiał jej zaufać. Rzucił się przed siebie na chwiejnych nogach, obiema rękami przyciskając do siebie Toggora, by go nie zgubić. Gdy potknął się o kamień, który z szelestem odskoczył, strażnik nawet się nie rozejrzył. Miał jeszcze przed sobą bramę. Włożył wszystkie siły w swój bieg, mijając lady Maelen i strażnika z taką prędkością, że omal nie runął jak długi. Utrzymał się jednak na nogach i pobiegł w stronę chaty bartla.

Na zewnątrz stał lord Krip, a z nim tych dwoje, których Faree śledził od Obrzeży. Chłopiec wsunął się za klatkę z nadzieją, że nikt go nie zauważył. Dlaczego strażnik nie dostrzegł go przy bramie, gdy był tak widoczny, tego Faree nie potrafił zrozumieć.

Leżał teraz prawie całkiem płasko, a smaks wspinał się po jego garbie, szukając sobie wygodnego miejsca. Lady była jeszcze przy bramie. Strażnik słuchał jej z takim respektem, jakby od jej słów zależało jego stanowisko. Jej dłoń była już opuszczona, a ta błyszcząca rzecz zniknęła. W końcu mężczyzna zasalutował i lady odwróciła się w stronę chaty.

Garbus wziął głęboki oddech i skulił się w swojej kryjówce. Usłyszał nieco piskliwe wołanie. Toggor natychmiast przesunął się w dół i ruszył ku frontowi chaty, wzbudzając w Faree uczucie złości, że jest tak posłuszny wezwaniom kogoś innego.

- Niech będzie. Gdy dostarczycie zwolnienie od waszego kapitana, załatwimy sprawę. - To mówił lord Krip. - Podpisujemy tylko do pierwszego lądowania, rozumiecie.

- Mnie też to odpowiada, kapitanie. - To był zupełnie nowy głos... czyżby obcy noszący insygnia?

- Również „Dragon” ma już wyższego astronawigatora. Kiedy wyruszą?

- Wkrótce. Przyjdź do mnie jutro z papierami. A twoje, Quanhi... masz zezwolenie na służbę?

- Przyniosę zaświadczenie wydane przez radę. Znowu jestem sprawny i nie pragnę niczego więcej, jak tylko wyrwać się ze Świata Granta. Mało statków tu ląduje, więc rzadko trafia się taka okazja.

- Zastanowimy się.

- W porządku. - Ci dwaj, którzy przyprowadzili tu chłopca, odwrócili się i ruszyli w stronę bramy.

Faree przeczołgał się na drugą stronę chaty, tak by jej ściana zasłaniała go od strony bramy, i resztkami sił wpadł do środka, zanim zrobili to lord Krip i lady Maelen. Bartel poruszył się niespokojnie i w ciemnościach rozległ się jego niski pomruk. Jednak nad Faree stanęła inna postać i polizała go po twarzy. To Yazz w typowy dla siebie sposób okazywał swoją radość z powitania.

- Czego się dowiedziałeś? - Lady Maelen weszła pierwsza. Gdy pstryknęła palcami, w chacie pojawiło się blade światło.

Czego się dowiedział? Niewiele. Strzępów informacji, które może nawet nie mają istotnego znaczenia. Występował tam jednak Russtif, a dla garbusa był on symbolem wszelkiego zła, zła, które mogło też osiągnąć tych dwoje. Nie mógłby znaleźć słów, by wyrazić, jak wiele lady i lord Krip dla niego znaczą, mógł im tylko ofiarować całego siebie do usług.

- Ci, którzy tam byli... - zaczął tak szybko, że niemal bełkotał. Po chwili jednak się opanował. - Jeden, ten bez odznaki, spotkał się z Russtifem i strażnikiem. Powiedzieli... - Zebrał tych kilka słów, które podłyszał: - Żadnego pilota... niech tak zostanie... stelary jak koła...- i L'Kumb... on coś planuje. Ten bez odznaki spotka się znowu ze strażnikiem i potem z tym, który ma odznakę.

- Stelary jak koła - powtórzył lora Krip. - Gdzie takie słowa byłyby prawdą?

- Na Sehmet - odpowiedziała natychmiast lady Maelen.

- Ta historia jest już jedną z legend z gwiazdnych szlaków.

- Ale ten świat jest tak strzeżony. Żaden najeźdźca ani nawet statek należący do Gildii nie może tam wylądować.

- Tylko że ci, którzy dotarli tam pierwsi, mogli przekazywać informacje i o innych znaleziskach. To niebezpieczeństwo, które rozważaliśmy od samego początku. Wiesz przecież, że chciwość Gildii sięga daleko. Może planują umieścić jednego, dwóch swoich ludzi wśród nas.

- Przejrzelibyśmy ich.

- Czyżby? - odpowiedziała pytaniem lady Maelen. - Powszechnie wiadomo, że Gildia ma dostęp do wielu odkryć, o których nie wie nawet Patrol. Pamiętasz, na Sehmet były pola ochronne, których nie mogliśmy przełamać.

- Ale one należały do...

- Dawno zmarłych? To chcesz powiedzieć? Nie możemy być pewni, czy oni nie istnieją w jakiś inny sposób. To, co już raz ludzkość odkryła, można poznać powtórnie.

- Słyszałeś coś jeszcze? - zwróciła się do Faree.

Potrząsnął głową.

- Mówi się, że Russtif połączyłby się z L'Kumbem, gdyby mógł. Spotkanie z tym bez odznaki odbyło się w namiocie gier.

- Pitor Dune z Chamblee cierpiał na gorączkę plamistą, gdy jego statek wyruszał stąd cztery miesiące temu. Jest jeszcze ten drugi, Quanhi, który chce pełny etat astronawigatora... - powiedział powoli lord Krip. - Mamy co najmniej pół załogi. A teraz mechanicy już prawie kończą, co znaczy, że ich szef ma pieniądze.

- To zaczyna mieć sens - stwierdziła z namysłem lady Maelen. - Wciąż mamy kłopoty ze znalezieniem ludzi. Yiktor nie jest ważną bazą, nawet teraz, gdy Liga odgrywa większą rolę w życiu tej planety.

Lord Krip roześmiał się.

- Ale o mnie wiedzą, jaką potęgę mają Thassowie... Thassowie i Ta Która Śpi. Lady Maelen gwałtownie potrząsnęła głową.

- To nie tak, Krip. Niczego się od niej nie nauczyłam. Ona była, a raczej realna jej część, dawno już martwa, czy też obecna gdzie indziej.

- Aleśmy ci namącili w głowie, maleńki - uśmiechnęła się do Faree. - Wiedz, że jesteśmy Thassami, ludem tak starym, że Już nie pamiętamy swoich początków. Zdarzyło się nam znaleźć wielki skarb Pionierów na planecie Sehmet i wynikły z tego kłopoty, bo Gildia również chciała go zagarnąć. Oni przegrali, myśmy wygrali. Szukaliśmy własnego statku, a tutaj znaleźliśmy „Far Seeker” na sprzedaż. Mamy jednak niewiele czasu. Na Yiktor, naszej rodzimej planecie, załsnia Trzy Pierścienie, a my zmierzamy właśnie do tego świata. To poplątana historia z przeszłości. .. kiedyś ją poznasz.

- Ja? - Faree z trudem próbował wyżej podnieść głowę.

Lady jakby zauważyła jego beznadziejne starania, uklękła i położyła dłonie na jego ramieniu.

- Jeśli zechcesz jechać, maleńki, tak będzie - powtórzyła swą wcześniejszą obietnicę.

Faree westchnął głęboko. Wędrować wśród gwiazd, jakby był silny i prosty, i tak wysoki jak sam lord Krip - to coś, o czym nawet nie śmiał marzyć.

- Tak... o tak! - Jego dłonie pomknęły ku ramionom, by dotknąć jej dłoni, ciepłych i przyjaznych. - O tak! - pragnął wykrzyknąć to na cały głos.

- Niech więc tak będzie - potwierdziła. - A teraz pomyślmy o tym mężczyźnie,

Quanhi, który tak bardzo chce z nami lecieć.

- On myśli, że lecimy na Wielkiego Martha - powiedział lont Krip.

- Niech tak dalej sądzi. Taśmę z trasą sama przechowuję - odpowiedziała. - I w zasadzie nie potrzebujemy astronawigatora, skoro taśma jest odpowiednio zaprogramowana. Tylko władze portu wymagają, byśmy mieli jakiegoś na pokładzie. Co do tych, którzy próbują z nami swoich sztuczek... - Teraz ona zaczęła się śmiać. Uniosła dłoń, by wskazać na resztę towarzystwa: Faree, Yazza, Bartla Bojera oraz smaksa przytulonego do jej ramienia.

- To myślę, że możemy im sprawić kilka niespodzianek.

Rozdział 5

Mężczyzna, którego Faree śledził, jeszcze raz pojawił się przy chacie Bartla. Garbus cofnął się w głąb, zapominając o strachu przed wielkim zwierzęciem. Toggor siedział na ramieniu chłopca z wysuniętymi szypułkami oczu i nadawał informacje o tym, czego Faree już się sam domyślił - że to właśnie jego smaks obserwował tamtego wieczora.

Człowiek ten wyglądał młodo. Dokładne określenie wieku kosmicznych wędrowców jest trudne, gdyż czas na planetach i na statkach płynie inaczej, a ci, którzy spędzają większość życia w skorupach statków kosmicznych, nie starzeją się szybko. Jego mundur bez odznaki był niedbały, ale sam mężczyzna wyglądał na bystrego, zupełnie nie jak ktoś, kogo słusznie pozbyto się ze statku.

- Tylko na czas rejsu. Dune - powtórzył lord Krip. - A czy znasz jeszcze kogoś, kto szuka pracy?

- Mogę zebrać z dwudziestu - odparł Pitor Dune. - Ale czy ich zechcecie, to inna sprawa. Mogli tu zostać przez coś więcej niż choroba czy pech. A Quanhi to równy chłop.

- Powiedziałem, że go weźmiemy, jak słyszałeś, ale zmiana statków w połowie drogi... - zaczął lord Krip.

- Może oznaczać niepewnego członka załogi, to prawda. Jakie wytłumaczenie przedstawił ci? - Lady Maelen zwróciła się do Dune'a. Może chciała porównać wersje.

- Żadnego. Tylko tyle, że na „Dragonie” nie może się już spodziewać awansu i że jest to statek handlowy, który omija wiele światów z większymi portami i ożywionym ruchem.

- Weźmiemy go, gdy przyniesie zwolnienie ze statku - odparł lord Krip. - A tymczasem ty też przynieś swoje papiery zgodnie z umową.

Pilot ruszył przez plac. Smaks na ramieniu Faree poruszył się i chłopiec jeszcze raz uchwycił strzępek emocji - niepewność pokrytą strachem. Bojor z tyłu cicho zamruczał. Lady Maelen natychmiast odwróciła głowę w jego kierunku. Faree dostrzegł jej zatroskane, pytające spojrzenie.

Podobnie jak smaks, Bartel nie wysyłał słów, lecz przeczucie, że coś jest nie w porządku, że trzeba być ostrożnym.

- On nas ostrzega - skomentowała lady. - Zdaje się, że nasz nowy towarzysz podróży nie przypadł naszym maleństwom do gustu. - Delikatnie nadawała sygnały z obietnicą, że nie będzie kłopotów z obcymi.

Lord Krip jeszcze raz zwrócił się do Faree.

- Russtif, rozumiem. Zdaję sobie sprawę z jego zainteresowania.

Przepląciliśmy za jego więźnia. Ale gdybyśmy się targowali, dałoby mu to czas do namysłu i powód do myślenia. - Lady zadumała się.

Po raz pierwszy Faree ośmielił się wtrącić:

- Lady, on na pewno i tak się zastanawia. Może od niego dowiedzieli się inni; Wzruszyła ramionami.

- Przestaję być ostrożna, gdy słyszę wołanie o pomoc. Może zrobiliśmy błąd. Ale ten człowiek jest na tyle podły, że nie zawahałby się zabić to biedactwo. - Rozłożyła ręce, a smaks wyciągnął języki dotknął koniuszka jej palca.

- Czy włożyłaś taśmę? - Lord Krip zmienił temat.

- Wczoraj w nocy, gdy pracownicy już poszli - odpowiedziała. - Wiele się nauczyłam, a może nawet to moje nowe ciało zachowało jakąś wiedzę. Gdy wystartujemy, statek ruszy w kierunku Yiktor.

Nowe ciało? - podchwycił Faree. Cóż to za historia? Nie miał jednak śmiałości pytać o to w tej chwili.

- Chyba są jakieś zmiany wśród robotników - odparł jej towarzysz. - Dziś po południu nie przerywali pracy. Jutro możemy wprowadzić na pokład Bojora. Przed następnym wschodem słońca wyruszymy.

- Jeśli zabierzemy tego astronawigatora Quanhi. Ale, Krip, jego zatrudnienie nie wyjdzie nam na dobre, jestem tego pewna. Jedynym zabezpieczeniem jest nasza zapieczętowana taśma, którą wyjąć może tylko moja dłoń.

- A ta taśma została kupiona na Ballard. „Dragon” ostatni opuścił ten świat - odparł lord. - To otwarty port...

Przytaknęła.

- Jeśli grozi nam coś z lewej, możemy liczyć na pomoc tylko z prawej. W żadnym innym świecie nie sprzedaje się takich taśm i aby ją zdobyć, musieliśmy wdać się w interesy z łamiącymi prawa Ligi. Informacje wędrują niemal tak szybko jak myśli. O, idzie nasz nowy członek załogi, a z nim Quanhi... jesteś pewien, że to ten? To z nim spotkał się na Obrzeżach, maleńki?

Lady odsunęła się trochę od wejścia i Faree spojrział na oświetlony plac. Tę

jaskrawą odznakę rozpoznaliby wszędzie, ale mężczyznę... nie mógł być zupełnie pewien. Tak też powiedział.

- Quanhi. - Lady powtórzyła to imię. - Nie związany z żadnym światem... wobec tego może Wolny Kupiec?

- Niemożliwe - odparł lord Krip. Nie wyglądał na zadowolonego, całą uwagę skupił na zbliżającym się mężczyźnie.

- Przekonamy się, czy jest czegoś wart, czy zasługuje, by być członkiem naszej załogi - zauważył lord Krip. - Zostań tutaj - zwrócił się do garbusa. - Lepiej, żeby cię nie widzieli i nie rozmawiali o tobie.

Faree z Toggorem na ramieniu szybko się cofnął. Bojor jakby na rozkaz odsunął się na bok, chrząknąwszy w stronę Faree. Yazz leżał rozciągnięty w cieniu z tyłu chaty.

Ten mężczyzna z innego statku wyglądał w mocnym świetle jeszcze młodziej niż tamten. Miał szczerą twarz, która zupełnie nie wyglądała na oblicze spiskowca. Odpowiadał na pytania lorda swobodnie i otwarcie, lecz...

Wbrew wydanemu Faree rozkazowi i jego własnej nieśmiałości, chłopak wysłał jedną badawczą wiązkę w stronę umysłu tego człowieka. Napotkał...

Pustkę!

Żadnej bariery, żadnego wiru obcości, jaki spotykał u smaksa, bartla, Yazza. Po prostu pustka, jakby nie było tam nikogo. To było tak przerażające, że Faree zadrżał i cofnął się jeszcze dalej w kąt. Gdy jednak otworzył oczy, które zacisnął ze strachu, ujrzał człowieka, takiego jak wielu innych spacerujących po górnym mieście.

Słyszał różne historyjki, opowiadane zawsze z lubością, na przykład o tym, że na jakichś odległych światach są istoty o wyglądzie ludzi, które tak naprawdę są maszynami, lecz nigdy nie dawał im wiary. Mogą one nawet myśleć, jeśli wyposażą się je w odpowiednie taśmy, tak jak można kierować statek w kosmosie do wybranego świata. Czyżby stała przed nim jedna z takich przerażających rzeczy, ni to żywych, ni martwych?

Podobnie jak rozmowa z Dune'em, tak i ta trwała krótko. Gdy jednak astronawigator odszedł, Maelen odezwała się miękko w języku, którego Faree nie znał. W szybkiej odpowiedzi lorda Kripa garbus usłyszał ostry ton.

Lady spojrzała przez ramię w stronę Faree.

- Jakiś kontakt?

Wiedział, co ma na myśli. Najpierw potrząsnął głową, a potem, w obawie, że

mogła tego nie dojrzeć, odpowiedział słowami:

- Nic. Zupełnie nic!

- Pole ochronne - powiedział lord Krip. - A to z pewnością Gildia. Jednak gdyby nas znali, wiedzieliby, że jesteśmy w stanie to wykryć i zwiększyć ostrożność.

- Może to maszyna? - spróbował Faree.

- Co o nich wiesz? - zainteresowała się lady Maelen.

- Tylko bajki - odparł. - Nikt w nie nie wierzy.

- Kiedyś były takie rzeczy - odpowiedziała powoli. - Thassowie mieli z nimi do czynienia. Ale ja również nie rozumiem, czemu wysyłano by do nas kogoś z polem ochronnym.

- Może myślą, że możemy się porozumiewać tylko między sobą i ze zwierzętami - powiedział lord Krip. - Ale przecież Gildia słynie z tego, że nikomu ani niczemu nie ufa. W przestrzeni jest wiele ras i gatunków. Zakatianie w swoich kronikach mają tylko częściowy ich wykaz wraz z opisem przymiotów fizycznych i umysłowych. Nawet nie wiedzieli o istnieniu Thassów, nim spotkaliśmy się na Yiktor. Może przecież istnieć wiele innych ras, nawet taka, która rodzi się z naturalnym polem ochronnym. Tak czy owak, wszystko wskazuje na jakieś plany Gildii. To jest ostrzeżenie, bo zgadza się z wszystkim, co o nich wiemy.

Gildia Złodziejska rozwinęła się i opanowywała świat za światem. Gdzie tylko zawędrowali kosmiczni podróżni, tam wcześniej czy później pojawiała się ona. Słynęła z wybitnej znajomości dziwnych dziedzin wiedzy i urządzeń, które skradli lub też kupili, nim jeszcze Patrol dowiedział się o ich istnieniu.

Faree oblizał wargi, po czym spytał nieśmiało:

- Czy to możliwe, żeby powszechnie było wiadomo o waszym pośpiechu, i że w związku z tym gotowi jesteście zabrać kogokolwiek?

- Tak - odparł lord Krip. - To ma sens. Jednak tych dwoje może posiadać broń czy też środki ochronne, o których nic nie wiemy. A wystartować z takimi na pokładzie...

Toggor poruszył się. Wszystkie szypułki jego oczu wysunięte były do granic możliwości i kiwały się tak, jakby wskazywały mężczyznę, który dopiero co odszedł.

W umyśle Faree powstał niewyraźny obraz. Lady Maelen pochwyciła go tak samo szybko jak garbus.

- Ten... on nie jest maszyną - powiedziała. - Smaks czuje w nim prawdziwe życie i zagrożenie.

- Yazz, Bojor. - Lord spojrział na dwa pozostałe zwierzęta.

- Żyje... Jak Yazz. Żyje - odpowiedział natychmiast ten drugi. Bartel zamruczał, usiadł na swych szerokich, potężnych tylnych łapach i wykonywał takie gesty, jakby trzymał coś w przednich kończynach.

- Myślę - powiedziała powoli lady Maelen-że możemy otrzymać specjalne ostrzeżenia ze źródeł, których nasi nowi członkowie załogi nawet się nie domyślają. Potrafią zrozumieć, że obietnicą i groźbą można nakłonić zwierzęta do występów, ale nie wiedzą, że te maleństwa dzielą z nami prawdziwe życie istot, które są sobie równe na wadze Molestera. Zastosujemy własne środki ostrożności. Założyłeś nasze zamki na klatkach? - zwróciła się do lorda Kripa.

- Tak. Sprawdzimy je dziś w nocy. Nasze maleństwa będą dobrze zamknięte, a mimo to... - Uśmiechnął się dość ponuro. - To będzie tylko przykrywka.

Garbus był już na statku, ale była to bardzo krótka wizyta i tylko w części przeznaczonej dla tych, których lady Maelen nazywała swoimi „maleństwami”. Mimo że tak samo zwracała się do chłopca, to jednak traktowała go trochę inaczej. Różnica była subtelna, lecz dająca się odczuć. Chociaż wiedział o innych światach tak samo mało jak zwierzęta, albo nawet mniej, bo one widziały coś więcej niż tylko Obrzeża, ta dwójka obcych uważała go za bliskiego krewnego.

Leżał teraz w przeznaczonym dla niego łóżku, gdyż kosmiczni podróżni wraz ze swymi przyjaciółmi - zwierzętami - postanowili wejść na statek, mimo że jeszcze nie był ukończony. To, o czym myślał Faree, nie miało nic wspólnego z wydarzeniami ostatnich dwóch dni. Rozwahał coś, czego nie zaznał nigdy wcześniej, cudowny sen na jawie. Owa iluzja skupiała się wokół niezwykłego zjawiska, jakie widział w części mieszkalnej Maelen.

Była to bryła, która zdawała się przezroczysta, całkowicie pusta i tylko niewiele większa od czegoś, co wygodnie zmieściłoby się w dwóch dłoniach. Gdy lady tego dotknęła, wewnątrz zawirowały barwy, w które chłopiec wpatrywał się zdumiony. Poczł się tak, jakby wisiał w powietrzu nad innym lądem, tak bardzo różniącym się od Obrzeży, że jedynym słowem, jakie nasuwało mu się na określenie tego zjawiska, było „sen”.

Były tam szerokie równiny, małe w granicach przestrzeni tej bryły, ale im dłużej patrzyło się na ten obraz, tym szerzej się rozciągały, jakby obserwator stawał się mniejszy od ziarenka piasku i zostawał wchłonięty przez ten krajobraz. Była też zieleń, wielkie obszary zielonych roślin ozdobionych tu i ówdzie plamami barw,

czasem pojedynczymi, a czasem tworzącymi szerokie przestrzenie. Poza tym różne inne rośliny, jakich Faree nigdy nie widział.

Gdzieś w zakamarkach pamięci coś zadrgało, tak jak wtedy, gdy wymówili jego prawdziwe imię. Barwy, rośliny, niczego takiego nie było na Obrzeżach, a jednak rozpoznał w nich to, czym były: mieszankę bogatej wysokiej trawy i... kwiaty. Okruchy pamięci nadały im odpowiednie nazwy.

Jego nozdrza rozszerzyły się. Wypełniło je jednak tylko powietrze statku, mimo iż oczekiwał czegoś więcej: czystego, silnego, zupełnie innego niż stęchły odór Obrzeży. Czemu o tym pomyślał?

- Yiktor. - Dźwięk głosu lady Maelen przerwał mu penetrację pamięci. - Thassowie przemierzają te równiny, choć ich własne siedziby leżą w pobliżu pustyni. - W skupieniu przyglądała się bryle. - Będziemy na Yiktor. W czasie obrotów pierścieni.

Obraz wewnątrz bryły znów się zakodował, tym razem z wyraźnego zamienił się w mgłę zmieszanych barw. Faree wydał krótki okrzyk protestu. Jednak bryła nie wyczyściła się całkowicie. Teraz w jej wnętrzu zawisła kula światła, a wokół niej coraz mocniej świeciły trzy wyraźne pierścienie.

Poczuł jeszcze większe zdziwienie niż na widok ukwieconego obszaru. Na niebie coś się pojawiło - cud światła niepodobny do niczego, co Faree był w stanie sobie wyobrazić. Ten obraz nie kojarzył się z niczym i nie przypominał niczego, o czym mógłby chociaż słyszeć.

Lady wyprostowała długie palce i pogłaskała bryłę tak, jak czasami bartla lub Yazza, jakby chciała się upewnić o ich istnieniu. Faree poczuł silną falę uczuć, zarówno smutku, jak i radości, choć do tego momentu nie uwierzyłby, że dwa tak różne uczucia mogą się ze sobą przeplatać.

Po chwili lady Maelen podniosła bryłę i obraz momentalnie zniknął. Wzięła delikatny kawałek pajęczego jedwabiu, w który zawinęła to, co w tej chwili było tylko jasnym, bezbarwnym bibelotem, po czym odstawiła na półkę w segmencie.

Faree pragnął ponownie ujrzeć ten kwiecisty łąd, poczuć się wciągniętym do tego snu i stać się częścią całości, akceptowaną, u... u siebie... w domu.

- Widziałeś... - lady odezwała się powoli, odwracając się od szalki, którą właśnie zamknęła - Yiktor, za którym... - Jej głos zadrżał, a po chwili dodała: - Za którym tęsknię i do którego zmierzamy.

Złączyła ze sobą dłonie, potarła jedną o drugą, jakby jej palce były zwilżone

jakaś wydostającą się z bryły substancją.

- Yiktor. - Westchnęła po raz trzeci. Potem oderwała wzrok od szafki segmentu i spojrzała na Faree.

- Widziałeś. Ale było coś jeszcze... ty pamiętałeś! O dziwo, nagle poczuł się zagrożony jej słowami. Jakby swoją dociekliwością mogła wdrzeć się do jego wnętrza... do głęboko ukrytej części, skrywanej przed światem i świadomością. Narastał w nim ból, któremu nie potrafił sprostać.

- Nie pamiętałem - odparł szybko. - Zawsze były Obrzeża... tylko Obrzeża.

- Twoi krewni... ojciec... mama? - Nie dawała za wygraną. Wystarczyło tylko utrzymywać z nim kontakt myślowy, by poznać odpowiedzi. Obrzeża, zawsze Obrzeża... ale wtedy ten człowiek...

Po raz pierwszy od wielu lat Faree wspomniawszy tego mężczyznę. Był tylko sylwetką, bez twarzy, przerażającą, wszechpotężną. Zmarł po pijanemu i Faree uciekł. Chłopiec był wtedy jeszcze małym, bezkształtnym kawałkiem mięsa, na który nikt nie spoglądał inaczej jak tylko z odrazą lub strachem. Był sam, jak Toggor. Jego krewni? Kto przyznałby się do pokrewieństwa z takim jak on? Nigdy nie widział nikogo podobnego, nawet wśród żebraków, z których niejedni samokaleczyli się, by wzbudzać litość. Trzymał się od nich z dala kierowany dziwnym uczuciem, że szukanie miejsca w ich śmierdzącym, obdartym gronie w jakiś sposób byłoby jego zgubą.

Był silniejszy, niż na to wyglądał, i miał taką siłę woli, że potrafił świetnie walczyć o przetrwanie. Jak długo to trwało? Wyrzutek Obrzeży nie dostrzegał mijających lat, lecz pory roku - ciepło i zimno. Ale ich nie dodawał.

Nim zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, Faree poczuł dłonie lady przy dekolcie swojej tuniki. Pociągnęła za materiał, ściągając go w dół i obnażając jego garb.

Spojrzał na nią w gwałtownym przypływie złości. Wtedy usłyszał mowę jej umysłu. Przynajmniej nie położyła dłoni na tym monstrualnym fałdzie ciała, który chłopiec musiał wszędzie ze sobą dźwigać.

- To nie rana, chociaż ma wygląd starej blizny. - Pokiwała głową. - Niegdyś byłam uzdrowicielką... Księżycową Śpiewaczką, która mogła zło obracać w dobro. Widziałam wiele ran i cierpienia. Thassom zagrażają inne rzeczy niż przedstawicielom innych gatunków. To wygląda raczej jak skorupa...

Faree podciągnął tunikę i dokładnie ją zapiął.

- Żadna Śpiewaczka mnie nie wyprostuje - odparł ponuro. Nie pozwoliła mu jednak odejść. Choć już go nie dotykała, to wiedział, że musi jej odpowiadać. Po raz pierwszy strasznie ciążyła mu ta umysłowa więź między nimi. To, co kiedyś zdawało się otwartą bramą do porozumienia, teraz stało się kratami więzienia.

- Nie, chyba nie. Ale wszystko ma swoją przyczynę. Czy czujesz ból?
Musiał odpowiadać zgodnie z prawdą.

- Nie... tylko ciężar. To z upływem czasu staje się coraz cięższe. -Wbrew jego woli umysł ujawnił prawdę. Dobrze znał ból kopniaków i razów, lecz ciężar na ramieniu, który tak go wykoślawił, nigdy nie sprawiał bólu. Czasami Faree odczuwał mrowienie, ostatnio coraz częściej. Raz czy dwa siła tego łaskotania zmusiła go do pocierania plecami o kamienne mury.

- Jeśli poczujesz ból, Faree - zwróciła się do niego tak, jak mogłaby do lorda Kripa - to przyjdź do mnie. Chociaż zostałam wygnana przez Thassów, to wciąż posiadam pewne umiejętności.

- Podniosła dłonie i wygięła palce.

Kiedy Faree już leżał na boku w swoim własnym kąciku (bo ku niewypowiedzianemu zdumieniu dostał małą kabinę na własność), powracał do niego każdy fragment tej rozmowy. Była szczerą, ale wiedział też, że nie może przyjąć tej propozycji. Tak przynajmniej twierdził w tym momencie. To jego własny ciężar i tylko śmierć może go z niego zdjąć.

Wspominał jednak obrazy z wnętrza bryły, które wyjątkowo go ożywiały. Tych dwoje, do których żywił niekłamanym szacunek i cześć, jakaś konieczność gnała do owego świata kwiecistych równin i księżycy o trzech pierścieniach, do którego zabierali też jego.

To, że wyruszyli następnego dnia, zabierając ze sobą dwóch członków załogi, których trzeba było obserwować, nie przerażało Faree. Dobrze wiedział, jak kontrolować wzrok i myśli, które łączyły resztę ich towarzystwa z siłą, której istnienia nikt bez umiejętności komunikacji myślowej nawet by nie podejrzewał.

Tego z polem ochronnym było widać, a drugiemu łatwo było w razie konieczności penetrować myśli, choć trzeba było uważać, aby nie przedrzeć się przez myśli powierzchniowe. Astronawigator protestował, gdy zorientował się, że statek pilotowany jest przez zapieczętowaną taśmę. Jednak na prywatnych statkach była to częsta praktyka, a poza tym nie miał zbyt wielu argumentów przeciw.

Pierwszą wartę objął Toggor. Dość długo przebywali w stanie nieważkości,

kiedy to Faree był żałośnie chory i starał się ukryć ten fakt. Smaks wówczas rozluźniał łąpy i pływał w powietrzu, od czasu do czasu chwytając się przyrządów do lądowania.

Lady Maelen przebywała z Bojorem, który boleśnie odczuwał brak odpowiedniej wagi i musiał być stale zapewniany, że taki stan nie będzie trwał wiecznie.

Gdy już znaleźli się w nadprzestrzeni, słaba siła grawitacji statku dała im przynajmniej szansę na dotknięcie stopą podłogi. Faree pozbawiony wewnętrznej niepewności postawił sobie za cel nauczyć się radzić sobie bez pomocy. Żałował, że nie ma takiej pewności siebie jak smaks.

Czas nie istniał poza bezlitośnie odmierzającymi jego upływa przyrządami na statku. Używali wielu zegarków, na podstawie których albo lord Krip albo lady Maelen obejmowali wartę z jednym z członków pośpiesznie zebranej załogi. Faree nie miał przydzielonych obowiązków. Mógł leżeć na swojej pryczy, jak długo chciał, zjednoczony myślami z Toggorem, i coraz lepiej opanowywać umiejętność kierowania wzrokiem smaksa tak, by z jego pomocą móc zwiedzać statek na odległość.

Rozdzieleni ustalonym podziałem wart, dwaj mężczyźni; przyjęci na statek nie mieli widocznych powodów, by się spotykać. I nie robili tego.

Podczas dziesiątej z kolei pory snu Faree zbudził się z niespokojnej drzemki. Nie wiedział, co przeszkadzało mu zasnąć tak głęboko jak zwykle. Spojrzał na środek małej kabiny i ujrzał sunącego po podłodze Toggora, który właśnie przecisnął się przez szczelinę drzwi. Pazury smaksa wysunęły się i Faree opuścił rękę, by zwierzątko mogło się po niej wspiąć.

Tak jak kiedyś Toggor odczuwał ból i zimno, tak teraz czuł strach. Wspiąwszy się po ciele garbusa, wcisnął się za dekolt tuniki.

Chłopiec usiadł i zwiesił cienkie, karłowate nogi z boku łóżka. Obiema dłońmi objął smaksa i przytulił do piersi.

- Co?... - zaczął i wtedy znów zauważył, że kontakt, myślowy nie jest wyraźny. Spróbował więc rozszyfrować emocje. To, co uzyskał, najpierw go zaskoczyło, a potem rozżłościło.

Przekazany przez Toggora obraz był bardzo niedokładny i przedstawiał pierwszy poziom. Było coś, co wyraźnie stanowiło część siedzenia pilota i potem... potem pojawił się but okuty metalem, jak wszystkie w kosmosie, który poszybował

ponad badawczymi szypułkami i chciał uderzyć smaksa. Po chwili nastąpiło gwałtowne poruszenie, którego Faree nie mógł zrozumieć, lecz było jasne, że ktoś z załogi, nieomal zmiażdżył Toggora, nim ten spróbował uciec ogarnięty przerażeniem. Który z członków załogi... i dlaczego?

Faree cierpliwie próbował opanować ten strach, przedrzeć się przez jego lodowatą kurtynę, by uzyskać odpowiedź.

Członek załogi... nie mógł już zdobyć bliższej wskazówki. Może dla Toggora obaj wyglądali tak samo. Rozmazana postać pochyliła się i próbowała wyrwać ścianę sterowni. Przynajmniej tak widział to Toggor.

Faree nie miał pojęcia o podziale obowiązków na pokładzie. Ten człowiek mógł wykonywać jakieś regulaminowe zadanie. Jednak relacja Toggora tak nim wstrząsnęła, że spróbował wezwać lorda Kripa, który powinien właśnie kończyć wartę.

Sygnal myślowy napotkał... pustkę!

Owa próżnia była tak nieprzeparta jak wokół Quanhi. Zupełnie jakby lord Krip przestał istnieć.

Taka odpowiedź wywołała przerażenie równie wielkie jak u Toggora. Faree zeskoczył z łóżka i sięgnął do jednej z przegródek. Wydobył stamtąd coś, co odkrył podczas wcześniejszego zwiedzania statku - ogłuszacz. Broń ta nie bardzo pasowała do tak drobnych i słabych dłoni jak jego, mógł ją jednak unieść. Choć niemożność przytrzymywania się obiema rękami utrudniała poruszanie się w warunkach słabej grawitacji, Faree z bronią w ręku i Toggorem na piersi opuścił kabinę. Po drodze szukał psychicznego kontaktu z Bojorem i Yazzem. Obaj odpowiedzieli bez problemów.

Lady Maelen... czy odważyć się na próbę nawiązania z nią kontaktu, czy też taka próba może go zdradzić przed tymi z polem ochronnym?

Rozdział 6

Faree najpierw wyczuł to w części centralnej, gdzie znajdowała się drabina łącząca dwa poziomy statku. Był to tylko śladowy, lepki, słodkawy zapach, który przywodził na myśl paskudne opary z Obrzeży i nie powinien występować w sterylnej atmosferze statku kosmicznego. Roznosił się w powietrzu, dochodzącym z przewodów na górnym poziomie. Faree poczuł się lekko oszołomiony, jakby unosił się gdzieś w rozległej przestrzeni, sam, bez statku zapewniającego mu bezpieczeństwo.

Lady Maelen! Oto jej kabina. Zbliżył się do drzwi i stanął jak wryty. Na całej ich szerokości, mocno wciśnięta we framugę tkwiła sztaba uniemożliwiająca wyjście z kabiny. Faree odłożył ogłuszacz. Nacisnął na sztabę całym swoim ciężarem, ale pozostała nieruchoma, jakby była wrośnięta.

Sapiąc, ostrożnie próbował nawiązać kontakt myślowy. Był pewien, że ta, której szuka, jest wewnątrz, lecz poczuł... pustkę! To samo, co napotkał w przypadku lorda Kripa. Nie mógł jednak uwierzyć, by którekolwiek z nich było martwe.

Jeszcze nie do sterowni... jeszcze nie. Podniósł ogłuszacz i powlókł swe koślawe ciało na dół, w stronę specjalnych pomieszczeń zainstalowanych dla Bojora i Yazza. Oczy go piekły, poczuł ociężałość i potrzebę odpoczynku, co z pewnością było skutkiem działania jakiegoś składnika powietrza, wpuszczanego przez przewód powietrzny. Jednak w miarę jak schodził niżej, oddychając bardzo płytko, zauważył, że ów mdląco słodki zapach niknie. Gdy dotarł na domy poziom, czuł już tylko woń bartla, ostry zapach jego futra.

- Co się dzieje? - Pytanie Yazza dosięgło Faree, gdy zszedł z ostatniego szczebla drabiny i zbliżał się do klatki większego zwierzęcia. Między nimi, mocno przyciśnięty do ściany, stał Yazz. Jego oczy błyszczały w ciemnościach, a rozchylone wargi ukazywały kły, niemal tak wspaniałe jak u Toggora.

Faree szybko ruszył naprzód.

- Kłopoty. - Mógł tylko przekazać im własne obawy, lecz to wystarczyło, by oba zwierzęta postawić na równe nogi.

Yazz odpowiedział prostym szcęknięciem, a Bojor wydał ryk z głębi piersi. W mgnieniu oka obaj znaleźli się przy drzwiach swoich klatek, gotowi do biegu, gdy tylko się ich wypuści. Poza statkiem, na lądzie, byłiby wspaniałymi zawodnikami. Tu

jednak chodziło o coś innego. Faree przykucnął przed zwierzętami i najlepiej jak potrafił, nadał im myślami to, co odkrył. Podkreślił przy tym swój strach przed zanieczyszczeniem dopływu powietrza. Oba zwierzęta komunikowały się szybciej i wyraźniej niż smaks.

- Brak jedzenia - nadał Bojor. - Od ostatniego snu nic do jedzenia.

Faree domyślił się przyczyny takiego stanu rzeczy. Członkowie załogi nie mieli powodów, by karmić bartla czy Yazza, dwa bezwartościowe dla nich zwierzęta. Garbus powlókł się do przeciwległej ściany. Były tam dźwignie, które lord Krip testował przy nim na różne sposoby, nim opuścili Świat Granta. Chłopiec zawiesił się całym ciałem na najbliższej dźwigni i ze ściany wysunęły się płaskie placki z odżywką, które wpadły do obu klatek.

Zwierzęta rzuciły się najedzenie. Gdy jadły, Faree przyglądał się uważnie zamkom klatek. Były one również zaprojektowane z rozwagą i chociaż robotnicy nie zdawali sobie z tego sprawy, nacisk z jednej strony pozwalał istotom uwięzionym wewnątrz wydostać się przy użyciu łap. Przed ich instalacją Bojor został ostrzeżony, by nie zapuszczał się za daleko na statek.

Faree nacisnął. Klatki mogły się wydawać nietknięte, lecz ich mieszkańcy byli wolni i mogli to wykorzystać według własnych potrzeb lub chęci. Nagle rozległ się łomot spadania. Garbus odwrócił się i chwycił za ciężki ogłuszacz.

To Toggor zsuwał się na dół. Kilka łap luźno owinął na metalowej linii, stanowiącej poręcz drabiny. Wszystkie oczy smaksa sterczały na zewnątrz i były otwarte. Od tego niewielkiego stworzenia emanował strach i wzburzenie, z przewagą tego drugiego.

- Co się dzieje? - Faree zadał pytanie, którym wcześniej powitał go Yazz.

Po raz kolejny otrzymał w odpowiedzi zamglony obraz członka załogi w sterowni. Ta niewyraźna postać waliła z całej siły w jedną część ściany i za pośrednictwem smaksa płynęła od niej gwałtowna złość i frustracja.

Cokolwiek ten człowiek próbował tam robić, zdawało się, że nie może tego osiągnąć i stąd pochodziła jego złość.

- Lord? - spytał po chwili Faree, przedstawiając najlepszą kopię kosmicznego wędrowca, jaką potrafił wygrzebać z pamięci.

Odpowiedzią było przedstawienie drzwi ze sztabą tak mocno dociśniętą jak na tych, które więziły lady Maelen. Może oszołomiony narkotykiem w powietrzu Krip został pobity i potem zamknięty.

W relacji smaksa występował tylko jeden członek załogi. Gdzie więc jest drugi?

Warkot bartla i zgrzyt kłów Yazza wskazywały, że oni również odebrali raport Toggora. Jeśli jednak obaj kosmiczni podróżni zostali zamknięci w swoich kabinach, jak i dlaczego chłopcu udało się wydostać?

Może, jak podejrzewał, wydawał się on tak mało godnym uwagi przeciwnikiem, że członkowie załogi nie widzieli podstaw, by się go obawiać, i potraktowali go jak jedno z maleństw Maelen. Cóż. Westchnął głęboko i skierował się ku drabinie. Nie czuł ani śladu gazu. Był wolny, podobnie jak Toggor i pozostała dwójka.

Już wcześniej przeszedł przez statek wraz z Toggorem i znał go dobrze. Każda kabina, spiżarnia, przejście głęboko tkwiły w pamięci chłopca. Teraz, z ogłuszaczem na kolanach, zwrócił się znów do smaksa, który z nich dwojga z pewnością miał większe szansę, by przemknąć nie zauważony.

- Drugi mężczyzna... - powiedział to na głos, równocześnie wysyłając wiązkę myśli. - Ten drugi...

Cząstka frustracji osobnika w sterowni udzieliła się chłopcu, mimo że kontakt ze smaksem był tak ograniczony. Wyglądało to tak, jakby zwierzątko miało coś zyskać na tej komendzie, bo chętnie wróciło do liny, po której przyszło, i zaczęło się wspinać.

Faree musiał pamiętać jeszcze o jednym: na pewno obaj mężczyźni są uzbrojeni, i to prawdopodobnie w dużo potężniejszą broń niż ta, którą on sam trzyma tak nieporadnie. Ostrze siłowe lub laser mogłyby zakończyć wszelką konfrontację jeszcze przed jej rozpoczęciem. On...

Z całą bezpośredniością uderzenia poczuł sygnał myślowy... to lord Krip!

- Maelen? - Pytanie to zabrzmiało w głowie Faree z taką mocą, jakby do uszu dotarł silny krzyk.

Nie było odpowiedzi. Wtedy wtrącił się garbus:

- Jej kabina... jest zablokowana. Czy pańska też? Toggor tak twierdzi.

- Faree!

- Tak. Jestem wolny. Razem z Yazzem i Bojerem. Toggor jest na czatach.

Jeden z mężczyzn próbuje coś robić w sterowni, ale mu się nie udaje. Nie wiem, gdzie jest drugi...

- Gaz usypiający. A ty?

- Widocznie mną się nie interesowali - odparł garbus wymijająco.

- Rygiel. - Nadeszła odpowiedź. - Trzeba go usunąć. Czy możesz...

- Nie mogę się ruszyć, póki nie wiem, gdzie oni są... - przerwał Faree ze stwierdzeniem, które uważał za słuszne.

- Poczekaj!

On również to poczuł... poszukującą myśl... choć nie była skierowana ku niemu. Bojor znowu warknął i tym razem skrobął pazurami po wewnętrznej stronie drzwi. Chłopiec podniósł dłoń i wykonał znak, który to duże zwierzę najwyraźniej zrozumiało.

- Teraz obaj mają pola ochronne. - Lord Krip ponownie zwrócił się do Faree: - Nie mogę ich odnaleźć...

- Tam jest Toggor. Poszedł szukać na górze...

Więzień uchwycił się tego natychmiast.

- Szukaj! Nakarmię cię... szukaj go!

Całe powyginane ciało Faree zatrzęsło się w odpowiedzi. Do jego mózgu napłynęła taka moc, że sam nie uwierzyłby, iż może taką ogarnąć. Pomyślał o smaksie, wyobraził go sobie dokładnie i pozwolił tej dodatkowej mocy podążyć ścieżką tej myśli.

Po raz pierwszy obraz, który otrzymał, był dużo mniej zamglony i pod dziwnym kątem. Smaks musiał być na poziomie podłogi, a inni wznosili się wysoko nad nim. Toggor znów przeszukiwał sterownię. Jeden z mężczyzn klęczał na podłodze, a wokół porozkładane były narzędzia. Pracował nad pulpitem, który nijak nie poddawał się próbom poluzowania.

- Tam jest blokada osobista. - W myśli lorda Kripa dała się wyczuć ulga. - Nigdy tego nie otworzą bez całkowitego zniszczenia taśmy.

- Czego oni chcą? - ośmielił się zapytać Faree. Bolała go głowa, więc jedną ręką pocierał czoło. Przekazywanie wiązki myślowej lordowi było jak panowanie nad falą ognia.

Nagle, jakby rozmówca wyczuł jego ból, owa fala ustała i Faree stracił kontakt ze smaksem tak niespodziewanie, jakby ktoś oddzielił ich barierą.

- Taśmy pilotażowej. - Nadeszła odpowiedź. - Chcą zamienić taśmę. Nie da się tego zrobić. Blokada podda się tylko... Maelen!

W tej wypowiedzi był niepokój, jakby lord Krip poruszył niebezpieczny temat. Lady była uwięziona, mogli ją zmusić do zrobienia czegoś, czego sami nie są w stanie

wykonać. Faree nie bardzo rozumiał, dlaczego jeszcze nie spróbowali tej metody.

- Może się boją... - odpowiedział lord. - Krąży wiele opowieści o mocy Thassów, a ona jest Księżycową Śpiewaczką. Od czasu jej pojedynku ze złem na Sehmet opowiada się jeszcze więcej. Jednak nie możemy liczyć na to, że same plotki utrzymają ich z dala od niej.

- Yazz ma kły, starszy bracie. - Po raz pierwszy wtrącił się ktoś z pozostałych.

Zaraz potem nadeszła inna gorąca, na wpół uformowana myśl - gwałtowny pęd ataku bartla na bliżej nieokreśloną ludzką postać.

- Jeszcze nie - odparł lord Krip bezpośrednim, myślowym rozkazem.

Faree wznowił kontakt ze smaksem. Małe zwierzątko kręciło się po sterowni. Tym razem chłopiec odebrał nie tylko obraz mężczyzny, wciąż wojującego z pulpitem sterowniczym, lecz również mgliście przedstawiony zarys tego drugiego, siedzącego w czymś, co Farre już poznał jako miejsce astronawigatora. Wyglądało to tak, jakby ten drugi tylko czekał na wynik działań pierwszego, by móc przystąpić do własnych zadań.

Więc obaj są w sterowni! Faree utrzymywał już tylko słabą nić porozumienia z Toggorem i zaczął wspinać się po drabinie. Jedną ręką przyciskał do piersi ogłuszacz, a drugą chwycił się lin służących za balustradę.

Minął poziom, na którym znajdowała się jego kabina. Wiele wysiłku kosztowało go dotarcie na następną kondygnację, gdyż tylko uścisk ręki na linie mógł mu pomagać w pokonywaniu kolejnych szczebli. Dodatkowym utrudnieniem była słaba grawitacja, do której nie był przyzwyczajony, i brak butów magnetycznych.

Jeszcze raz stanął przed kabiną lady. Sztaba była na miejscu. Odłożył swoją broń i spróbował usunąć tę barierę jeszcze raz. Było to jednak ponad jego siły, jakby zaporą była przybita do drzwi. Spróbował sięgnąć myślą i tym razem nie spotkał się z pustką, doszła go mglista, falująca odpowiedź, która mogła pochodzić od kogoś wychodzącego z głębokiego snu.

- Obudź się! - Nadał tej myśli siłę tak wielką, jak tylko mógł. - Obudź się!

Odpowiedź była wyraźniejsza, o wzorze czujnym i zdecydowanym, który Faree skojarzył z lady Maelen. Przebudziła się już całkowicie i domagała informacji tak bardzo jak lord Krip. Właśnie on udzielił jej pierwszych odpowiedzi. Wtedy zwróciła się do Faree:

- Sztaba... jak jest przymocowana?

Chłopiec przykucnął z ogłuszaczem w rękę, by przyjrzeć się barierze

blokującej drzwi i przedstawić ten obraz. Tak... tak... i tak...

- Blokada osobista! - Poczul odpowiedź, gdy skończył. - Teraz...

Jednak to, co chciała przekazać, przerwał sygnał od smaksa.

Toggor wyszedł już ze sterowni i schodził na dół po poręczu z lin. Ci dwaj przemieszczali się, chyba schodzili na niższe piętro. Chłopiec zsunął się po drabinie w dół i ukrył za drzwiami swojej kabiny. Gdyby doszli aż tu, mógłby schować się wewnątrz.

Zapach gazu usypiającego nie był już wyczuwalny na poziomie więzienia lady Maelen. Może mieli jakąś metodę odfiltrowania go z powietrza.

- Idziemy. - Dotarła do chłopca wspólna myśl Bojora i Yazza. Szybko zareagował na ich propozycję. Żadne zwierzę nie mogłoby łatwo i szybko zejść po drabinie, a oni obaj byłiby wyjątkowo łatwym łupem mężczyzn, wyposażonych w ogłuszacze i przeklęte pistolety laserowe.

Faree nasłuchiwał zarówno uszami, jak i całym umysłem. Toggor jeszcze nie dotarł na tę kondygnację. Jego oczy na szypułkach obserwowały drabinę przy zamkniętych drzwiach, które mogły oznaczać kabinę lorda Kripa. Czyżby piloci wierzyli, że to Krip jest tym, który posiada potrzebne im informacje?

- Uwaga... - Padło jedno słowo od uwięzionego mężczyzny. Faree przez sekundę miał wrażenie, że lord podejrzewa, iż ci dwaj w jakiś sposób potrafią oceniać czy podsłuchiwać komunikację myślową. Szybko więc chłopiec porzucił ten tok myślowy, lecz utrzymał więź z Toggorem. Równie dobrze mogłoby być tak, że potrafią wyczuwać wymianę ludzkich myśli, lecz nie podejrzewają jej między swymi więźniami a zwierzętami.

Słychać było wibracje ścian statku. Był to jednostajny szmer, metaliczne rżenie. Potem wzdłuż szybu z drabiną napłynęły głosy.

- Nie próbuj niczego, Thassa. Mamy pola ochronne. Mamy też to. Te twoje dłonie... jak podobałby ci się przypieczony paluszek? Albo odcięte ucho... to by wystarczyło, żeby poznać twoje myśli, co? Wyłaź i chodź na górę do sterowni. Chcemy otworzyć kieszeń z taśmą, i to natychmiast!

- Blokada osobista - odezwał się Quanhi. - Sprytne, no nie? Ale to, co zmontowano, można równie szybko rozmontować. Ruszaj się!

Prowadzili za sobą lorda. Po chwili dał się słyszeć trzask magnetycznych butów na drabinie. Przecież to lady Maelen ustawiła blokadę! Co się stanie, kiedy się o tym dowiedzą i wrócą po nią? Może zostawią lorda okaleczonego, jak to sugerował

jeden z nich.

Gniew Faree wezbrał, jak wzbierał już nieraz w jego krótkim życiu. Przedtem musiał go w sobie dusić, był bezsilny wobec tych, którzy wywoływali złość. Teraz... teraz z pewnością da się coś zrobić! Ma broń w dłoni i Toggora do pomocy.

- I nas. I nas...

To szybkie zapewnienie nadeszło z dołu, zaskakując go tym, że Bojor i Yazz też kierowali się nagłym gniewem. Bartel... czy ten olbrzym mógłby pokonać rygiel na drzwiach lady i ją wyzwolić?

- Idę. - Tylko na wpół wyczuwalna wiadomość od Bojora wyrażała niemal taką złość jak warczenie pyskiem.

- Jeszcze nie. - Wielkość zwierzęcia i jego niezdarność na drabinie mogły spowodować zbyt duże opóźnienie. Faree oparł ogłuszacz o stopień ponad swoją kryjówką i usiłował zebrać myśli.

Jeszcze raz wrócił na ten poziom, na którym znajdowała się zaryglowana kabina lady Maelen. Z ogłuszaczem w dłoni, bacznie obserwując to drabinę, to drzwi, przesuwając dłoń po ich powierzchni na wysokości swojego podbródka. Łatwo było wyczuć wgłębienie na kciuk, będące oznaką zabezpieczenia osobistego, które odpowiadało tylko jednemu członkowi załogi.

Zablokował swój umysł, nie próbował nawet komunikować się z lady, żeby ci inni nie mogli go podsłuchać. Stał w pobliżu drabiny i skupił uwagę na wszystkim, co działo się na górze. Dopiero wtedy odważył się dać sygnał niespokojnej dwójce czekającej na dole.

Potęźnie zbudowany Bartel miał kłopoty z przejściem. Pomagał sobie licznymi pomrukami i dławionym warczeniem. Najpierw pojawiły się ciężkie ramiona i głowa z kępką włosów, a po chwili Faree musiał posunąć się o jeden stopień do góry, by pozostawić cały ten poziom Bojerowi.

Wokół sztaby owinęły się obnażone długie pazury. Bartel tak napiął mięśnie ramion, że aż grube włosy stanęły na sztorc. Faree widział, że zwierzę wykorzystuje całą swoją siłę. W tej samej chwili z góry nadeszło ostrzeżenie od smaksa:

- Ktoś idzie!

Może przeciwnicy już się dowiedzieli, że tylko lady może rozwiązać ich problem, i chcą ją wyciągnąć do przetestowania swoich metod perswazji. Faree przywarł do drabiny w jej środkowej części, gdzie stopnie były najszerze. Obiema rękami trzymał gotowy do użycia ogłuszacz i czekał.

Pojawiły się nogi w szarym kosmicznym kombinezonie, a potem reszta Pitora Dune'a. Zupełnie nie przypominał tego zdegenerowanego bywalca Obrzeży, jakim był niedawno. Poruszał się pewnie, jakby był panem tego statku.

Faree wystrzelił. Mężczyzna zgiął się w pół i runął w przód. Garbus nawet nie zdążył usunąć się z drogi. Usłyszał krzyk, który na wpół sparaliżowany mężczyzna wydał, spadając na garbatą postać, po czym oboje wylądowali na futrzastym bartlu, który warczał i obnażał kły.

Chłopiec wygramolił się spod ciała mężczyzny i odepchnął je w stronę Bojora, który używał teraz zarówno zębów, jak i pazurów do walki z upartym uściskiem sztaby.

Wytaczając się spod mężczyzny obrzucającego go obelgami, Faree doznał nagle olśnienia. Zwrócił się do umysłu bartła z prośbą o odsunięcie się na chwilę. Potem popchnął i postawił bezwładnego, lecz klnącego mężczyznę przed drzwiami i wcisnął jego kciuk we wgłębienie. Istniało pięćdziesiąt procent szans na to, że to on zatrzasnął rygiel.

Zamek jednak nie drgnął i Bojor poirytowany tym, że przeszkodzono mu w działaniu, silnym pchnięciem odsunął Faree wraz z przytrzymywanym pilotem. Bezwładny więzień ześlizgnął się w głąb szybu i zniknął, zanim garbus zdążył go zatrzymać. Z góry dobiegł krzyk.

- Co się dzieje? Czy ta wiedźma wyszła? Odpowiedz, Dune!

Ponieważ odpowiedź nie nadeszła, stopnie schodów przeszył promień lasera, który pozostawił po sobie rozpuszczone krople na metalowej linii.

W tym czasie Faree usiłował przywołać Bojora z powrotem, poza linię ognia. Zwierzę wydało ostatni głęboki pomruk i uparta sztaba drgnęła. Poruszając nią od tamtego końca, bartel mógł już całkiem ją wyciągnąć i otworzyć drzwi.

Lady Maelen stała na wprost. W dłoni ścisnęła ogłuszacz, a na jej twarzy malowało się ponure zdecydowanie. Nie przemówiła, ani też nie przesłała myślami rozkazu - dała sygnał dłonią. Bartel jeszcze raz wydał gardłowy pomruk, po czym ostrożnie wycofał się na drabinę. Przepchnął ciało przez otwór i zaczął schodzić. Faree, również posłuszny temu sygnałowi, przywarł plecami do ściany i z ogłuszaczem w pogotowiu czekał na rozkazy.

- Jednego już nie ma? - Jej pytanie nie padło drogą myślową, lecz szeptem tak delikatnym, że Faree ledwie go dosłyszał.

Skinął głową twierdząco i wskazał szyb drabiny.

- Słuchaj, diabelska suko - usłyszeli z góry. - Chcesz, żeby twój chłoptaş się tu usmażył?

- A ty chcesz - odpowiedziała - wylądować wśród naszych przyjaciół i musisz im się tłumaczyć z naszej nieobecności? Minęliśmy już punkt zwrotny. Czy tego chcesz czy nie, jesteśmy sterowani taśmą i nic, prócz zniszczenia całego systemu, nie może przerwać wykonywania zaprogramowanych instrukcji. Chcesz umrzeć w dryfującym wraku?

- Przyjaciele czekają? - Niewidoczny porywacz na górze zdawał się uchwycić tylko jeden z jej argumentów. - Nie masz przyjaciół, przekłeta wiedźmo. Wygnał cię twój własny lud i nie masz powrotu bez ponownego złamania ich praw. Widzisz, znam cię, ty, nosząca cudze dała! A teraz czy się poddajesz, czy mam ugotować tego twojego fałszywego Thassę?

- Przysięgam ci na Molestera, nie ma sposobu, by zmienić taśmę. Zajechaliśmy już za daleko. - Stała bardzo blisko szybu z drabiną, ale poza zasięgiem wzroku tego, który musiał być na górze, może zaraz przy drabinie, bo ostatnie zdania brzmiały dużo głośniej.

- A więc to Yiktor, tak, o tym mówiłaś? Dobra, są tam ci, którzy mogą się tobą zająć tak łatwo, jak ja mogę ugotować tego twojego znajomka. Czekaj i patrz...

Jednak ten pewny siebie głos urwał się w pół słowa. Rozległ się okrzyk obrzydzenia, który po chwili przeszedł w ból. Z drabiny runął niewielki pistolet, w którym Faree rozpoznał laser. Broń uderzyła o krawędź szybu, odbiła się i upadła gdzieś poza zasięgiem wzroku.

Drugi przypływ bólu przeszedł w agonię. Wtedy Faree ujrzał Toggora zsuwającego się po linie. Jego łapy połyskiwały jasn  czerwieni  i kapały z nich zielonkawe krople. Już sporo czasu minęło od chwili, gdy smaks wy dostał się z r k Russtifa. Nikt nie odciągał jadu z jego pazurów. MoŜe to nie wystarczyło, by zabić człowieka, ale Faree wiedział, Ŝe ból z ran zadanych przez smaksa był nie do zniesienia.

- Wszystko jasne! - Dobięły ich odgłosy krótkiej walki, a gdy ucichły, lady Maelen podeszła do drabiny i zaczęła się wspinać. Faree ruszył za nią.

To, czego szukali, znaleźli jeden poziom niŜej niŜ sterownia. Na podłodze, z dłońią czerwoną tak bardzo, jakby była poparzona, leżał Quanhi. Jego oczy były zamknięte, a ciało leżało nieruchomo. Najpierw Maelen, a potem Faree przeszli dalej, by ujrzeć lorda Kripa opartego o ścianę, pocierającego palcami jednej r ki d on

drugiej, na której skóra na kostkach była zdarta. Maelen odwróciła się i bez słowa przyłożyła przyniesiony ogłuszacz prosto do głowy nieprzytomnego już mężczyzny.

- Niech odpoczywa w pokoju - powiedziała. - Ale najpierw... - Uklękła i przesunęła palcami po krótkich, ciemnych włosach swojego więźnia. - Nie ma pajęczyny ochronnej. To musi być... - Potrząsnęła głową, jakby chciała zaprzeczyć własnym słowom. - Jakiś implant.

- Może mieli wyprane mózgi - podsunął myśl lord Krip.

- Ten miał pole ochronne od samego początku. Ale Pitor Dune nie, przynajmniej przed startem. Na statku już miał. Ciekawe, gdzie chcieli wylądować.

Rozdział 7

- Myślę, że na Yiktor - odparł lord. - Ale spodziewali się, że wylądujemy w porcie i...

Lady lekko się uśmiechnęła.

- To ich zaskoczmy. Wjedziemy do Suchego Wąwozu, o ile taśma okaże się prawdziwa. Ten, kto ją ustawiał, nie miał jednak powodów, by nas oszukiwać. Sprawdziłam go, nim zapłaciłam. Jedyne, co mógł zrobić, to przesunąć nasze punkty nawigacyjne. Wiadomo, że ręce... i uszy... Gildii są długie.

- Manus Hnold dał słowo - odpowiedział jej towarzysz.

- On jest Wolnym Kupcem, a oni są przyzwyczajeni do utrzymywania w tajemnicy lądowisk, które mogą się jeszcze przydać.

- Zaraz będziemy zwalniać, maleńki - zwróciła się do Faree. - Znajdź sobie bezpieczne miejsce, bo statek będzie się obracał. A tamci... - Spojrzała na mężczyznę, z którym walczył lord Krip, i za nim, na szyb z drabiną. Z dołu wciąż dobiegał bełkot przekleństw. - Ich też trzeba umieścić w kabinie.

Nie było to łatwe. Bezwładne ciała tych dwojga sprawiały kłopot nawet bartłowi, który na większej przestrzeni poradziłby sobie bez trudu. W końcu jednak każdy z nich został przypięty pasami bezpieczeństwa do własnego łóżka, a Bojor i Yazz wrócili do swoich klatek, gdzie zastosowali własne sposoby ochrony przed skutkami zmiany prędkości.

Toggor znowu wdrapał się za dekolt tuniki Faree i płasko przylgął do ciała. Lady i lord weszli do sterowni i przypięli się pasami. Garbus był w swojej kabinie, ogłuszacz też przypiął do pasów bezpieczeństwa. Zmusił się do relaksu i czekał na nieważkość oraz zawroty głowy towarzyszące powrotowi w normalną przestrzeń. Gdy tak leżał, jego umysł pracował równie intensywnie, jak bezczynne pozostawało ciało.

Gildia. Jej potężne macki sięgają z jednej gwiazdy na drugą. Może są powiększane przez plotki, a może nawet one nie mogą oddać pełni jej potęgi. Tam, gdzie jest prawo, jest też Gildia - to sprawa równowagi. Faree zawsze to wiedział. Każda planeta powinna strzec sama siebie. Patrol interweniuje tylko tam, gdzie dochodzi do zatargów między światami lub wystąpień przeciwko światom niepodległym, w których Gildia „wycięła” dla siebie skrawki „bezpiecznych portów”. Są też światy, o których słuchy głoszą, że lądujące tam statki wymieniają ładunki

opłacane jakimiś tajemniczymi sposobami. Gdziekolwiek dochodzi do odkrycia niezwyklego znaleziska, tam wcześniej czy później pojawia się Gildia.

Obecni przyjaciele Faree mówili o Sehmet, o Wolnym Kupcu, który przez brak zasilania zmuszony był wylądować na planecie uważanej za martwą. Trafił tam na wielki zbiór dzieł sztuki Pionierów i wiedzę, z której korzystała już Gildia. To, że organizacja ta nie przyjęła ze spokojem pomieszczenia jej szyków, wydawało się bardzo prawdopodobne. A lord Krip i lady Maelen mieli w tym swój udział. Faree lekko pokiwał głową, bo tylko na tyle pozwalały mu zabezpieczające go pasy. Tak, Gildia może ich ścigać.

Czekał na pojawienie się strachu. Poczul go wraz z dreszczykiem emocji, bo dobrze wiedział, że gdyby jeszcze raz miał wybierać, wybrałby tak samo. Dla lorda Kripa i lady nie był odpadem z Obrzeży, lecz kimś - Faree - komu można ufać.

Przejsie! Faree poczul, jak zostaje wepchnięty w łóżko. Pościel wydała mu się nagle jak z ołowiu, zupełnie nie jak ta delikatna powierzchnia, na której wypoczywał dosłownie przed momentem. Poczul silny ból głowy, a potem nieważkość i nudności równocześnie.

Po chwili, gdy ów atak minął, Faree ośmielił się odpiąć pasy bezpieczeństwa i wdrapać do sterowni. Usadził swe drobne ciało na miejscu oficera, którego zamknęli. Lord Krip i lady Maelen pochłonięci byli obserwowaniem ekranu, na którym plamy światła, w miarę przedzierania się statku przez normalną przestrzeń, stawały się coraz większe. Lady Maelen odezwała się pierwsza:

- Wylądujemy chyba w nocy. Ten kod... - Wyciągnęła się w przód i palcami prawej ręki zaczęła manipulować przy przyciskach. - To nas przeprowadzi przez wszelkie straże na orbicie. Miejmy nadzieję, że go nie zmienili.

Po jakimś czasie skupili uwagę na jednej ze świetlnych kul. Faree wiercił się i wyginał w fotelu, by móc zobaczyć, jak wyznaczony przez nich cel pędzi w ich kierunku. Z planów, z którymi zapoznał się wcześniej, wiedział, że wejdą dwukrotnie na orbitę, a potem ustawią pilota automatycznego na miejsce, do którego gwiazdnymi szlakami prowadzi ich taśma.

Wszystko to wyglądało jak sen. Pomyślał, że migocząca gwiazdami przestrzeń jest zimna i samotna. Faree zastanawiał się, jak wygięty pasek metalu, o wyglądzie wstążki, może wprowadzić statek bez żadnego działania z ich strony? Wiara w coś takiego przerastała jego możliwości, a czasu do koniecznego lądowania było coraz mniej.

Wreszcie z rozwagą zamknął oczy i odwrócił głowę. Nie chciał widzieć, jak jakiś świat pędzi na niego. Wydawało mu się, że zaraz rozbije się o tę kulę niczym owad o szybę, której nie potrafi ominąć.

Przygniotła go gigantyczna dłoń, która wydawała się tak wielka, jak całe ciało bartla. Faree poczuł ból przeszywający garb, jakby rozcinano go nożem, i słono-słodki smak krwi w ustach. Potem zapadła ciemność i nicość, niczym przestrzeń między gwiazdnymi światami.

- Faree! - wołał jakiś głos. W odpowiedzi niechętnie wygrzebał się z ciemności. Spojrzał do góry, na twarz lady Maelen, która przetarła wilgotną szmatką jego nos i usta. Na materiale pokazały się ciemne plamy krwi. Mimo że bolało go całe ciało, chwycił za poręcz fotele i podciągnął się.

- Nic mi nie jest - odparł szybko, żeby nie pomyśleli, że trzeba się nim zajmować, jakby był jednym z łych więzionych w klatkach „maleństw”.

Poczuł jej przenikającą myśl, na którą natychmiast zareagował. Nie, nie chce troski, chce tylko być traktowany tak, jakby należał do ich wyprostowanego gatunku.

Cofnęła się.

- Ależ jesteś jednym z nas, Faree. - Nie powiedziała tego myślami, ale ustami, potwierdzając jakby słowem istniejący układ.

Nie próbował odpowiedzieć. Wystarczyło na niego spojrzeć, by zrozumieć, że mówiła tak z litości, a myśl o tym, że chce mu oszczędzić przykrości, spowodowała gwałtowną falę gniewu, którego nie mógł wypowiedzieć.

Lord Krip wciąż siedział w kołyszącym się krześle kapitana. Przebiegał palcami po pulpicie, którego wcześniej używała lady Maelen. Nagle Faree zauważył, że wibracje, które przeszywały go podczas lotu, zniknęły. Statek trwał w bezruchu i milczeniu. Na ekranie widać było wysokie wzniesienia nagich skał. Istotnie wylądowali, a sądząc z wyglądu tego miejsca, nie był to żaden port.

Na skałach tliło się zielonkawe światło. Lady Maelen wysunęła się o krok do przodu i delikatnie dotknęła ramienia lorda, Faree nie wyczuł jednak żadnej komunikacji między nimi. Po chwili scena na zewnątrz statku uległa zmianie.

Zniknęły oświetlone skały z głębokimi, zacienionymi wgłębieniami, a na niebie, które wcale nie było ciemne, pojawił się księżyc. Ów złocisty glob otaczały dwa świetlne pierścienie, całkowite i wyraźne. Za nimi majaczył mglisty zarys trzeciego, który był ledwie bladym cieniem dwóch pozostałych.

Lady Maelen uniosła ramiona, jakby była w stanie objąć to cudowne zjawisko.

- Trzy pierścienie... jeszcze nie, ale już niedługo! - W jej głosie słychać było triumf, jakby wyszła zwycięsko z jakiejś ciężkiej walki, by znaleźć się w tym miejscu, o tym właśnie czasie.

- A gdzie jesteśmy? - Lord Krip rozparł się wygodnie w krześle, pozostawiając dłonie na pełnej przycisków klawiaturze.

- Sotrath użyczy nam światła. Gdybym tylko posiadała dalekowzroczność, mogłabym...

Jednak trójce w kabinie statku nie było dane wysłuchać jej słów, bo w umyśle każdego z nich rozległo się wyraźne i ostre wezwanie. Faree skulił się i zauważył, że nawet lord Krip chwycił się krawędzi pulpitu i ścisnął go tak mocno, aż zbieleły mu kostki na dłoniach.

- Kto w ten sposób przybywa do Spokojnych Miejsc?

Przez dłuższą chwilę Faree myślał, że nie będzie odpowiedzi. Potem udzieliła jej lady Maelen:

- Jestem tą, która była sądzona, tą, której odebrano różdżkę. Tą, która nosiła futro i kły i...

- I znów przybywa w nowym ciele! Skąd je masz. Śpiewaczko pozbawiona mocy?

- A więc...

Umysł Faree przeszył dziwny dreszcz. Nie przepływał myśli, lecz wysoki, słodki dźwięk, jakby nucona melodia. Nie umiałby powiedzieć, ile to trwało. Dźwięk wznosił się ku górze, sięgał tonów, których Faree nie słyszał, a które wciąż zasilają ten dreszcz w jego mózgu.

Jeszcze raz przemówił tamten głos. Docierał znikąd, lecz brzmiał z całą powagą strażnika.

- To rzecz, która wymaga namysłu! Lud nie narusza Prawa bez zastanowienia.

Lady Maelen skłoniła głowę, jakby stała na wprost mówcy i mu się podporządkowywała.

- Połóżmy to na wadze Molestera. Gotowa jestem na taki sąd. Ci, którzy są ze mną, nie są niczemu winni, jedynie temu, że chcieli pomóc.

- Wszyscy, którzy są z tobą? - spytał głos. - A co z tymi dwoma uwięzionymi na statku?

- Staną przed sądem swojej rasy.

- Z waszą pomocą wkroczyli na teren zabroniony dla wszystkich, z wyjątkiem

Ludu i tych, których on przyzywa.

- Sotrath nas przyzwał. Gdy pierścienie zaśnią, to, co jest pokurczone, może się rozprostować.

To, co pokurczone... rozprostować!

Faree wystąpił o jeden krok w przód. Ona chyba nie miała tego na myśli! Ona i lord wyciągnęli go z Obrzeży, odrzucili otoczkę Śmierdziela, ale przecież nie ma takich czarów na świecie, tym ani żadnym innym, które mogłyby go wyprostować, bez względu na to, czy wokół jakiegoś księżyca świecą trzy pierścienie czy nie.

Poczuł w ustach gorzki smak własnych myśli. Nie miał jednak czasu na ich analizowanie, głos bowiem znów się odezwał.

- Niechaj Molester zdecyduje, tak jak powiedziałaś, ty, która nie jesteś...

Faree usłyszał coś w rodzaju echa, lecz słowa nagle się urwały i garbus poznał, że mówca się wycofał. Ponownie w kabinie pojawił się ekran, na którym zamiast nieba pokazały się wysokie skały otaczające statek. Ostre światło księżyca wydobywało je z cienia i cały obraz zaczął powoli poruszać się z prawej ku lewej, jakby statek obracał się na jakiejś olbrzymiej osi. Skały zniknęły. Teraz przed nimi ciągnęła się szeroka równina, której monotonii nie zakłócało nic, co byłoby wyższe od kilku gęstych kępek przywiedłej trawy.

Było to zupełnie pustkowie. Potem jeszcze raz pojawiły się skały i okrążyły statek. Lord Krip przysunął się bliżej ekranu.

- Już to widziałem.

- Dobrze się spisał ten Hnold. Jesteśmy blisko miejsca spotkań - odparła lady Maelen. W jej głosie brzmiało zadowolenie. - Niech tylko wyjdę, a wszystko będzie gotowe.

- Poczekaj. - Jego dłoń powędrowała w górę, jakby chciała wspomóc słowną komendę. - Spójrz na...

Mocno przycisnął kciukiem jeden z przycisków i ekran przestał się obracać. Przed nimi wciąż były wysokie skały, spowite jasnym blaskiem księżyca, lecz na niebie, ponad postrzępionym zarysem owych wzniesień, coś się poruszało, od czasu do czasu odbijając iskry jego poświaty.

- Ślizgacz! - powiedziała lady Maelen z grymasem niezadowolenia na twarzy, po czym przechyliła się bliżej ekranu.

- Ale to jest Ziemia za Rubieżą, gdzie poruszają się tylko Thassowie. Poza tym panowie z ziem wewnętrznych nie mają lotnictwa!

- Inni mają - odparł lord ponuro. - Na przykład ci, których mamy na pokładzie.

- Czeka! Patrz! - Mocnym uchwycem za ramię przycisnęła go do siedzenia.

Pojazd znalazł się w zasięgu światła księżyca. Skały zdawały się odbijać wspaniałość pierścieni, by wyraźniej pokazać to, co poruszało się na ziemi lub w powietrzu. Pojazd nie miał włączonych świateł i zdawał się utrzymywać kurs na własne lądowisko. Gildia? Ale jak ci dwaj uwięzieni mogli wezwać takie wsparcie?

- Oni już tu czekali - powiedział lord Krip niskim tonem.

- Przecież nie mogli! - zaprotestowała lady. - Taśma była nie zmieniona i sprowadziła nas...

- Może spodziewali się, że ich ludzie zawiodą - odparł. - Mieli więc przygotowany plan B.

- Który też im się nie uda. - Wbiła się plecami w jego ramię i obserwowała poruszający się, migoczący obiekt uważnie, lecz bez strachu. - Widzisz!

Mały pojazd, przedzierający się przez smugę światła księżyca, już prawie dotarł do krawędzi skał. Wtedy zaczął się chwiać, zupełnie jakby ten wiatr, który targał kępami traw, był na tyle silny, by wyrwać lecącą maszynę spod kontroli załogi. Pojazd przesunął się w prawo, z pewnym trudem utrzymał poziom, po czym ześlizgnął się znowu. Omal nie dotknął nagiego szczytu skały, gdy nagle wykonał zwrot i wrócił na trasę, którą poprzednio zbliżał się do nich.

Teraz jednak jego lot nie był już tak szybki i zdecydowany. Ślizgacz podrygując przechylał się na obie strony. Wyglądał jak ptak, który pewnym ruchem myśliwego został schwyty w sieć i beznadziejnie walczy o wolność.

Tak podskakując i opierając się, pojazd zniknął z zasięgu wzroku, za wysokim szpicem skalnym.

- Thassowie mają własne środki ochronne - powiedziała lady Maelen. - Nikt nie może się zbliżyć, gdy nie jest naszej krwi lub nie został wezwany. To Stare Miejsce i tutaj znajduje się serce... - Urwała nagle i rozejrzała się zbita z tropu, jak ktoś, kto zdradza tajemnice i raptem zdaje sobie sprawę, że jego słowa mogą dotrzeć do niepożądanych uszu.

- Rozbiją się? - spytał spokojnie lord Krip.

Zmarszczyła brwi.

- Niezupełnie. Nasze metody nie niszczą... nawet zła, które może nadejść.

Zmienia tylko kurs i zapomną...

- Nie, jeśli ich umysły mają pola ochronne.

- Nie wiem. Pole ochronne ma nie dopuszczać wiązek myślowych. Nie ma na celu przeciwstawić się zbiorowej sile Starszych. Zobaczymy, czy jakiś ludzki twór może przetrzymać całą moc Thassów.

- Miejmy więc nadzieję, że ta moc jest naprawdę skuteczna - powiedział lord tym samym jednostajnym tonem. - Wchodzimy?

- Jeszcze nie. Może o świcie. Może wtedy nastąpi wezwanie. Nie możemy wejść bez tego.

Faree znowu leżał skulony na swoim łóżku, z przytulonym do siebie Toggorem. Od Obrzeży dzieliła go długa droga. Potarł czoło. Było coś... błady cień wspomnienia, że już kiedyś, przedtem, leżał na statku. Ale jak to możliwe? Jego przeszłość przecież związana była tylko z ohydny smrodem Obrzeży i to było według niego wszystko, co kiedykolwiek znał. Zastanawiał się, odsuwając od siebie przywołane przed chwilą uczucie bólu i niepewności, co przyniesie świt. Poczuł, że lord Krip też jest zaniepokojony. Nie wyczuł natomiast jakichkolwiek oznak zachwiania się (nawet jeśli coś takiego się zdarzyło) pewności, którą miała lady Maelen. Owszem, była ona niespokojna, lecz nie jak ktoś, kto spodziewa się kłopotów. Wyglądała na osobę, która chciałaby już wyjść i przystąpić do działania, na kogoś, kto stoi przed drzwiami, niecierpliwie czekając na ich otwarcie.

Myślał o Thassach i tym głosie znikąd. Może zadźwięczał też w umysłach załogi samolotu, przeganiając ich w sposób, któremu nie mogli się oprzeć? Albo przejął władzę nad ich ciałami, jak to często opowiadali kosmiczni wędrowcy, zmuszając ich do postępowania wbrew własnej woli?

Tak myśląc i zastanawiając się nad tym, zasnął. W urywanym, gwałtownym śnie spoglądał na księżyc z trzema pierścieniami i czuł moc przyciągającą go do... do... lecz tego właśnie nie mógł sobie przypomnieć po przebudzeniu.

Toggor jedną łapą ciągnął go za włosy, chcąc wydobyć go z tej płytkiej drzemki. Smaks informował w ten sposób o głodzie i Faree również poczuł pustkę w żołądku. Wsunął się do wąskiej szczeliny odświeżacza i pozwolił parze obmyć całe ciało. Potem założył czystą tunikę i sandały. Idąc do kuchni, już na korytarzu czuł przyjemne zapachy jedzenia.

Przy stole siedział lord Krip. Przed sobą miał otwartą puszkę, lecz nie jadł. Gdy Toggor zapiszczał i wskoczył na stół, lord podsunął mu ją. Zwierzątko natychmiast zacisnęło na niej łapy i zaczęło jeść.

Faree poczuł się niepotrzebny, bo lord nie dał żadnego znaku, że go widzi, ani się nie przywitał. Chłopiec sięgnął po swoją puszkę i wdrapał się na puste miejsce naprzeciwko mężczyzny czekając, aż tamten przerwie milczenie.

- Ona ciągle czeka. - Wyglądało na to, że lord Krip mówił sam do siebie, gdyż w ogóle nie patrzył w kierunku Faree. - Ale co, jeśli... - Nie dokończył, więc Faree ośmielił się zrobić to za niego. Ostatecznie on również był częścią tej grupy i miał prawo wiedzieć o czekających ich kłopotach.

- Co, jeśli... ten głos... powie, że mamy odjechać?

Po raz pierwszy mężczyzna spojrział na niego. Między jego skośnymi brwiami pojawiła się bruzda będąca objawem zatroskania.

- Wtedy odlecimy.

Zebrawszy się na odwagę, Faree zapytał:

- Gdzie jesteśmy?

- W miejscu spotkań Thassów. Nic nie rozumiesz, mały bracie. - Złączył dłonie przed sobą na stole. - Ja nie jestem Thassem. - Palcami jednej ręki szczyptał skórę drugiej. - Chociaż teraz noszę ciało Thassy.

- Ciała się nie nosi - powiedział gwałtownie Faree. - Ciałem się jest. - Przez chwilę pomyślał o jakimś innym ciecie: prostym, wysokim, bez garba. A może to, czemu właśnie zaprzeczył, jest prawdą i mógłby zmienić swoje ciało? Na innych światach jest wiele cudów, lecz Faree nigdy nie słyszał o czymś takim!

- Thassowie noszą ciała. - Widać było, że lord Krip naprawdę wierzy w to, co mówi. - Żeby zostać Księżycowym Śpiewakiem, czyli kimś o szczególnej mocy, zamieniają się ciałami ze zwierzętami i żyją dziko, ucząc się od zwierząt różnych zapachów i pragnień. Byłem członkiem załogi statku handlowego i tutaj na Yiktor zostałem porwany przez jednego pana. Chciał wydobyć ze mnie tajemnice spoza tego świata albo przy mojej pomocy wydostać je od kapitana, któremu podlegałem. Znęcał się nade mną.

Faree zgarbił się pod ciężarem swoich ramion, jakby chciał zwinąć się w kłębek. Wiedział, co lord Krip miał na myśli. Sam doświadczył podobnych przeżyć.

- Zostałem... uszkodzony. Maelen była Księżycową Śpiewaczką i przywódcą grupy małego ludku, zwierząt, które prezentowały opracowane przez nią pokazy. Uratowała mnie śpiewem, zamieniając mnie w barska.

Faree przełknął ślinę.

- Zwierzę?

- Zwierzę - potwierdził lord. - Uchodzące za niezwykle agresywne i nie dające się oswoić. Nie należało do jej grupy, było kiedyś schwyte i źle traktowane, a ona je leczyła. Tak przez jakiś czas żyłem na Yiktor. Ale potem pojawiło się to ciało jednego Thassy... bliskiego Maelen... który przyjął postać zwierzęcia i w tej postaci został zabity. Jego ciało było puste, bo zwierzę, z którym się zamienił, oszalało. Tym sposobem zostałem Thassem, ponieważ moje ciało, uznane przez załogę statku za martwe, zostało wyrzucone w przestrzeń, zaraz po wystartowaniu. Za to właśnie - kontynuował - Maelen została potępiona przez Thassów i odebrano jej różdżkę mocy. Gdy opuszczała ten świat, ona również była zwierzęciem... i tak podróżowała ze mną. Aż do Sehmet. Tam... no cóż, tam były ciała, bardzo stare, które mogły się zmieniać na życzenie. Jedno z nich należało do kobiety, która miała być władczynią. Maelen jednak nią zawładnęła, wyzwoliła jej więźniów i istotę zła, które ją opanowało, i tym sposobem zdobyła to obecne ciało. Wróciliśmy na Yiktor na tym statku, bo Maelen od dawna marzyła, jak już wiesz, żeby znów być Księżycową Śpiewaczką i podróżować pośród gwiazd z futrzastymi przyjaciółmi, pokazując wszystkim, że życie jest święte i że ci, którzy uważani są za gorszych, mogą na swój sposób zaskoczyć tych, którzy tak ich osądzają.

- Czas, kiedy Sotrath ma trzy pierścienie, to okres wielkiej mocy i chcieliśmy wrócić właśnie wtedy. Ale teraz mogą nas odesłać, tak samo jak ten błyszczący pojazd.

- Ona w to nie wierzy. - Faree nie wiedział, skąd zna prawdę, ale był pewien, że tak jest

- Taka jest, Maelen. Kogoś, kto jest Śpiewakiem w blasku księżyca, niełatwo pozbawić mocy. A na Sehmet dokonała takich czynów, że nawet z jej ludu tylko nieliczni zetknęli się z czymś takim. Dlatego ona wierzy w to, w co chce wierzyć...

- Wiara jest wygodą i bronią, różdżką mocy i wycelowanym laserem. - Maelen stała w drzwiach kabiny, jej oczy płonęły. Długa kaskada włosów, które zwykle nosiła ciasno upięte, swobodnie spływała wzdłuż ramion, a niektóre loki odchyłały się jakby przyciągane magnesem. Nie miała na sobie ponurego uniformu, lecz bryczesy i buty koloru rdzy, bliskiego barwie jej włosów. Jej koszula miała szeroki, usztywniony kołnierz, tworzący wysoki wachlarz z tyłu głowy, a całości stroju dopełniała kamizelka z jakiegoś żółtego materiału, podobnego do futra.

Faree usłyszał, jak lord Krip westchnął z zachwytu. Lady Maelen obróciła się powoli, jakby chciała im się pokazać w całej okazałości. W ponurym otoczeniu statku

była jak płomień rozsiewający ciepło, bo ten zapal, który Faree w niej wcześniej wyczul, był teraz trawiącym ją ogniem.

- Chodźcie! - Skinęła na nich oboje. - Thassowie już się zbierają i wkrótce nas wezwą.

Skierowała się do sterowni, a w ślad za nią udał się lord Krip. Faree, nieco wolniej, podążył za nimi. Włączony ekran pokazywał wypalony słońcem świat. Było tam życie - nie pojazd na niebie, lecz poruszające się wolno wozy z przykrytymi bagażami i olbrzymimi kołami, ciągnięte przez grupy czworonożnych zwierząt o długim owłosieniu, które jednostajnie posuwały się naprzód. Faree nie zauważył, by ktokolwiek trzymał lejce lub szedł obok z batem w ręku. Zwierzęta te sprawiały wrażenie zajętych własnymi ważnymi sprawami.

Wozy były pomalowane jaskrawymi barwami, przez co wyróżniały się na tle szarego krajobrazu. Chłopiec dojrzał jakieś sylwetki na przednich siedzeniach kilku z nich, lecz były one za daleko, by móc się im dobrze przyjrzeć.

Wszyscy oni kierowali się ku szczelinie w skalnej ścianie. Otwór ten miał tak regularny kształt, że Faree był skłonny uwierzyć, iż to dzieło jakiejś dawnej cywilizacji. Gdy tak patrzył na tę drogę, ogarnęła go świadomość wieku... wielu lat i zapomnianej historii.

Potem jeszcze raz w jego umyśle zabrzmiał ten dziwny ton:

- Thassowie zbierają się. Przybądź, ty, która chcesz zabrać głos.

Maelen odrzuciła głowę w tył. Nie odpowiedziała takim umysłowym dźwiękiem, lecz myślą równie mocną i wyraźną:

- Słyszemy i nadchodzimy!

Rozdział 8

Stali pod gołym niebem. Wiatr lekko napierał na ich ciała i rozwiewał włosy lady Maelen na kształt płonącego transparentu. Za nimi chrząkali i prychali Yazz i Bojor, których radość z opuszczenia statku wyczuwalna była w postaci ciepła krążącego między umysłami. Wozy spokojnie podążały swoją drogą i wyglądało na to, że nikt nie zainteresował się statkiem nawet na tyle, by choć spojrzeć w ich kierunku. Tak jakby tych wędrowców pchał przed siebie zdecydowany nakaz. Szło ich już jednak mniej, widocznie byli to maruderzy, zamykający cały pochód.

Lady Maelen poprowadziła swoich towarzyszy w stronę tej samej szczeliny w skale. Była ona dobrze oświetlona słońcem i Faree, wygiąwszy szyję do granic możliwości, zauważył dziwne znaki na kamieniu. Wyglądały tak, jakby były tu kiedyś jakieś rzeźbienia, teraz jednak już tak zniszczone przez czas, że pozostały po nich tylko niewyraźne ślady.

Za tą wąską skalną szczeliną rozciągała się kolejna otwarta przestrzeń, na której stały wozy i pasły się zwierzęta. W skale widoczne były kwadratowe otwory, wydrążone wyraźnie według regularnego schematu, sprawiające wrażenie szeregu siedzib mieszkalnych. Również tutaj, na żółtych kamieniach, widoczne były spłowiałe znaki. Byli tam też ludzie. Po dotarciu każdego z wozów przybysze kierowali się ku jednemu z otworów - większemu, z najliczniejszymi ornamentami.

Faree usłyszał, jak lord Krip głęboko wciąga powietrze.

- Zgromadzenie - odezwał się tak, jakby wypowiadał na głos swoje myśli.

- Zgromadzenie - powtórzyła lady Maelen, lecz w jej głosie brzmiała nuta podniecenia, podczas gdy Lord Krip zdawał się mniej zachwycony marszem w stronę otwartego wejścia, w przeciwległej ścianie skały.

Zbliżyło się do nich kilku spóźnionych przybyszów kroczących tą samą drogą, lecz ku zdumieniu i coraz większemu zaniepokojeniu Faree Thassowie ignorowali grupkę ze statku, jakby zupełnie jej nie dostrzegali. Żaden z jego towarzyszy nie próbował wymienić pozdrowień ani nawet spojrzeń z tymi, którzy ich właśnie dogonili.

Tak więc w licznym towarzystwie a jednocześnie odosobnieni weszli do obszernego miejsca spotkań wewnątrz skały. Podłoga była delikatnie pochylona, tworząc pośrodku platformę, na której stała czwórka Thassów. Faree przyglądał się

im z zainteresowaniem i nadzieją, że nie uznają przybycia statku za bezprawne wtargnięcie, lecz powitają gości.

Jednak, choć owa czwórka stała tam i przyglądała się, ich oczy zdawały się patrzeć ponad, poza lub obok, a nie na troje pasażerów statku. Ostami z docierających Thassów rozdzielili się na dwie małe grupki i ustawili się po obu stronach szerokiej, otwartej nawy prowadzącej do platformy.

Lady Maelen zatrzymała się. Zaraz za nią stanął lord Krip, a Faree nieco z tyłu, zupełnie sam w tym dumie obcych, wśród których bardziej niż kiedykolwiek odczuwał swoją pokraczność.

W jaskini nie było ciemno, gdyż nad głowami wisały kuliste latarnie, dostarczające takiego światła jak blask księżyca. Nagle wszyscy zgromadzeni zaczęli śpiewać pieśń bez słów, która przenikała ich ciała, stając się jakby ich nierozłączną częścią.

Faree pomyślał, że ta pieśń obejmuje słuchaczy skrzydłami, unosi ich w górę, wyzwala z ciał i dociera do najgłębszych zakamarków, by mogli wznieść się i ulecieć ponad wszystkim, co trzyma ich na ziemi. Garbus zapomniał o czasie, przestrzeni, sobie samym i był tylko tym, co niosła z sobą ta pieśń.

W końcu ten śpiew przeszedł w powolny szloch, jakby zwiastował koniec ludu lub życia. Faree przejechał dłonią po twarzy i otarł łzy - on, który dawno temu nauczył się, że płacz nie ma sensu. To było umieranie czegoś wielkiego i wspaniałego, co trwało podczas śpiewu i czego nie potrafił wyrazić. Pozbawiło go to sił, przynosząc całe poczucie wyobcowania, jakiego kiedykolwiek zaznał.

Jego piersią wstrząsały spazmy, a wewnątrz garbu poczuł przejmujący ból. Chłopiec przysłonił uszy dłońmi, pragnąc uciszyć tę pieśń umierania. Wtedy zauważył, że jedna z osób na podwyższeniu uniosła srebrną różdżkę, trzymaną w rękach. Jej koniec zwrócił się ku niemu w chwili, gdy zdał sobie sprawę, że ta kobieta widzi go i zna. Dźwięk natychmiast zamilkł - dla niego. Faree nadal jednak pozostał skulony, zbyt świadom ciężaru na swoich ramionach i bólu przezeń przenikającego. Jednak smutek niesiony przez pieśń ustąpił.

Różdżka zmieniła kierunek, wskazała teraz Maelen.

- Co masz nam teraz do powiedzenia... w tym miejscu i czasie... banitko?

Był to ten sam głos, który słyszeli na statku - znowu brzmiał w ich umysłach.

Maelen wystąpiła naprzód. Lord Krip kroczył obok, jakby nie chciał jej pozostawić samej na pastwę wrogów. By nie pozostać w tyle, Faree też się posunął.

Wykręcił boleśnie szyję, żeby widzieć czwórkę na platformie.

- Niezmiennych Słów nie wolno łamać. To już zostało kiedyś tutaj powiedziane tobie, która śpiewałaś i utraciłaś to prawo.

Faree pomyślał, że słowa te pochodzą od jednego z mężczyzn otaczających kobietę z różdżką.

- Trzeci pierścień powiększa się, moc rośnie. - Maelen stała przed nimi dumna, w takiej postawie, jaką mógłby przyjąć wojownik czekający na pierwszy rozkaz.

- Powiększa się... - odezwała się druga z kobiet. - No cóż, z Dawnych Dróg nie należy rezygnować. Głos należy do ciebie, która byłaś Śpiewaczką.

- Jestem Maelen.

- To prawda. Ale przybywasz w nowym przebraniu. Czy znowu, jak poprzednio, nadużywasz naszych umiejętności?

Maelen rozpostarła ramiona, jakby w ten sposób chciała pokazać, że nie posiada żadnej obrony.

- Czytaj, Starsza Siostrze.

Zapadła cisza tak głęboka, jakby całe to miejsce nagle opustoszało. W głowie Faree rozległy się wysokie dźwięki. Domyślił się, że Thassowie będą rozmawiać między sobą i że nie jest to przeznaczone dla jego uszu.

Wszyscy stali bez ruchu, jakby w uścisku czasu, który nie ma końca ani się nie zmienia. Wreszcie kobieta, która wezwała Maelen, przerwała ten stan, obracając głowę najpierw w prawo, potem w lewo. Wyglądało to tak, jakby rozmawiała myślami z tymi obok niej, stanowiącymi sąd. Po chwili druga kobieta spośród owej czwórki zaczęła prowadzić wymianę myśli.

- Przebyłaś dziwną drogę, ty, która byłaś Śpiewaczką. Pozostało w tobie coś, czego nie moglibyśmy uznać... gdyby nie fakt, że wykorzystywałaś to najlepiej jak umiałaś dla dobra tych, którzy ci ufali. Nie, Śpiewaczko. Nie możemy sądzić za ciebie. Musisz sama się nazwać. Czy prosisz o nadanie imienia?

- Trzeci pierścień się powiększa - powoli odpowiedziała Maelen. - Nie, nie proszę o żadną moc, która nie przychodzi do mnie sama i nie jest zasłużona. Wciąż jednak jestem Thassą i to, co zaczęło się na innym świecie i z inną rasą, jeszcze nie zostało zakończone. To znowu będzie mój dług na Wadze i Molester w końcu osądzi mnie tak, jak i nas wszystkich.

- Zostawmy to więc na Wadze. Nie osądza się...

- Czy wciąż jestem banitką?

- Jesteś tym, kim jesteś, z własnego wyboru. Thassowie nie odtrącają ciebie ani... - Podniosła różdżkę i wskazała lorda Kripa. - Ciebie, niegdyś obcy, który godnie używasz naszego wyglądu. Ani...

Jeszcze raz różdżka wskazała Faree. Chłopiec zauważył niezmiernie zaskoczenie na twarzy kobiety. Różdżka w jej ręku zadrżała.

- Niechaj Dłoń Molestera prowadzi cię, maleńki - powiedziała powoli. - Znajdziesz się na Jego Wadze i w końcu będzie to prawda także dla ciebie.

Zastanawiał się nad sposobem, w jaki wymówiła te słowa, jakby odczytywała wyrok, który jednak nie był dla niego surowy. Może, pomyślał z właściwą sobie surowością wobec własnej osoby, jej zdziwienie wynikało z faktu, że w ogóle ktoś taki jak on znalazł się w tym towarzystwie. Śmierdziel z Obrzeży nie powinien tu być. Spuścił głowę i spojrzał w dół na swoje szponiaste dłonie, pokryte zielonkawą skórą oraz wcale nie lepsze stopy, wyglądające na zbyt małe i słabe, by udźwignąć ciężar na plecach. Wtedy dojrzał szypułki oczu Toggora, wystające zza dekoltu tuniki i obracające się na wszystkie strony, jakby smaks pragnął poznać całe to towarzystwo i pomieszczenie, w którym się zebrali.

- Jeszcze nie dotarłeś do swojego dziedzictwa. - Ten głośny, wyraźny głos zadźwięczał w jego głowie. - Jesteśmy ukształtowani przez Molestera, a każdy kształt ma swoją przyczynę i powinność...

To gorycz dała mu tyle odwagi, że odpowiedział myślami:

- A jeśli ów kształt jest nieudany, lady?

- Nic nie istnieje bez powodu. Dojdiesz do tego, co jest twoje, we właściwym czasie.

Faree pomyślał, że kobieta ma na myśli śmierć, co raczej nie brzmiało zachęcająco. Wtedy przypomniał sobie opowieść lorda Kripa o tym, jak został w wielkiej potrzebie przeniesiony mocą Thassów do ciała zwierzęcia, a potem znów w ludzką powłokę. Czy byłoby to możliwe w przypadku garbusa? Po raz pierwszy Faree poważnie pomyślał o tej części opowieści lorda. Czy nie byłoby lepiej biegać jak Yazz na czterech łapach lub polować jak Toggor, niż kuśtykać jako Śmierdziel? Było się nad czym zastanawiać.

A jeśli słowa Starszej Thassy naprawdę obiecywały zmianę... ale jaką... i jak? Jego oddech stał się przyspieszony. Nagle chłopiec zdał sobie sprawę, że ludzie wokół niego zaczynają opuszczać ową salę wewnątrz skały. Tylko Maelen i lord Krip nie

ruszali się. Garbus, zauważywszy to, także pozostał na swoim miejscu.

Starsi nie opuścili podwyższenia. Kobieta z różdżką wykonała przyzywający gest, więc Maelen i Krip ruszyli w jej stronę. Tylko Faree pozostał na miejscu, wciąż przejęty myślą o innym ciele, bez ciężaru, może czworonożnym. Ale gdzie znaleźć zwierzę, które zamieniłoby się miejscami z kimś takim jak on?

Osoby na platformie podeszły bliżej ku dwójce przybyszów z kosmosu i znowu nastąpił przepływ myśli, nadawanych tak wysoko i szybko, że Faree nie mógł ich zrozumieć. Usiadł ze skrzyżowanymi nogami na kamiennej podłodze. Toggor wyszedł spod tuniki i trzymając się jej fałdów, przekazywał uczucia głodu i niespokojnego oczekiwania na posiłek.

Nagle smaks rozluźnił uścisk i spadł na kamienie, gdzie momentalnie pochwyił wielkiego owada, który spadł z księżycowej lampy ponad nimi. Wkładając ów drobny posiłek do ust, Toggor informował, że to nie wystarczy, by zaspokoić trawiący go głód.

- Chodź, Faree - odezwał się lord Krip. - Czas wracać na statek.

Lady Maelen pozostała z przywódcami Thassów, gdy Faree wstał, by powlec się za obcym. Nie, w tym miejscu w ciele Thassa, lord nie był obcy, niezależnie od tego, co było wewnątrz tej powłoki.

- Co teraz robimy... robicie? - Szybko poprawił się, rezygnując ze zbyt familiarnego stosunku do lorda Kripa. Mężczyzna wzruszył ramionami.

- To zależy od lady Maelen i humoru Thassów. Tęskniła za tym, by wrócić tutaj i znowu być Śpiewaczką, towarzyszką futrzastych i opierzonych maleństw.

- Ale... - Pytanie, które Faree chciał zadać, zagłuszył hałas, dobiegający sponad ich głów. Nisko ponad doliną kołował ślizgacz, zmierzając w kierunku ich statku. Lord ruszył takim pędem, że Faree nie mógł za nim nadążyć, choć szedł najszybciej jak potrafił. Po drodze zwrócił jeszcze uwagę na to, że nikt z zebranych przy wozach nawet nie spojrzał w górę.

Było tam coś, czemu nie potrafił nadać nazwy, a co sprawiało, że czuł się tak, jakby zmuszał swoje pokraczne ciało do brnięcia przez teren zalany powodzią, gdzie fale chcą go pochłonąć i zmiążdżyć.

Ślizgacz przemknął nad nimi. Faree w pogoni za lordem Kripem usiłował dotrzeć na otwartą przestrzeń, gdzie stał ich statek. Zastanawiał się, czy ta dziwna fala siły została wysłana ze ślizgacza, czy też był to jakiś produkt uboczny stosowanej przez Thassów ochrony?

Chłopiec potykał się o kamienie, dwukrotnie musiał się zatrzymać i zaczerpnąć tchu, by móc iść dalej. Widział lorda Kripa przed sobą, lecz on również poruszał się jak w uścisku powodzi, popychającej go raczej w tył niż w przód, jakby fala owej mocy miała utrzymać go z dala od celu.

Dotarli do końca wąwozu i tam lord Krip się zatrzymał. Jego napięta postawa wskazywała, że nie zrobił tego z własnej woli. Wciąż usiłował iść dalej.

Faree poczuł gwałtowne uderzenie nowej skierowanej przeciwko niemu siły, której nie potrafił się oprzeć. Przywarł do jednego z kamieni wyprostowany do granic możliwości i obserwował. Teraz był niemal pewien, że siła ta pochodzi ze ślizgacza, a nie od Thassów.

Samolot wylądował w pobliżu ich statku. Wysiedli z niego jacyś mężczyźni. Dwaj z nich ruszyli w stronę pochylni, prowadzącej z zakurzonej ziemi przy statecznikach do wnętrza statku, a dwaj pozostali stanęli między statkiem a wejściem do wąwozu, z lekko rozstawionymi nogami i bronią w rękach. Ta dziwna siła wciąż trzymała lorda Kripa i Faree z dala od nich.

Jeszcze raz chłopiec poczuł ból w garbie i ciężar ten zaczął go tak ciągnąć ku ziemi, jakby napierająca na niego siła odkryła jego słaby punkt i na nim się skoncentrowała. Lord Krip nie walczył już, tylko stał w miejscu, w którym został zatrzymany, ze skrzyżowanymi ramionami na piersi. Faree wyczuł wiązkę myśli wymierzoną w tych na statku, lecz był to tylko nacisk na umysł, bez konkretnych słów i zwrotów.

Ci dwaj, którzy weszli do statku, nie zabawili tam długo. Gdy wyszli, prowadzili z sobą więzionych tam dwóch pilotów. Uwolnieni poruszali się swobodnie, nie skrepowani żadnymi więzami. Potem wszyscy razem ustawili się w szeregu przed statkiem. Jeden z tych, którzy wchodzili na statek, trzymał w ręku coś, co wyglądało jak kwadratowe pudełko. Promienie zachodzącego słońca wydobyły z niego rażący błysk światła. Mężczyzna położył to delikatnie na ziemi i ukląkł obok...

Prąd mocy, która więziła ich w wąwozie, w jednej chwili został odwrócony. Faree wydał okrzyk prawdziwego zdumienia i przerażenia, gdy nagle został pociągnięty w przód, mimo prób zaczepienia się o głązy, o które ocierało się jego drobne ciało.

Mimo iż siła ta bez przeszkód oderwała Faree od miejsca zakotwiczenia, to jednak z lordem Kripem nie poszło tak łatwo. Tak jak poprzednio usilnie starał się pokonać niewidzialną barierę, by dotrzeć na otwartą przestrzeń, tak teraz walczył

usilnie, o czym świadczyły ruchy całego ciała, by pozostać tam, gdzie był.

Faree nie posiadał takiej siły jak lord Krip. Aż do bólu ocierał się o kamienie i bezsilnie spoglądał w jego twarz, mijając go wbrew własnej woli. Oblicze lorda zdradzało ogromny wysiłek. Spojrzał na Faree i posłał mu jedną myśl:

- Trzymaj się... gdzie i jak potrafisz.

Tylko że on mógł to zrobić, a Faree nie miał w takiej walce najmniejszych szans. W pewnej chwili poczuł poruszenie na piersi. To Toggor przeskoczył z niego na ramię lorda Kripa. Owa dezercja spowodowała nową falę strachu. Chłopiec nigdy nie wiedział, jak wiele smaks domyślał się lub rozumiał z ludzkich spraw. Na statku i na Obrzeżach zwierzątko słuchało jego poleceń. Teraz może kierować się własną wolą. Jego czyn sprawił, że Faree znowu poczuł się zdany tylko na siebie.

W ostatniej próbie oparcia się tej sile garbus rzucił się na kolana i obiema rękami chwycił za karłowaty krzak. Próbował utrzymać ten uścisk, lecz palce rozluźniły się i opadły na ziemię. Dalej posuwał się już na rękach i nogach, jak jakiś nieporadny potwór w skorupie.

- Jeden! - usłyszał niewyraźny głos. Potem odezwał się drugi.

- Jeden, lecz najmniejszy z nich!

- Umieść go więc na alfie...

Czołgał się do momentu, w którym wyraźnie zobaczył ich buty. Ta zdradziecka fala siły, która już przedtem opętała jego stopy, nie pozwalała mu wstać. Tak więc Faree przybył tak, jak zrezygnowane zwierzę mogłoby zbliżać się do Russtifa na dźwięk bata.

- Jest już na alfie. Mówię ci, że mamy do czynienia z nieznanym. I...

Jeden z porywaczy nagle wrzasnął. Garbus siedział już w niewielkiej odległości od błyszczącego pudełka. Był obłany potem po tej walce z nieznaną siłą, w ustach czuł smak krwi, bo opierając się przygryzł własną wargę. Spojrzał jednak w górę, by zobaczyć tego, który klęczał przy pudełku i z wyrazem bólu na twarzy kiwał się w przód i w tył. Jedna jego dłoń sięgała po dziwną broń, wyraźnie działając wbrew jego woli.

Następny z mężczyzn, przybyłych ślizgaczem, krzyknął przeraźliwie i momentalnie znalazł się przy tym obok pudełka, gwałtownym uderzeniem dłoni w nadgarstek wytrącając mu broń. Nastąpił syk bólu i uderzony potarł bolącym nadgarstkiem o udo.

- Odsuń się! Póki możemy! - Tym, który tak krzyczał, był Quanhi. - Oni

posiadają moc, jakiej my nie znamy...

- Nikt nie potrafi oprzeć się temu - odezwał się ponuro ten, który zaatakował towarzysza.

- Nie? Widzę, że lord Krip wciąż tam jest. Czy nie chciałeś sprowadzić go tutaj na czworakach, tak jak tego? - Faree ujrzał czubek buta i poczuł cios w żebra, a potem ból, który przyćmił ten odczuwany w garbie.

- Tutaj są Thassowie i właśnie trwa faza trzeciego pierścienia. Nikt na Yiktor nie śmie wystąpić przeciwko nim...

- A my tak po prostu to robimy? - spytał rozmówca. - A my to robimy, lecz nie z pustymi rękami. Mamy jego, a prawdopodobnie nie jest on taki głupi, na jakiego wygląda. Gompar wie, jakie pytania zadawać i w jaki sposób. Z łatwością wszystko z niego wydobędzie.

Wyglądało na to, że to ten człowiek władał ową tajemną siłą, gdyż po jego słowach wszyscy posłusznie ruszyli w kierunku ślizgacza. Faree został podniesiony i wrzucony na pokład. Tam czymś go owinięto i zanim zdołał się poruszyć, spętały go oślizgłe więzy.

Wcześniej próbował dotrzeć do umysłów tych, którzy go porwali, lecz trafił na pustkę pól ochronnych. Teraz był tylko żalonym kłębkim strachu i rozpacz, wepchniętym na tył statku, gdzie jego garb boleśnie ocierał się o ścianę, gdy mały samolot, pochylony, wznosił się ku górze.

Nikt z obecnych na pokładzie nie zwracał już na niego uwagi. Faree zmusił się do opanowania strachu i zaczął przyglądać się załodze. Niedoszli porywacze statku lorda i lady siedzieli w tyle, niedaleko od niego, a ci czterej, którzy przybyli im na pomoc, zajmowali miejsca na przedzie.

Mieli na sobie kombinezony do lotów w przestrzeni, ich włosy były obcięte na jeża, jak u większości pilotów. Mężczyzna, który kierował tym małym statkiem, wyglądał na ich przywódcę. Określenie wieku było niezwykle trudne, lecz mimo to Faree pomyślał, że ten dowodzący jest młodszy niż Quanhi. Na jego twarzy, od kącika ust do linii szczęki, biegła blizna po szwie. Poza tym nic w jego wyglądzie nie wskazywało, by czymkolwiek różnił się od tych wszystkich pilotów bez pracy, których Faree widywał na Obrzeżach.

Mężczyzna obok garbusa, mimo kosmicznego ubrania, był trochę inny. Gdyby Faree spotkał go w odmiennych okolicznościach, pomyślałby, że to bogaty turysta, jeden z tych, co to czasem zapuszczają się na Obrzeża w poszukiwaniu mocniejszych

wrażen, a potem narzekają, że zostali okradzeni lub oszukani. Był przysadzisty, niemal tak, że można by go uznać za opuchniętego, a jego rysy cechowało niezwykle zminimalizowanie: wszystkie elementy twarzy ściśnięte na niewielkiej przestrzeni między wysokim, wybrzuszonym czołem a szyją, która na karku rolowała się w dwa fałdy tłuszczu. Właśnie na jego kolanach spoczywało pudełko mocy, teraz w postaci walizki. Mężczyzna przesunął swoją pulchną dłoń po powierzchni, jakby chciał ogrzać zmarznięte palce. Wargi miał wydęte w grymasie niezadowolenia i widać było gołym okiem, że był daleki od satysfakcji z wykonanego zadania, choć niczemu się nie sprzeciwiał.

Faree w żaden sposób nie mógł ani wyrzeć na zewnątrz, ani określić czasu spędzonego w powietrzu. Więzy nie pozwalały mu się poruszyć, a mógł się domyślać, że to, co go czeka, nie będzie najprzyjemniejsze.

Wreszcie przeszli do lądowania, podczas którego Faree znowu uderzył się o ścianę i byłby jęknął z bólu, gdyby nie upadł na usta. Pokazać komukolwiek z nich, że jest wystraszony, to ostatnia rzecz, jaką chciałby zrobić. Uchwycił się tej myśli i przez moment zastanawiał nad tym, co lord Krip mówił mu o życiu w ciele stworzenia zwanego barskiem, zwierzęcia tak groźnego, że wszyscy się go bali. Co stałoby się, gdyby Faree mógł teraz zażądać pazurów, siły i postury Bojora?

Tak czy inaczej, nie było na to szans. Garbus pozostawał tym, czym zawsze był: zbyt słabą i bezbronną istotą, by oprzeć się Jakimukolwiek atakowi. W tej właśnie chwili ktoś go podniósł i z łatwością przerzucił w objęcia kogoś innego, czekającego przy wyjściu. Gdy ów mężczyzna niósł chłopca, ten po raz pierwszy mógł zobaczyć, co ich otacza.

Był na otwartej równinie, bez śladu skały, którą widział poprzednio. Wznosił się tu natomiast nienaturalnie wyglądający kopiec, na którym znajdowała się sterta kamieni ze zwalonych murów, a pośrodku, w blasku zachodzącego słońca, wieża niczym palec wskazujący chmury. Choć miejsce to wyglądało na ruinę, wewnątrz byli jacyś mieszkańcy. Faree zauważył poruszenie przy niemal zupełnie zburzonym budynku, gdy niesiono go pod górę do miejsca, w którym stała baszta.

Otoczał ją dziedziniec z murami i na wpół zniszczonymi budynkami wyznaczającymi granicę z wszystkich czterech stron. To właśnie do jej wnętrza niesiono garbusa. Tam, uderzając nim o boki, wniesiono go na górę i wrzucono jak kupkę zbędnych odpadów do wąskiego pomieszczenia z wygiętą w łuk ścianą zwężającą się niemal do miejsca, w którym właśnie zatrzasnęły się drzwi. Faree

pozostał sam.

W więzieniu tym było tylko jedno okno, a na gołym kamieniu nie było żadnych mebli. Chłopiec upadł na plecy i w jego garbie znowu odezwał się ból, który przeszywał jak rozżarzony sztylet i utrzymywał się tak długo, aż Faree zdołał wreszcie obrócić się na bok, twarzą do tego wysokiego okna, przez które widział tylko wąski skrawek nieba.

Po raz pierwszy od chwili porwania Faree miał czas na zebranie myśli. Jasne było, że lordowi w uniknięciu tej samej pułapki pomogła ta jego część, która należała do Thassów. Czego jednak mają nadzieję dowiedzieć się porywacze od niego. Śmierdziela z Obrzeży? Wie tak mało: tyle tylko, że jakiś czas temu lord Krip i lady Maelen pomogli w przerwaniu operacji Gildii i mogą wciąż być w niebezpieczeństwie, bo ona nie dopuści do utraty swej potęgi albo też dlatego, że posiadają oni wiedzę, która wykracza poza tę konkretną akcję i która może doprowadzić do kolejnego odkrycia.

To wszystko wydawało się dostatecznym powodem porwania i próby przejęcia ich statku. Tylko że Faree nie był z nimi podczas tej poprzedniej wyprawy i z pewnością nie wiedział nic, co mogłoby przydać się Gildii. Może zechcą użyć go jako karty przetargowej...

Usta Faree wykrzywiły się w grymasie. Czymże on jest dla dwójki Thassów, by mieli cokolwiek dla niego ryzykować? Owszem, wyciągnęli go z bagna Obrzeży. Przecież, jak dowiedział się z ich rozmów, odczuwali współczucie dla bezbronnych zwierząt. Nikt jednak nie ryzykuje wszystkiego dla zwierzęcia, a on, Faree, nie jest niczym więcej. Wyglądało na to, że w tej chwili chłopiec był tak samo zdany na własne siły jak zawsze na Obrzeżach, z tą jednak różnicą, że tutaj nie mógł liczyć na żadną pomoc.

Rozdział 9

Wyglądało na to, że nikt nie spieszył się z wykorzystaniem go do jakichkolwiek celów, gdyż Faree długo leżał w wieży sam, ściśnięty silnymi więzami. Po pewnym czasie zaczął odczuwać głód i pragnienie. Obu doświadczał już przedtem zbyt wiele razy, by teraz miało go to złamać. Leżał i obserwował ten ograniczony oknem skrawek nieba, trochę spał, nie dostrzegając mijania czasu. Za oknem zapadał już zmierzch, gdy w końcu drzwi się otworzyły. Wszedł Quanhi, by szturchnąć garbusa czubkiem buta.

Kosmiczny pilot wycelował najsłabszą wiązką lasera w sznury sieci, które natychmiast zaczęły się kurczyć, aż wreszcie spopieliałe resztki opadły z Faree. Całe ciało chłopca było już obolałe, a ten sam but jeszcze raz zamachnął się, by go uderzyć.

- Wstawaj, Śmierdzielu. Jesteś potrzebny.

Ramiona i nogi Faree były tak zdrętwiałe, że wstanie okazało się dla niego czymś ponad siły. Upór nie pozwalał mu pełzać, więc wykonał polecenie, chociaż zatoczył się w stronę ściany i dopiero tam odnalazł równowagę.

- Ruszaj się... albo poczujesz to. - Mężczyzna obrócił laser i Faree słaniając się ruszył przed siebie. Mimo iż odczuwał ból powracającego krążenia oraz wiecznie obecne klucie w garbie, zdołał podporządkować sobie nogi i iść.

Kręte schody przylegające do ściany, popękane i nadkruszone, omal go nie wykończyły. Wreszcie chłopiec dotarł na parter wieży, skąd został zagnany do innej części ruin. Rzut oka na otwartą przestrzeń, przed wejściem do następnego budynku, pozwolił mu jedynie zauważyć, że stacjonuje tu jakiś oddział. Po dziedzińcu kręcili się jacyś mężczyźni w kosmicznych kombinezonach.

Pomieszczenie, do którego go wepchnięto, mogło równie dobrze znaleźć się w posiadłości jakiegoś lorda w Świecie Granta. Na starych ścianach wisały błękitno-miedziane gobeliny, a na podłodze leżał dywan w tych samych barwach. Mocno pchnięty Faree stracił impet przed drewnianym stołem o srebrnym odcieniu, za którym stały dwa miękkie krzesła z cennego drewna gonderowego z ręcznie tkaną tapicerką. Jedno spojrzenie wystarczyło, by stwierdzić, że był on niedawno wykorzystywany do spożycia posiłku, który według Faree był obfitą ucztą. Teraz brudne talerze i filiżanki leżały zepchnięte w odległy koniec, a na środku przed

dwoma siedzącymi mężczyznami stało kilka pudełek.

Jednym z gospodarzy był opasły mężczyzna ze ślizgacza. Jego dłonie wciąż głaskały pudełko, które przywiózł z miejsca porwania Faree, jakby to było ulubione zwierzątko. Drugi z siedzących przy stole mężczyzn był zupełnie inny. W jego wzroku i każdym ruchu była pewna władczość, która utwierdziła Faree w przekonaniu, że stoi przed szefem całej tej bandy. Choć na twarzy tego człowieka nie było szpecących blizn ani nie był on tak wyniosły, jak większość lordów z górnego miasta, to spojrzenie w jego oczy wystarczyło, by Faree zatrząsł się i zapragnął zwinąć w kłębek, jak robił to Toggor w chwilach trwogi.

Pierwszy przemówił ten gruby:

- To ten, którego przyciągnęło...

Była w tym, czy nie, nuta niepokoju? Faree pomyślał, że w tych słowach czuje sugestię, iż tłścioch nie jest tak zadowolony z tego porwania, jak mógłby być.

- A reszta? - komendant zapytał cicho, delikatnie, jakby nie bardzo interesował go przebieg wydarzeń.

Przez chwilę grubas milczał i nawet jego tłściutkie dłonie przestały pieścić powierzchnię pudełka. Wydał wargi, jakby szukał odpowiednich słów lub miał je wydobyć ze swojego więźnia.

- Reszta - powtórzył tym samym cichym głosem.

- Oni się oparli... - wykrztusił wreszcie i Faree zauważył, że jego dłonie na pudełku zatrzymały się w napięciu.

- Tak. Thassowie... - Przywódca może chciał po prostu podzielić się jakąś swoją uwagą, lecz wystraszony Faree zauważył, że ten gruby odrobinę zmienił pozycję, jakby się skurczył.

- Słyną z wielu umiejętności - ciągnął po krótkiej przerwie. - Jak według ciebie udało im się przetrwać wieki czasu planetarnego obok zazdrosnych i wystraszonych panów na Yiktor?

- Nie mieliśmy na kim przeprowadzić testów - powiedział tłścioch tonem, w którym zabrzmiało usprawiedliwienie. - Nasz materiał...

- Był taki jak ten? - Szef wskazał na Faree.

- On był z nimi cały czas - wyrwał się do odpowiedzi Quanhi.

- Oni zbierają dziwaczne formy życia do występów, prawda? Co mogliby znaleźć dziwniejszego od tego śmierdzącego odpada? Ty. - Jego twarde oczy pochwyciły wzrok Faree. - Czym ty byłeś dla tych Thassów?

Faree musiał dwukrotnie zwilżyć wargi koniuszkiem języka, nim znalazł odpowiedź.

- Pomagałem przy zwierzętach, panie - powiedział chrypiącym szeptem.

- Pomagałeś przy? Czy byłeś jednym z? Wiesz już, że Thassowie uważają siebie za coś lepszego od nas wszystkich?

- Komendancie. - Quanhi znowu odważył się wtrącić. - On pomógł im w odbiciu statku...

Przywódca próbował zaśmiać się szyderczo, lecz odgłosy, jakie przy tym wydawał, przypominały raczej wybuch przekleństw.

- To ci dopiero potężny przeciwnik. Dziwne, że tak podkreślacie jego udział.

- Komendancie. - Mężczyzna nie dawał za wygraną. - On porozumiewa się myślami tak jak tamci.

- Tak, już wspominaliście o tym kilka razy. No, Śmierdzielu, czy twoja wygięta głowa może odczytać teraz moje myśli?

- Jesteś chroniony, panie - odpowiedział Faree zgodnie z prawdą.

- Właśnie tak... chroniony. Ale tacy też byli ci dwaj na pokładzie statku, a mimo to wpadli w pułapkę Thassów. Skoro jednak nie jesteś Thassem, nie musimy cię uciszać. W zasadzie lepiej tego nie robić. Odszukaj swoich przyjaciół - swoich panów - czy czym tam są dla ciebie, i błagaj ich o pomoc. Założę się, że takie wezwanie nic nie da, lecz zawsze można spróbować.

Thassowie są bezsensownie przywiązani do swojej własności, nawet do swoich zwierząt. Więc... - Pochylił się ponad stołem.

- Przejdźmy do tego, co Śmierdziel wie o swoich panach. Dlaczego Vorlund i ta kobieta tutaj przybyli?

- Nie wiem. - Ledwie Faree wymówił te słowa, silny cios zadany ręką Quanhi popchnął go w przód ku krawędzi stołu.

- Komendancie, proszę mi pozwolić upiec mu palec. Taka pamiątka...

Mężczyzna przy stole podniósł dłoń, co natychmiast uciszyło ochotnika. Faree może i nie był w stanie czytać w myślach, lecz wyczuwał emocje panujące w tym pokoju. Od Quanhi bił strach.

- Wiesz, Śmierdzielu, co ci Thassowie robią z tymi, których zbierają? - zapytał ten sam niski spokojny głos. - Zamieniają ludzi, mężczyzn, w zwierzęta i zwierzęta w ludzi. Czy chciałbyś znaleźć wszystko, co jest tobą, pod skórą i pchłami na przykład zindera?

Mówił o stercie zepsutego mięsa, które pełzało, żywiło się i budziło wstręt u wszystkich, którzy mieli pecha je spotkać. Chłopiec zadrżał. Nie dlatego, by wierzył, że on, czy ktokolwiek, mógłby być tak potraktowany przez tych, których spotkał i znał jako Thassów. To obraz wspomnianego stworzenia przyprawił go o mdłości.

Widocznie jego drżenie poinformowało ich, że taki strach tkwił w nim głęboko. Jednak jakże się mylili. Być zwierzęciem - szybkim, pięknym biegaczem, takim jak Yazz, okazem siły i odwagi jak Bojor... Czy dla niego. Śmierdziela, mogło być coś bardziej nęcącego?

- Widzę, że mnie rozumiesz. Nie muszę chyba dodawać, że nie trzymaliby takiego ohydztwa jak ty przy sobie. Wkrótce miałbyś futro lub pióra albo znalazłbyś się w klatce. A teraz pytam jeszcze raz: Dlaczego Vorlund i ta kobieta tu przylecieli? Thassowie nie mają statków, a ten, którym przybyliście, jest za mały, by zabrać więcej osób. Wystarczy jednak kilku rekrutów i już mogliby sprawić nam kłopot... drobny kłopot. Czy kiedykolwiek wspominali coś o planecie Sehkmiet, garbusie?

Faree myślał szybko. Mógłby spokojnie udawać, że strach przed zamianą w zwierzę każe mu mówić cokolwiek. A co tak naprawdę miał do powiedzenia? Nie był pewien, dlaczego przybyli na Yiktor - wiedział tylko, że lady Maelen popychało silne pragnienie wylądowania w czasie, kiedy na niebie błyszczy księżyc o trzech pierścieniach, i że to ma coś wspólnego z jej mocą. Musiał teraz myśleć szybciej niż kiedykolwiek, porównując fakty z przypuszczeniami i domysły z faktami.

- Powiedzieli tylko, że tam było wielkie znalezisko i że mieli z tym coś wspólnego. To jakaś sprawa z przeszłości, o której niewiele mówili.

- Sprawa z przeszłości, ale sięga w przyszłość, która właśnie nadeszła. Tak, na Sehkmiet coś znaleziono i tych dwoje się do tego przyczyniło. - Choć oblicze komendanta wyrażające znudzenie wraz z malejącym zainteresowaniem nie zmieniło się, to w jego głosie wciąż dźwięczała nuta sugerująca, że silniej odczuwa on złość niż strach.

- Umiesz czytać w umysłach, jak mi mówią. - Pochylił się odrobinę w przód, by spojrzeć Faree w twarz, która znajdowała się zaledwie parę centymetrów ponad stołem. - Więc powinieneś wiedzieć to, czego nie powiedzieli, jak i to, co powiedzieli. Czy nie tak?

Garbus potrząsnął głową.

- Panie, oni mogą odciąć swoje myśli siłą woli, tak jak ty otaczasz się polem ochronnym. Mogłem czytać tylko to, co chcieli mi przekazać - drobiazgi, które

uważali za potrzebne.

Bardzo długo mężczyzna po prostu go obserwował. Ciemne oczy pozbawione były wyrazu i wydawało się, że nie ma w nich życia. Zupełnie jakby wódz Gildii potrafił zamykać je na życzenie.

- To mogłaby być prawda. Śmierdzielu. Tylko że nie mogę być tego pewien, no nie? Przeprowadzimy pewien test, gdy tylko Isfalan przyjdzie z czytnikiem. Żadna ludzka istota nie może ukryć przed nim myśli. Tak więc na razie poczekasz w naszym towarzystwie. Jeśli chcesz mówić w imieniu swoich przyjaciół...

Faree podjął już decyzję, najlepszą, na jaką było go stać w tych okolicznościach.

- Panie, skoro o tym mowa... - Wskazał pudełko, które cały czas było pilnie strzeżone przez grubego mężczyznę. - Czyż nie przyszedłem? Oni nie przyszli, ratowali swoją skórę własnymi sposobami. Czemu więc miałbym wierzyć, że troszczą się o to, co się ze mną dzieje?

- Znowu masz rację. Thassowie nie walczą, nie podejmują wyzwania, nawet gdy się ich atakuje, zawsze się wycofują. Nie będą się śpieszyć z pomocą komuś takiemu jak ty, niekształtnej rzeczy z rynsztoka, którą prawdopodobnie zabrali tylko dla jakiegoś eksperymentu.

Może to prawda. Teraz, gdy był z dala od lady Maelen i lorda Kripa, jak mógł mieć pewność, że tak nie jest? Wystarczyło spojrzeć na siebie samego, by przyszły do głowy różne gorzkie słowa prawdy. W Świecie Granta przedstawiał jakąś wartość. Czym jest tutaj, jeśli nie śmieciem, zgarniętym podczas ich ucieczki, mniej znaczącym niż Yazz czy Bojor?

- Widzę, że dałem ci do myślenia - powiedział przywódca. - Rozważ to dobrze. Zabrać go z powrotem do celi.

Rozkaz ten wykonano, lecz przedtem wsunięto mu w rękę zeschniętą na kamień bułkę i bułkak z wodą. Jadł powoli, przeżuując twarde pieczywo ostrożnie, żeby nie połamać sobie zębów. Łatwiej byłoby wsypać jakiś narkotyk do tej skromnej racji wody niż do twardego pożywienia. Nie mógł się tam znajdować gaz usypiający, lecz nie zastosowali też nic innego. Może uznali, że jest w takiej sytuacji, iż nie potrzeba już stosować takich środków ostrożności.

Po przyjsciu do swojej celi nie był w stanie oprzeć pleców o ścianę, ponieważ wciąż czuł ból w garbie. Usiadł ze skrzyżowanymi nogami, w rogu najbardziej oddalonym od drzwi, i usiłował zebrać myśli.

To, czego dowiedział się od lorda Kripa o wydarzeniach z przeszłości, i inne spostrzeżenia zebrane po drodze - nawet słowa jego obecnych porywaczy - zaczynało tworzyć logiczną całość. W świecie zwanym Sehkmiet coś odkryto, bez wątpienia był to wielki skarb Pionierów, którego znalazca mógł stać się niewiarygodnie bogaty. Gildia była właśnie zajęta jego grabieżą, gdy w jakiś sposób lord Krip i lady Maelen zepsuli im całą akcję. Teraz organizacja ta (Faree nie miał żadnych wątpliwości, że ten komendant jest w niej kimś naprawdę ważnym) ma podwójny powód, by pragnąć dopaść dwójkę Thassów: aby się zemścić i dowiedzieć, czy jest jeszcze wiele takich skarbów do odkrycia.

Nie wątpił też, że Gildia kontroluje to, co mogłoby im wpaść w oko - zarówno jemu, jak i Thassom. Powszechnie było wiadomo, że zawsze poszukiwała skutecznych broni, nowych albo starych, należących kiedyś do dawnych i już zapomnianych ras. To, co sprowadziło go w ich ręce, było z pewnością czymś takim. Jednak lord Krip był w stanie oprzeć się temu wezwaniu.

Na szczęście niewiele mogą z niego wydobyć. Faree poczuł zadowolenie, że Thassowie nie wtajemniczali go w swoje plany. Może, i z pewnością będzie, stawiać opór, wystawiając na próbę siłę swego charakteru. W końcu jednak wycisną z niego wszystko, jak wyciska się wodę z pranej bielizny. Jego podejrzenie, że zechcą wykorzystać go jako przynętę - pułapkę, również wydawało się potwierdzać. Nie potrafił jednak przewidzieć, czy jakikolwiek Thassa zapuści się do samego serca terytorium wroga, by go stąd wydostać. Traktowali go dobrze, tak jakby był wysoki, jakby widzieli w nim prawdziwego człowieka, ale...

Zaczął powoli kiwać swoją wielką głową z boku na bok. Lepiej wyrzucić z umysłu ten cień nadziei. Nie ma przecież szans, by ktokolwiek wydostał go z rąk Gildii. Tylko tyle mógł zrobić, żeby opanować te złowieszcze fale strachu, które ogarnęły go wraz ze spazmami ściskającymi gardło i kroplami potu spływającymi po policzkach niczym łzy.

Nie było rady. Tym razem garbus nie miał Toggora, który by mu chociaż przedstawił niewyraźny obraz tego, co jest na zewnątrz. Ręce Faree, cienkie i długie, to tylko zlepek kruchych kości, które łatwo złamać jednym kopnięciem czy uderzeniem. A oni wspominali o paleniu laserem...

Głowa Faree opadła w przód i spoczęła na podciągniętych kolanach. Chłopiec objął ramionami nogi, tworząc w ten sposób z koślawego ciała i kości coś w rodzaju zawiniątka, narażonego na wszelki możliwy atak. Lecz jego umysł...? Czując kontakt

ze złem, wysłał pytającą wiązkę myśli.

Raz za razem natrafiała ona na pustkę, która, jak już wiedział, oznaczała pole ochronne. Nie było żadnych szans na nawiązanie kontaktu z kimkolwiek z nich. Nagle trafił na iskrę myśli... nie konkretną myśl, lecz raczej odczucie, byt to przede wszystkim głód, pod którym dawał się wyczuć strach i ostrożność.

Jakieś zwierzę, może ten sam typ pasożytów, które ściągają do zamieszkałych budynków na Obrzeżach. Był to bardzo ograniczony umysł, ale bez pola ochronnego. Z jego pomocą Faree mógł ujrzeć tak niewiele - tylko jakiś ciemny szlak, który, jak należało się domyślać, znajdował się w tych murach. Poruszał się jednak wraz z tą istotą. Zaczął od bardzo wolnego nadawania sygnałów pobudzających łaknienie, co powinno „schwytaną” zwierzynę wyprowadzić na zewnątrz.

Głód... ten rodzaj niedosytu, który on sam znał zbyt dobrze z przeszłości. Łatwo było pomyśleć o tym uczuciu i przekazać je śpieszącemu się stworzeniu w budynku. W niewyraźnym przedstawieniu korytarza widać było słabe światło. To znaczy, że myśliwy zbliża się do jakiegoś wyjścia. Głód! Z taką samą siłą, z jaką oddziaływał na Toggora, Faree karmił tę potrzebę... głód!

Stworzenie wydostało się do światła. Obraz był jednak tak zamazany, że Faree nie mógł rozpoznać miejsca - w jednym z budynków czy całkiem na zewnątrz. Brak pożywienia... jedzenie... karmić! Chłopiec skupił się na tym rozkazie, który mógł być zrozumiany przez małe umysł zwierzątka.

Wtem nastąpił nagły przeskok, który zbił garbusa z tropu. Po chwili - posiłek... mógł odebrać każdy moment tego nasycania się, rozrywania, połykania... a potem...

To było gwałtowne uczucie wirowania, spadania i w końcu... Faree czym prędzej się wycofał. Istota, na której „jechał”, była prawie martwa. Brakowało mu tchu, zacisnął dłonie na ramionach w silnym uścisku. Omal nie umarł! Mógł tylko wierzyć, że myśliwy został schwytany i zabity. Ale, tyle przynajmniej wiedział, jest lub był w tych murach jeden umysł bez pola ochronnego. Faree nie tylko go odnalazł, lecz w jakiś sposób zrobił z niego użytek. Tam gdzie jest jeden, może być i więcej.

Poza tym - i to było coś nowego - nie musiał koncentrować się na dokładnym myślowym obrazie, by nawiązać kontakt, jak zawsze musiał, czy też sądził, że musiał, w przypadku Toggora. Teraz z zamkniętymi oczami, nieruchomym ciałem zwiniętym w ten napięty kłębek, rozpoczął kolejne poszukiwania.

Jedyne okno w ścianie, wysoko ponad głową, ukazywało skrawek nieba. Jakie

żywe istoty, prócz mężczyzn z Gildii, w ślizgaczach przemierzają to niebo? Z początku niezręcznie i z niewielkim powodzeniem pomyślał o niebie i nie bardzo konkretnie o skrzydlatej istocie, która po nim szybuje. O ptakach wiedział bardzo mało, prawie nic. Ich odpowiedniki nie pojawiały się na Obrzeżach, z wyjątkiem kilku zawieszonych ścierwojadów żerujących w niektórych ciemnych zaułkach. Było coś...

Ślad myśli! Faree włożył całą swą siłę w jej dotknięcie i owinięcie się wokół niej oraz odnalezienie jej źródła. To był mieszkaniec przestworzy, który latał... i znowu głód i chęć łowienia poruszyły nieznaną. Faree próbował zobaczyć, lecz różnica w ich narządach wzroku była zbyt wielka albo...

Zupełnie jakby ktoś nacisnął guzik. Nagle chłopiec widział wszystko z lotu ptaka: ziemia rozpościerała się pod nim jak wielka podłoga. Budynki na wzniesieniu były szaroczną plamą z migoczącymi tu i ówdzie światłami. Mógł...

- Kto?

Łaknienie i żądza polowania zostały odcięte tak samo gwałtownie, jak nastąpiła zmiana w widzeniu. Tam był... jeszcze jeden!

- Thassa? - pomyślał Faree.

- Thassa. - Odpowiedź, która nadeszła na to jednowyrazowe pytanie, przyniosła zdecydowane potwierdzenie. - Kto?

Faree spróbował przedstawić myślowy obraz siebie w całej swojej pokraczności. Nie mógł mieć pewności, czy tamten chce podążać jego śladem tak, jak on podążał torem myślowym latającej istoty.

- Tutaj! - Nie była to myśl ptaka. Brzmiała wyraźnie w jego mózgu, nawet gdy próbował nawiązać kontakt jeszcze raz.

- Nie! - Obawiał się Gildii. Co prawda są odizolowani polami ochronnymi, ale w kontaktach z Thassami mogą stosować alarmy, które zdradzą takie wtargnięcie, jakby sam wróg wjechał w bramy.

- Nie tak - odpowiedź była tak stanowcza i głośna, że Faree wyciągnął się i gwałtownie spojrzał na drzwi, niemal pewien, że te słowa zostały wypowiedziane na głos, a nie mową myśli. - Jesteś...

Przez chwilę, odpowiadając jednemu czy dwom oddechom, nie nadeszło żadne inne słowo. Potem tak samo wyraźnie ten głos myślowy rzekł:

- Jesteśmy na poziomie nie bardzo znanym... nieznanym. - W tych słowach zdawało się brzmieć zdziwienie. - Oni mają swoje środki ostrożności, ale to dotyczy takich umysłów jak ich. Nie dowiedzą się. Co się stało?... Jesteś Thassem? - Faree

wrócił do wcześniejszej myśli. Nie dało się nie zauważyć podobieństwa tego głosu do tego, który docierał do nich wcześniej na statku.

- Dlaczego? - spytał chłopiec.

- Dlaczego? Bo jesteś na nas otwarty, a wszyscy inni są zamknięci, prócz zwierzęcia w murach i tego, który lata. Kim są ci tutaj i czego chcą?

Teraz chłopiec był pewien, że to jeden z czwórki, która na zgromadzeniu dokonywała sądu nad Maelen. Może to on zatkał mu uszy tą nieznośną pieśnią żalobną, którą śpiewano w sali spotkań.

Chociaż Thassowie znaczyli dla niego niewiele więcej niż sama ich dziwna nazwa, to jednak zagrożenie dotyczyło tych, których znał. Szybko uporządkował myśli i spróbował wrócić do spotkania z komendantem.

- Aha. - Głos rozmówcy tylko tak skomentował relację. - I planują może użyć cię jako przynęty do jakiejś pułapki?

- Ale to nie zadziała - odpowiedział szybko. - Bo przecież czym ja jestem, żeby ktoś się dla mnie narażał? Tylko... oni sprowadzają inne maszyny...

- Maszyny! - powiedział drugi głos. - Sprofanowali już Dawne Miejsce swoimi ślizgaczami i chcą jeszcze użyć innych maszyn. Nie trać jednak nadziei, maleńki. Mówię to, a takich słów nie rzuca się na wiatr, chociaż nie znasz nas na tyle, by to zrozumieć. W twojej obecności została odśpiewana pieśń. Teraz jesteś pod opieką Śpiewaków i to, co dzieje się z tobą, dotyczy również nas. Nie jesteś zapomniany. Pamiętaj o tym i zachowaj spokój jak do tej pory!

Równie gwałtownie, jak w przypadku latającej istoty, kontakt został przerwany. Faree doznał dziwnego uczucia, jakby w jakiś sposób ten głos trochę odciągnął od niego coś, co było wewnętrzną częścią chłopca. Jednak nie była to ucieczka. Nadal siedział skulony w celi, on - Śmierdziel z Obrzeży, nie widząc żadnej nadziei na wybawienie. Gdyby był w swoim świecie, przyszłoby mu do głowy wiele pomysłów, ale tutaj nic nie mógł zrobić.

Pomyślał o tej obietnicy, jeśli była to obietnica. Maelen może by uwierzył i odzyskał nadzieję. Ale temu, którego nie znał... liczne doświadczenia z przeszłości kazały mu wątpić. Może i chcieliby mu pomóc, ale Faree nie wierzył, by mogli cokolwiek zdziałać.

Tak więc był zdany tylko na siebie. Pomyślał o tym stworzeniu, które biegło gdzieś wśród murów. Jeśli jest ich więcej i jeśli mogłyby wszystkie razem zaatakować dla zdobycia pożywienia... co można by zyskać w ten sposób? Nie miał pojęcia, ale

zapamiętał taką możliwość. Istniała co najmniej jedna latająca istota, z którą nawiązał kontakt... chociaż mogła ona być całkowicie pod kontrolą Thassów i może już się oddaliła. Gdyby miał tu Bojora!

Nawet gdyby mógł przywołać tego olbrzymia, to chyba by tego nie zrobił. Bartel szybko zginąłby w cierpieniach od ran zadanych laserem, a Faree nic by na tym nie zyskał. Jeszcze raz zwinął się w kłębek i spróbował odciąć wszelkie myśli, żeby zasnąć.

Z początku sądził, że to mu się nie uda. Jego umysł wciąż powracał do rozmowy z komendantem i beznadziejnej sytuacji jego samego jako więźnia. Jednak już wiele razy przedtem Faree przenosił swoje obawy i cierpienia do świata iluzji. Tym razem stało się podobnie, z tą tylko różnicą, że nie dręczyły go już te okropne, wykrzywione obrazy, jak to było w przeszłości. Widział tak wyraźnie jak podczas komunikacji myślowej i wiedział, że nie jest to jakieś urojenie, lecz fragment odblokowanej we śnie pamięci, strzępek wspomnień o czasach, które wydawały mu się niezwykle odległe. Kucnął na zwoju brudnych dywanów, obserwując dwóch mężczyzn. Jeden z nich, w pogniecionym, poplamionym kosmicznym kombinezonie, był...

- Lanti. - Drugi mężczyzna wymówił to imię, lecz ono już wcześniej dotarło do umysłu śpiącego chłopca. Tamten człowiek przechylił się ponad zabrudzonym stołem, by chwycić Lantiego za koszulę przy samej szyi i potrząsnąć jego głową tak, że kiwała się na wszystkie strony.

Usta Lantiego były bezwładne, z jednego kącika sączyła się strużka śliny, a oczy stanęły w śłup. Oddychał chrapliwie. Ten, który go trzymał, uderzył go mocno w oba policzki.

- Ty cholerny durniu... odpowiadaj! Gdzie wtedy wylądowałeś?

Jednak ten, który był Lantim, tylko wydał wargi i zacharczał. Klnąc głośno, ten drugi puścił go i pozwolił jego głowie opaść na stół. Walnął pięścią w brudny blat przed sobą i sięgnął do kieszeni, z której wydobył kawałek czegoś, co swoim blaskiem rozświetliło pomieszczenie.

Widząc to, Faree wykonał niewielki ruch w przód i mężczyzna natychmiast zwrócił czujny wzrok w jego stronę. Na jego owłosionej twarzy malowała się taka żądza, że mały Faree cichutko zaskomlał i czekał na mający nastąpić cios.

Rozdział 10

Mężczyzna podszedł do chłopca i spojrział w dół na małą postać. Między dwoma palcami wciąż trzymał błyszczący odłamek, ale Faree już na to nie patrzył.

- Śmierdzieliu. - Wielki mężczyzna uderzył go w twarz, tak jak wcześniej Lantiego, na skutek czego dziecko przewróciło się, upadając twarzą na brudny dywan.
- Co wiesz o tym? On ciągał cię wszędzie ze sobą, więc musisz być coś wart. Czy dlatego, że coś wiesz?

Chłopiec czuł rosnące w mężczyźnie okrucieństwo. Olbrzymie dłonie z łatwością mogłyby skruszyć jego cienkie kości. Ten człowiek mógł z niego zrobić martwy kawałek mięsa, nadający się tylko do wyrzucenia na ulicę.

- Daleko... - Omal nie wymówił nazwy, którą trzeba było zachować w tajemnicy. Lanti znów by go pobił, gdyby się wygadał. O ile ten drab nie uśmierci go wcześniej. - Ja... ja nic nie wiem, panie. - Jego głos był chrapliwym jękiem, niewiele głośniejszym od szeptu.

Nastąpił drugi cios, lecz tym razem napastnik źle obliczył siły i odesłał Faree w stan nieświadomości. Gdy chłopiec się ocknął, poczuł, że całe jego ciało było tak obolałe, zdrętwiałe i posiniaczone, iż najmniejszy ruch zdawał się torturą.

Był już ranek, a Lanti wciąż leżał na stole z odwróconą twarzą. Po drugim mężczyźnie nie było śladu. Faree czekał dość długo, zanim do jego kończyn powróciło czucie.

Przed chatą słyszał zwykle dźwięki poranka: pomrukiwania i przekleństwa mężczyzn wracających na statki i trzaskanie garnkami w tych miejscach, gdzie sprzedawano ranne posiłki. Wewnątrz chaty panowała jednak kompletna cisza.

W końcu chłopiec się poruszył. Zeskoczył z dywanów i ośmielił się zbliżyć do stołu. To, że jego największy wróg był nieprzytomny, było darem losu, którego nie mógł nie wykorzystać. Wyciągnął się, jak tylko mógł, by przyjrzeć się Lantiemu. Opuchnięta twarz była szara, a wydęte wargi sine.

Zebrawszy się na odwagę, gotów uskoczyć, gdyby mężczyzna się obudził, wyciągnął jedną dłoń, by dotknąć zwisającej ręki.

Śpi? Ciało było zimne. Z coraz większą śmiałością Faree próbował dotrzeć do zmysłów mężczyzny. Nic nie wyczuł, żadnego śladu życia, jaki towarzyszy każdemu nawet w najgłębszych snach. Lanti był... martwy!

Co by to było, gdyby Faree tu znaleziono! Chłopiec podbiegł do swojego legowiska i wydobył kwadratową szmatkę, którą wcześniej tam ukrył. Podszedł znowu do stołu. Jego drobna, garbata postać uwijała się jak pająk, zbierając to nadgryziony chleb, to ogon płaskiego węgorka, nie tracąc czasu na jedzenie, choć pusty żołądek domagał się posiłku. Wolał zabrać pożywienie ze sobą. Broń? Nie... dwie pochwy przy pasie Lantiego były puste. Już wyciągnięto z nich i nóż, i ogłuszacz. Jedyłą szansą Faree była ucieczka i ukrywanie się. Nie miał pojęcia, dlaczego tamten mężczyzna go pozostawił. Może zauważył, że Lanti nie żyje, i przezornie uciekł. Wszyscy w tej części Obrzeży wiedzieli, że Faree był jego więźniem, i teraz mogła się rozpocząć nagonka na garbusa.

Przyciskając do siebie zebraną w pośpiechu żywność, wymknął się o świcie z chaty w poszukiwaniu ciemności. Swoim najszybszym krokiem oddalał się od jedyne miejsce, jakie znał na tym świecie.

Przed tym światem, przed Lantim, co było wcześniej? Powracał do tego bezustannie i zawsze spotykał się z ciemnością, jakby fragment jego umysłu pogrążony był w wiecznym śnie lub został mu wyrwany za pomocą jakiejś formy małej śmierci. Raz już prawie sobie przypomniał... gdy zobaczył ten błyszczący odłamek w ręku tamtego osiłka. Ale nawet wtedy istniała jakaś bariera.

Zawsze podejrzewał, że musi pochodzić spoza tego świata, i nie mógł zrozumieć, dlaczego Lanti przywiózł ze sobą taką żalosną kreaturę. Musiał przedstawiać sobą jakąś wartość pomimo swego koślawego ciała. Jakąś wartość pomimo...

Faree obudził się. Przez chwilę nie wiedział, co się dzieje. Te chłodne, kamienne mury dokoła nie były z Obrzeży. Wreszcie, choć chłopiec jeszcze mrugał z niedowierzaniem oczami, wszystko powróciło. Obietnica, że Thassowie mu pomogą. Jak bardzo odważyć się na to liczyć?

Próbował z rozsądku o tym zapomnieć. Ci, którzy go tu przetrzymują, mogą wykorzystać rzeczy, o których Thassowie, z całą potęgą swoich umysłów, nigdy nie słyszeli. Nie, nie miał odwagi wierzyć obietnicom.

Kolor nieba w oknie, wysoko ponad nim, wskazywał nastanie poranka. Faree był bardzo głodny i spragniony. Poprosić... uderzyć w drzwi z nadzieją, że ktoś go usłyszeli... Nie, lepiej obejść się smakiem, niż przypomnieć, że mają go pod ręką.

Ledwie podjął tę trudną decyzję, drzwi się otworzyły i wszedł mężczyzna w kosmicznym kombinezonie, ktoś, z kim Faree jeszcze się nie zetknął. W lewej ręce

niósł jedną z puszek żywnościowych, używanych w nagłych wypadkach, a w prawej trzymał ogłuszacz. Nie odezwał się, tylko wykonał gest bronią. Faree cofnął się pod ścianę i obserwował, jak mężczyzna pozo stawia żywność i wychodzi. Po chwili dał się słyszeć trzask, który chyba sygnalizował opuszczenie zasuw z drugiej strony drzwi.

Ta porcja miała zawierać zarówno jedzenie, jak i picie. Była to półpłynna masa bez smaku, lecz Faree wiedział, że doda mu sił i energii, więc zjadł wszystko bez najmniejszego ociągania się. Długo obracał w dłoniach pusty pojemnik. Gdyby to była tylko jakaś niewiarygodna historyjka z cyklu tych, które przekazuje się sobie przy kieliszku, mógłby wykorzystać tę puszkę jako rodzaj broni i wydostać się z tego więzienia. Tylko że to nie była opowieść, lecz prawda, i chłopiec pomyślał, że jak dotąd znalazł się za tymi drzwiami tylko wtedy, gdy komendant wezwał go do siebie. Przynajmniej starali się utrzymać go przy życiu, o czym świadczyło dostarczane jedzenie.

Przynęta?

Powoli, tak ostrożnie, jakby od tego zależało życie (co zresztą mogło być prawdą), Faree wysłał badawczą wiązkę myśli, nie kierując jej ku ludziom, lecz ku istotom najniższego gatunku. Wkrótce odnalazł kolejnego przedstawiciela żerujących w tych murach pasożytów. Stworzenie spało i dość łatwo było nim zawładnąć.

Faree połączył się z nim. Zwierzątko obudziło się, poczuło głód i pobiegło w jeden z korytarzy w grubych murach. To, co docierało do Faree, było mglistymi i bardzo ograniczonymi doznaniem związanymi z dobrze znanym tunelem. Potem, z otwartej przestrzeni, w której ów przewodnik wyróżniał niewiele, garbus mógł rozpoznać jedynie meble i jakiś fragment pomieszczenia.

Polującym stworzeniem zawładnęła wrodzona ostrożność. Gdy krótkimi skokami myśliwy poruszał się od jednej kryjówki do drugiej, Faree poczuł jego obce pole wizji, przedstawiające coś, co potrafił zidentyfikować. Garbus poczuł nagle gorąco i pomyślał, że jego przewodnik znalazł się w pobliżu ognia, przeznaczonego z pewnością do gotowania posiłków. Wtedy niewyraźne przebłyski wizji, których nie potrafił rozszyfrować, przestały się zmieniać i Faree pomyślał, że stworzenie przycupnęło w jakiejś kryjówce. Strach - silne uderzenie tego uczucia wypełniło cały ten obcy umysł, który był mniejszy niż u Toggora i całkiem inny. Toggor! Gdyby móc sprowadzić smaksa do tego więzienia! Komunikacja myślowa, którą stosowali w przeszłości, dawałaby mu większe szansę na porozumienie, niż z tą istotą z innego

świata, której nie znał i z którą nie potrafił zbudować obrazu myślowego, pomocnego w penetracji. Faree pomyślał o smaksie i o tym, gdzie on teraz może być. Jakoś bezwiednie rozluźnił kontakt z pasożytem z murów i nim się zorientował, wysłał poszukującą wiązkę, o której wiedział, że pozostanie bez odpowiedzi. Tymczasem...

Odpowiedź!

Faree nie potrafił ukryć nagłego zaskoczenia tym, że dobrze znany umysł smaksa był w pobliżu. Co prawda, sygnał był bardzo wąty, lecz gdy już odpowiedział, nie dało się go pomylić z niczym innym.

Thassowie... lub lady Maelen albo lord Krip muszą być bardzo blisko, bliżej niż to bezpieczne, skoro on może odebrać sygnał Toggora. Podobnie jak postąpił w przypadku ptaka, Faree sięgnął dalej i spróbował użyć przyjaciela jako ogniwa łączącego.

Gdyby Thassowie lub jego niedawni towarzysze podróży tam byli, garbus nie połączyłby się ze zwierzątkiem... ale był tam tylko smaks. Przekaz Toggora stawał się coraz wyraźniejszy, jakby zwierzątko zbliżało się do ruin, w których wrogowie urządzili swoją kwaterę główną.

Faree nie mógł uwierzyć, by smaks sam wybrał się w taką podróż. Jakkolwiek długi by był ten lot ślizgaczem, Thassowie z pewnością nie posiadali porównywalnych środków transportu, które przywozłyby Toggora. A jednak to na pewno był umysł smaksa i...

Był on wspierany... wzmacniany... podtrzymywany... nie przez jedną wiązkę myśli, lecz przez cały zespół. Faree nie posiadał przygotowania ani może nawet umiejętności oddzielenia woli od mocy, która powiększała własny, niewielki zakres myśli smaksa. Nie mógł też sięgnąć poza Toggora tak, jak uczynił to z mieszkańcem przestworzy. Zrodziło się jednak w chłopcu nowe ciepło. Było oczywiste, że Toggor się zbliża i że garbus będzie miał lepszego sprzymierzeńca od miejscowych stworzeń, których nie potrafił sobie przedstawić i przez to prawdziwie nimi kierować.

Faree przerwał to myślowe połączenie. Miał dziwne przeczucie, że ci, którzy go zamknęli, mogliby w jakiś sposób wyczuć taką komunikację. Jeśli Toggor znajdzie się bliżej, wysledzi chłopca swoimi własnymi zmysłami, bez informowania o swojej obecności tych, którzy uważali ruiny za swoją własność.

Pozostawało już tylko czekać. Faree miał się jednak przekonać, jak trudno jest opanować niecierpliwość. Tak bardzo pragnął użyć oczu Toggora, zobaczyć to, co widzi smaks, poczuć...

Gwałtownie usiadł. Kiedy spróbował się podnieść, w plecach odezwał się znowu dobrze znany od kilku dni ból. Okno i tak było za wysoko, by móc przez nie cokolwiek zobaczyć. Toggor... Toggor nagle się przestraszył!

Był... był ponad ziemią, nie trzymając się niczego. Wirował w powietrzu i nie mógł nad tym zapanować. Wzywał Faree, by mu pomógł... by go wyzwolił.

Czyżby został schwytany przez któregoś ze strażników Gildii? Nie, ten przeraźliwy strach nie był skutkiem kontaktu z kimś, lecz właśnie braku kontaktu z czymkolwiek, skutkiem bycia zawieszonym w otwartej przestrzeni, gdzie nie ma o co zaczepić pazurów.

W powietrzu? Czyżby nim rzucono? Nie, Faree nie wyczuwał tej beznadziejności położenia, w jakiej smaks znalazłby się, gdyby coś takiego miało miejsce. W powietrzu, lecz nie wyrzucony.

Niewyraźny, wirujący obraz i wtem...

W górze, w tym jedynym oknie zrobiło się ciemno. Ptak, a w każdym razie jakieś fruujące stworzenie z piórami usiadło na kamiennym parapecie. Przyniosło coś wrywającego się, przymocowanego sznurem do szyi posłańca. Gdy ów dostawca pochylił głowę, postronek zsunął się. Faree stanął pod oknem, z rękami wyciągniętymi w górę, i pochwycił smaksa, spadającego wprost na niego.

Toggor otoczony był siatką, którą Faree natychmiast z niego zdjął. Uwolniony smaks chwycił się koszuli garbusa i szybko wślizgnął się w swoje ulubione miejsce za kołnierzem, wysuwając oczy na słupkach najdalej, jak tylko mógł. Faree próbował porozumieć się ze smaksem myślami, lecz w odpowiedzi otrzymał tylko uczucie nudności i braku tchu, spowodowane huśtaniem w powietrzu. Toggor jeszcze nie doszedł do siebie po tej podróży. Musiała jednak istnieć jakaś ważna przyczyna, dla której przysłano smaksa do tego więzienia, i Faree wiedział, że jest to coś, co trzeba zrobić jak najszybciej.

Jedyne możliwe wyjście z celi stanowiło okno, a latające stworzenie po dostarczeniu przesyłki odleciało.

Garbus ponownie przykucnął w rogu, z którego najlepiej widział drzwi. Ostrożnie wydobył Toggora i podniósł go na obu dłoniach tak, by jego oczy znalazły się na wysokości oczu chłopca. Jeszcze raz spróbował nawiązać kontakt myślowy.

Tym razem otrzymał niewyraźny obraz lady Maelen. I coś jeszcze... Toggor buntował się przeciwko jakiemuś zadaniu, które mu powierzono. Zbadanie tego miejsca? Może w surowym kamieniu za oknem da się znaleźć szczeliny na pazury.

Faree myślał ostrożnie i wreszcie wyobraził sobie pasożyta z murów, z którym kontaktował się wcześniej.

Uwaga Toggora natychmiast skierowała się w tę stronę. Tak jak wyszedł swoją ofiarę na Obrzeżach, tak gotów był spróbować tego samego tutaj. Faree jednak obawiał się puścić smaksa. Chociaż dotarł do umysłu czy raczej zahaczył o umysł tego mieszkańca murów, to nie miał pojęcia, jak duże jest to stworzenie i w co jest wyposażone. Mogłoby się okazać, że to zbyt silny przeciwnik dla Toggora.

Było zupełnie oczywiste, że smaks ma na ten temat inne zdanie. Żądza polowania była w nim coraz silniejsza, aż w końcu ogarnęła większość umysłu Toggora.

Faree znowu przeczołgał się, by wstać pod oknem, ale smaks nie poluzował uścisku na koszuli. Widać było, że nawet nie myślał o pokonywaniu tej samej drogi, którą przybył. Jak więc ma się wydostać? W murach wieży nie było dostatecznie szerokich pęknięć, by zmieścić w którymś smaksa, a drzwi tak ciasno przylegały do podłogi, że przy każdym ich otwarciu skrzypiały przeraźliwie.

Gdy tylko Faree o tym pomyślał, drzwi do jego celi otworzyły się i ponownie pojawił się w nich strażnik, który tym razem zatrzymał się na progu. Toggor momentalnie rzucił się w stronę garbusa z taką prędkością, że zanim drzwi zostały otwarte, on był już dobrze ukryty za koszulą przyjaciela.

Mężczyzna trzymał w ręce ogłuszacz, ale nie przyniósł nic do jedzenia. Skinął na Faree, by podążał za nim, co chłopiec posłusznie wykonał. Spodziewał się kolejnej rozmowy z komendantem, a może nawet czegoś gorszego. Gdzieś po drodze na to przesłuchanie musiał wypuścić smaksa. Włókł się więc powoli z opuszczoną głową jak ktoś, kto stracił już wszelką nadzieję i nie ma żadnych planów.

Strażnik wskazał mu rozsypujące się schody i Faree zaczął po nich schodzić. Jego uwagę zaprzętał wiercący się za koszulą Toggor i chłopiec myślał tylko o tym, żeby strażnik nie zauważył tych ruchów.

Na szczęście, było tam ciemno, a liczne zakamarki obiecywały smaksowi schronienie i wygodę. Faree poczuł, jak smaks wsunął mu się do rękawa. Chłopiec opuścił ramię i nawet nie mrugnął, gdy łapki z pazurami wbijały się w ciało podczas schodzenia zwierzątka na dół.

Doszli do parteru i tam strażnik odezwał się, rzucając zawodowy zwrot:

- Stój! Zaczekaj!

Faree oparł się plecami o ścianę, udając zmęczenie. Ramię ze smaksem

trzymał opuszczone. Czuł, jak pazury przesuwają się po skórze. Mógł tylko mieć nadzieję, że te ostre zakończenia nie pozostawiają śladów ciekącego jadu. Wreszcie zauważył, że traci kontakt ze smaksem, i poczuł delikatne muśnięcie o nogi. Smaks zniknął w ciemnościach.

Chłopiec nie śmiał nawet spojrzeć w tamtą stronę. Strażnik podniósł wolny nadgarstek do ust i meldował swój kod do przymocowanego tam dysku. W chwilę później znowu zaczął poganiać garbusa, więc Faree musiał odejść i pozostawić Toggora własnym pragnieniom. Odtąd nie miał już możliwości przekazywania Toggorowi informacji o tym, co trzeba zrobić. Może ci, którzy go przysłali, już to uczynili.

Wyszli na zewnątrz. Światło słońca na tym wysuszonym terenie zapłonęło takim blaskiem, że Faree musiał przysłonić oczy przywykłe do mroku celi.

- Ruszaj się. Śmierdzielu. - Lufa ogłuszacza mocno nacisnęła na garb i Faree musiał przygryźć wargi, by nie krzyknąć z bólu. Wrażliwość na dotyk tego przyrodzonego bagażu z każdym dniem wzrastała. Zastanawiał się, czy nie oznacza to czegoś złego, czego nie rozumie. Chłopiec zachwiał się, nim opanował tę falę bólu, i po chwili podążył w kierunku wskazanym przez strażnika.

Wieża stała samotnie, nie połączona w żaden sposób z otaczającymi ją ruinami. Większość zabudowań pozbawiona była dachów, a nawet części pięt, które zniszczył czas, wiatr i nawałnice. Tylko budynek, w którym Faree był już poprzednio, zachował się nietknięty. Przed wejściem kręciło się kilku mężczyzn. Naliczył pięciu. Nie było jednak sposobu, by mógł dowiedzieć się, ilu jest wszystkich kryjących się tu wrogów.

- O, ten przynosi szczęście, Jat! - Dwóch czekających mężczyzn grało w „rzuc i suń”, czarnymi i białymi pionkami. Ten, który się odezwał, zbliżył się do Faree z wyciągniętymi palcami i pochylił do przodu.

Garbus zapragnął uchylić się przed tym dotykiem, lecz przeczuwał, że lepiej będzie zataić fakt, iż jego garb jest taki wrażliwy. Mogliby wykorzystać taką wiedzę do torturowania go. Zniósł więc klepięcie tymi palcami ze stoickim spokojem i nie dał poznać, że odczuwa ból.

- Szczęście dla nas wszystkich, na wypadek, gdybyśmy go potrzebowali - skomentował jeden z obserwatorów. - A możemy go potrzebować.

- Masz za długi język, Deit - odezwał się strażnik, prowadzący Faree. - Uważaj, żeby cię wódz nie usłyszał.

- Zaciągnąłem się do pracy, a nie żeby wysiadywać między stertami kamieni...
wszystkich to dotyczy.

- Tak, wszystkich - zgodził się strażnik. - A ty nie wspominaj o zapisach. Nie przy nim... - Pokazał kciukiem na drzwi z tyłu.

- Ruszaj się! - Jeszcze raz to przykre pchnięcie, tym razem wysoko na ramieniu, co nie sprawiło bólu. Faree wszedł do budynku. Znowu zadziwiły go dywany, gobeliny na ścianach, i różne zbytkowne przedmioty, które przywódca tej bandy przywiózł tu dla swojej wygody.

Znowu przy stole siedziało tych dwóch: mężczyzna w mundurze i ten, któremu tusza z trudem pozwalała zmieścić się na jednym krześle. Wzrok grubasa wbity był w mały ekran. Komendant zachowywał się bardziej swobodnie - palił pałeczkę, której ostry zapach mieszał się ze stęchlizną starej komnaty.

Żaden z mężczyzn nie zwrócił uwagi na wejście Faree. Garbus i strażnik stanęli razem pod ścianą. Wreszcie ten gruby niecierpliwie odepchnął projektor.

- Według odczytu, nie ma wyciszacza, ale to nie dosięgnie do tamtej doliny.

- Niczego nie dosięgnie - odparł jego towarzysz. - Ci Thassowie mają własne zabezpieczenia...

Tłuścioch odął wargi.

- Jaka wiedza może się oprzeć zdalnemu podglądowi? - Złączył kciuk i palec wskazujący i stuknął nimi w ciemny ekran.

- Chciałoby się rzec, skuteczna. - Komendant zaciągnął się głęboko i wydmuchnął kłęb niebieskawego dymu. - Czy nie tak, ŚMIERDZIELU? -Jego głos utracił swoje niskie, spokojne brzmienie. Powiedział to takim tonem, jakby wydawał rozkaz, który ma zostać natychmiast wykonany.

Faree z trudem się opanował. Bał się i nienawidził Russtifa, ale to było niczym w porównaniu z emocjami, jakie wywoływał w nim ten człowiek. W jego słowach chłopiec czuł groźbę, jakby w jego stronę strzelono batem, odrywając mu z policzka skrawek skóry.

- Nie wiem, co potrafią Thassowie - powiedział prawdę, ale bał się, że nie zostanie to zaakceptowane.

- Ale podróżowałeś z nimi, dotarłeś do ich strzeżonej doliny. A oni nie zezwalają na to nikomu, komu nie ufają. A może jesteś tak słabym i biednym przedstawicielem swojego gatunku, że traktują cię, jakbyś był jednym z ich „maleństw”, które zbierają i z którymi podróżują? Czym jesteś. Śmierdzielu,

człowiekiem czy zwierzęciem? Może już narzucili ci swoją wolę i naprawdę mógłbyś mieć pazury i kły. Ale ja w to nie wierzę... jeszcze nie.

Grubas jedną ręką odsunął na bok projektor i również spojrzał na Faree.

- Wyciągnij z niego prawdę - powiedział ponuro. - Sprawdź go!

Faree domyślił się, co to znaczy. W tym momencie zapragnął, by starczyło mu sił na zachowanie spokoju, na to, by nie trząść się ze strachu i nie krzycheć. Chcieli zastosować jedną z tych maszyn do wymuszania prawdy, o których krążyło tak wiele opowieści. Pod jej wpływem nic nie ukryje przed tymi dwoma. Wystarczy, że będą zadawać pytania, a maszyna natychmiast wykryje każdą chęć zatajenia informacji.

- Bardzo dobrze. To przynajmniej będzie pouczające. Dlaczego Thassowie cię akceptują. Śmierdzielu? Jesteś żalonym przedstawicielem swojego gatunku. Ale może tym, którzy są w bliskich stosunkach ze zwierzętami, nie przeszkadza twoja brzydota. Zobaczymy.

Przywódca skinął jedną ręką i nim Faree zdążył się poruszyć, strażnik obok niego chwycił za koszulę na delikatnej skórze garbu i mimo wysiłków ukrycia bólu ze strony chłopca wydobył z niego jęk. Popchnięto go w prawą stronę i wciśnięto w krzesło, które przysunął inny strażnik.

Jeden z nich przytrzymał głowę Faree, odchyloną do tyłu, a inny zakładał srebrną przepaskę na jego czoło i gęstwą czarnych włosów. Od tej obręczy biegły druty w przestrzeń ponad głową. Faree nie mógł odchylić głowy tak mocno, by ujrzeć, gdzie się one kończyły. Teraz był więźniem mocy, której obawiał się coraz bardziej, gdyż jego bezbronność stała się oczywista.

- Jak się nazywasz?

Pytania zadawał gruby mężczyzna.

- Faree.

- Faree? - Komendant lekko zmarszczył czoło, jakby próbował uchwycić jakiś przeblysłk pamięci.

- Czym jesteś?

- Garbusem - odpowiedział zgodnie z prawdą, próbując sprawdzić, czy może tak ograniczać przekazywane im informacje.

- I czym jeszcze? - Komendant pochylił się i skierował swoją pałeczkę prosto w Faree, tak jakby była laserem mającym zamienić go w dymiący popiół.

- Faree. - Trzymał się myśli, że jeśli będzie odpowiadał tylko na konkretne pytanie, to nie będzie takim wielkim zdrajcą.

- Urodziłeś się na Obrzeżach?

- Nie wiem. - Nie kłamał, ale jednocześnie nie informował ich o niczym, czego sam by nie wiedział.

- Każdy wie, gdzie się urodził, chyba że jest idiotą - stwierdził tłuścioch, parskając przy tym śmiechem. - A my nie sądzimy, żebyś był idiotą.

- Dlaczego mówisz, że nie wiesz? - Komendant nie podzielał irytacji swojego towarzysza, lecz był przez to bardziej niebezpieczny, co Faree zauważył już przy pierwszym spotkaniu.

- Nie pamiętam.

- Byłeś wymazany? - Komendant nie patrzył już z taką uwagą na chłopca, lecz spoglądał ponad jego głowę na to coś, co określało jego słowa jako prawdę lub fałsz.

Wymazany... pamięć wymazana z jakichś przyczyn. Czyżby to była prawda, której przez cały czas spędzony na Obrzeżach nie miał odwagi spojrzeć w oczy?

- Nie wiem.

- Jakie jest twoje pierwsze wspomnienie? - Głos przywódcy znowu był łagodny i stanowczy.

Ponieważ Faree nie miał odwagi próbować jakichkolwiek sztuczek z ukrywaniem prawdy, opowiedział o tym, co widział we śnie... o śmierci Lantiego i swojej ucieczce w dżunglę Obrzeży.

Rozdział 11

- Lanti. - Przesłuchujący powtórzył to imię. Spojrzał na grubego mężczyznę, który wciąż przebierał palcami po powierzchni ekranu. Tamten wzruszył ramionami.

- Kto zrozumie czyny jednego z milionów?

- Miał jakiś cel...

- Jak my wszyscy, póki nie pochłonie nas nicość. Porwanie?

- Jak ten tutaj - komendant wskazał Faree - mógł przedstawiać jakąkolwiek wartość na jakimkolwiek targu, Sulve? Chyba że coś wie. Ten kawałek zabrany Lantiemu... albo przynajmniej o którym on wiedział... co to było?

- Nie wiem.

- Nie wiesz! - przedrzeźnił grubas piskliwym głosem. - Zdaje się, że jest niewiele rzeczy, o których wiesz, mam rację? Dlaczego Vorlund i ta kobieta zabrali cię ze sobą? - zwrócił się do chłopca.

Dlaczego? Bo porozumiewał się ze smaksem? Musi jednak trzymać Toggora z dala od tej sprawy, o ile to możliwe.

- Russtif handlował dzikimi zwierzętami. Oni takich szukali i zauważyli, że ja potrafię komunikować się myślami z niektórymi zwierzętami.

- Dla Thassów powód wystarczający... może. - Komendant podrapał się kciukiem po policzku. - Wiadomo, że ta kobieta kiedyś występowała z tresowanymi zwierzętami i na pewno czasami zamieniała się z nimi ciałami, jak to zrobiła na Sehmet.

Pulchne dłonie Sulve'a nagle zamarły.

- On? - Wskazał otłuszczonym podbródkiem na Faree.

- Nie, wykrywacz by to zarejestrował. Czy obiecali ci nowe ciało, pokryte futrem. Śmierdzieli?

- Nie.

- Lecz zajmowałaś się zwierzętami, tak? I wciąż jesteś człowiekiem ósmego...
- Oczy komendanta przeniosły się z twarzy Faree na punkt nad jego głową, prawdopodobnie wskaźnik tej maszyny prawdy.

Człowiek ósmego stopnia - Faree usłyszał to wystarczająco wyraźnie. Nie prawdziwy człowiek, człowiek dziesiątego stopnia! Spojrzał w dół, na swoje chude dłonie i zielonkawą skórę. Byłby więc nie odchyleniem od gatunku ludzkiego, ale

czymś innym... czymś, co może było dla wszystkich tym, czym Toggor i Yazz dla niego? Zastanowił się nad tym i zadrżał. W końcu może dla Thassów nie różnił się tak bardzo od Yazza i Bojora.

Spróbował się trochę wyprostować i poczuł przeszywający całe ciało ból, którego źródło tkwiło w ciężarze na barkach. Właśnie w tej chwili to jedno zadane przez nich pytanie nabrało szczególnego znaczenia: kim on jest?

- Dlaczego wrócili na Yiktor? Przecież ta kobieta została wygnana? - Selve powrócił do zadawania pytań.

- Nie wiem. - Prawda, cały czas prawda. Lord Krip mu powiedział, ale Faree nie usłyszał tego bezpośrednio od lady.

Obaj mężczyźni wpatrywali się w ten punkt ponad głową garbusa i komendant znowu zmarszczył brwi.

- Co więc mówili o Sehmet? - spytał nagle.

- Że pomogli odnaleźć miejsce Pionierów... wielki skarb... i że byli tam ludzie z Gildii, którzy zostali pokonani.

- Nic więcej?

- Nic. - Faree odpowiedział natychmiast.

- Aha. - Komendant podniósł leżącą przed nim na stole tubę i odłożył paloną pałeczkę. Skierował ją w stronę Faree i chłopiec wrzasnął, gdyż nie mógł znieść bólu, który oblał go całego niczym fala kwasu żrącego skórę.

- Co mówili o Sehmet, i tym razem ma to być prawda...

- Tylko tyle, że lady Maelen nosi teraz ciało tam znalezione... że pokonała coś dziwnego, nie z ciała i kości. - Faree nie sądził, by to miało jakiegokolwiek znaczenie, ale była to reszta prawdy o przeszłości, coś, co tych dwóch mogło już wiedzieć i przez to sprawdzić jego prawdziwość.

- Widzisz, potrafisz sobie przypomnieć, gdy ci się trochę pomoże - skomentował komendant. - Nie próbuj ze mną więcej żadnych sztuczek. Czy ta Maelen i Vorlund wrócili, żeby zebrać oddział do innych poszukiwań, mając nadzieję albo wiedząc, że znów im się poszczęści?

- Nie wiem. Były trzy pierścienie i moc...

- Wszyscy znamy to gadanie o trzech pierścieniach. Śmierdzielu. A Thassowie mają własną moc. Ta Maelen posiada jednak coś więcej, zgadza się?

Obracał tą różdżką tortur w palcach, bawił się nią, przerzucając wzrok z Faree na to coś nad głową i z powrotem.

- Nie wiem. - Faree próbował przygotować się na następny przyływ wstrząsającego ciała bólu. Wyraz niezadowolenia na twarzy komendanta stawał się coraz wyraźniejszy.

- Zdaje się, że wiesz bardzo mało, jeśli w ogóle, z tego, co ma jakieś znaczenie. Przejdźmy do sprawy Lantiego.

Przez moment wyglądało na to, że Sulve chciał zaprotestować, lecz nawet jeśli nie zgadzał się ze swym partnerem, nie wyraził sprzeciwu.

- Kim był Lanti?

Jeszcze raz Faree opowiedział swoje pierwsze wspomnienie - o pilocie, który zmarł nad rozlanym trunkiem, dając w ten sposób chłopcu swego rodzaju wolność.

Komendant zgasił swoją pałeczkę.

- Innymi słowy. Śmierdzieliu, wiesz niewiele lub nic, co byłoby nam przydatne. Czemu mielibyśmy trzymać cię przy życiu?

Faree nie próbował na to odpowiedzieć. Ciągle miał w duchu ziarno wiary, która nie pozwalała mu załamywać się na Obrzeżach i która pomimo bólu pomagała opanować krzyk w obecnej sytuacji. Jest tylko człowiekiem ósmego stopnia. Powinien więc udowodnić, że jego rasa, czymkolwiek jest, posiada trochę odwagi Sulve stuknął tymi wałkami tłuszczu, które były jego palcami, w ekran.

- On nie jest wart dwóch miedziaków... nawet jednego drewnianego ingawa.

- Może nie on sam. Ale jako przynęta... tak, jako przynęta. Oni rozsyłają tych swoich latających szpiegów. Może przyda się potrzymać go trochę dłużej.

Strzelił palcami i ten sam strażnik, który wciskał Faree obręcz na głowę, wszedł, by ją z chłopca zdjąć. Ciągnął przy tym bezlitośnie za włosy, zadając silny ból.

- Z powrotem do wieży - rozkazał komendant. - A monitor dla ciebie, Sulve. Jeśli przyjdą po tego koślawego śmiecia, będziemy mogli przynajmniej dowiedzieć się o tym, gdy tylko przekroczą ten swój mur nie do przebycia. Nie będą tam przecież tkwić wiecznie.

- Czas... - zaczął grubas.

- Czas rządzi sam sobą. Nie możemy go przesunąć w przód ani w tył. Są uzależnieni od trzeciego pierścienia tego swojego księżyca. Może to tylko przesąd, lecz gdy w grę wchodzi Thassowie, skłonny jestem wierzyć, że to coś więcej. Pamiętaj, oni byli pierwszym ludem, który tu żył, zanim pierwszy lord zagarnął ziemię dla siebie.

- Już się nie liczą...

- Nie! - Komendant stanowczo potrząsnął głową. - Nie rób tego błędu, popełnianego zazwyczaj przez tych, którzy mało widzieli. Powinieneś wiedzieć więcej. Sam fakt, że lud nie mieszka w miastach i nie jest łasy na konsumowanie towarów handlowych, nie oznacza jeszcze, że jest prymitywny. Dużo słyszałem o Thassach i nie wierzę, by chylili się ku upadkowi, wybrali raczej nowy sposób życia.

Mocny uścisk na ramieniu Faree odciągnął go z miejsca. Garbus musiał się śpieszyć, by nadążyć za strażnikiem wyprowadzającym go z komnaty, i dalej, przez zniszczony chodnik dziedzińca. Niczego nie dowiedzieli się od niego o Thassach, a do czego mogło im się przydać jego wspomnienie o Lantim, nie miał pojęcia. Nie miał odwagi szukać Toggora - Sulve mógłby przejąć jego sygnał. Faree wiele słyszał o wspaniałym spręcie, jakim podobno dysponowała Gildia. Zastanawiał się, co pożytecznego może zdziałać smaks, pozostawiony sam sobie w miejscu, w którym chłopiec nie może się z nim skontaktować?

Wkrótce był z powrotem w celi na szczycie wieży. Wepchnięto go w kąt i zatrzaśnięto drzwi. Faree wciąż starał się nie myśleć o Toggorze. Niemożliwe, by to małe stworzenie mogło otworzyć drzwi, a tym razem nie było w pobliżu chętnego do pomocy bartła.

Kucnął. Rękami objął kolana i pogрузzył się w myślach - nie o Thassach ani o lordzie czy lady Maelen, lecz o tym wyraźnym śnie z poprzedniej nocy, o Lantim i o tym, kim lub czym może być on sam.

Stopnie na skali - istota rozumna - człowiek - człekopodobny - zostały ustalone dawno temu. Zdarzały się istoty bliskie końca formy człekopodobnej, które posiadały cechy niezrozumiałe nawet dla wyższych „ludzi”. Dlatego...

Osiem stopni... co składało się na te stopnie? Coś z budowy ciała: ma dwie nogi, dwie ręce, głowę i ludzką postać. Równie dobrze mógłby być pokurczonym „człowiekiem”, jak i stworzeniem człekopodobnym. Jego skóra miała zielonkawy odcień, ale to nic, bo Thassowie mają białą skórę i włosy, a ci dwaj, którzy go przesłuchiwali, smagłą cerę i brązowe włosy. Widywał już „ludzi” z dwiema parami rąk, skórą pokrytą łuskami jak u Zakatian i ich jaszczurczymi grzebieniami, z delikatnym futrem Salarków i ich żeńskimi cechami. Wszyscy oni przewijali się przez przestrzeń kosmiczną i nikt nie komentował ich różnic.

Jednak przez wszystkie pory roku spędzone na Obrzeżach, Faree nigdy nie spotkał nikogo o tak pokurczonym ciele jak jego własne. Dlaczego Lanti go trzymał?

Garbus był pewien, że przybył z nim z jakiegoś innego świata i że odgrywał jakąś ważną rolę w planach Lantiego, zanim kosmonauta pogrążył się w pijaństwie. Tak więc, skoro Faree miał znaczenie kiedyś... I on o tym opowiedział Gildii!

Gwałtownie usiadł, jęknąwszy przy tym z powodu bólu w plecach. Nie był on jednak aż tak ostry, by kazać mu zapomnieć o tym, że tak wiele zdradził przesłuchującym go wrogom. Może nie były to informacje, których się spodziewali, ale dotyczyły jego osoby. Gildia słynęła z dokładności wszelkich poszukiwań, które mogłyby przynieść zyski. Na co natknął się Lanti, skąd pochodził ten błyszczący skrawek, który tamten mężczyzna pokazywał również jemu, garbatemu Faree?

Był pewien, że wszystko, co powiedział, zostanie zreferowane oficerowi odpowiedzialnemu za ten sektor. Wtedy pewnie znów po niego przyjdą. Może oni znają sposób przełamania blokady umysłów... chociaż to mogło również oznaczać jego śmierć. Cóż on narobił, prawda okazała się bardziej niebezpieczna, niż to sobie wyobrażał.

Nigdy jeszcze, nawet w najtrudniejszych chwilach na Obrzeżach, nie czuł się tak pozbawiony wszelkiej pomocy. Tam zawsze miał szansę ucieczki, ukrycia się. Tutaj znalazł się w pułapce i nawet przybycie Toggora mogło zmienić niewiele lub nic. Czy mógłby zaryzykować i spróbować nawiązać kontakt ze smaksem, czy też komendant i Sulve okryli to miejsce płaszczem wykrywającym wszelkie czynności telepatyczne? To, że oni wszyscy byli zabezpieczeni przed działaniem telepatii, znaczyło, że byli przygotowani na taką ewentualność. Może w tej chwili, za pomocą maszyny, której on nie potrafi wykryć, czytają jego myśli, tak jak można odczytać wiadomość na monitorze. Jeśli tak, to czego mogą się spodziewać?

Z pewnością czy raczej przede wszystkim - Thassów. Skoro odpięli go od tych przyrządów kontrolujących umysł, wierzą, że będzie próbował skontaktować się ze swoimi towarzyszami podróży, by prosić ich o pomoc. A wtedy... nie Toggor! Raczej konkretni Thassowie złączą myśli wokół jakiegoś wyczynu zaplanowanego przez nich, pod ich księżycem otoczonym trzema pierścieniami!

Nigdy jeszcze Faree nie próbował niczego takiego - fałszywego myślenia, wyobrażania czegoś, co jest nieprawdziwe, w taki sposób, by można to uznać za prawdziwe. Gdyby to było możliwe w stosunku do Thassów, czemu nie miałyby dotyczyć też myśli o Lantim.

Najpierw o Thassach. Tak. Jakiś bodziec do myślenia. Powoli i ostrożnie zaczął budować myślowy obraz lady Maelen, jej przywództwa nad grupą zwierząt.

Umieścił tam wszystko, co wiedział o zwierzętach, nie tylko o Bojerze tak bardzo przydatnym na pokładzie statku, lecz również o innych - tych, które widział w klatkach Russtifa, oraz całkiem wymyślonych i tak potwornych, jak tylko mógł sobie wyobrazić. Pomyślał o tym, że lady zasięga porad zarówno u Thassów, jak i u zwierząt.

Więc... lady zasięga rady u swoich futrzastych i opierzonych... z łuskami... podopiecznych. Nadejdą wraz z nocą... na pewno nocą. Faree kuczał z zamkniętymi oczami i całą siłą woli przedstawiał obraz tego, czego się po nim spodziewano. Jego skupienie zakłócił jakiś dźwięk. Chłopiec spojrzął w górę i zobaczył spadające pazury, które wczepiają się w kamień parapetu.

Faree bardzo się pilnował, by nie dopuścić do siebie myśli o Toggorze - o prawdziwym Toggorze - ale gdyby tak był on dwadzieścia, sto razy większy, z olbrzymimi pazurami, przeciwnicy musieliby się z nim liczyć. Taki smaks mógłby zagrozić całej tej operacji prowadzonej przez Gildię, o ile pozostałby w ukryciu. Dopiero teraz chłopiec otworzył umysł na komunikację ze zwierzątkiem i przepłynęły między nimi informacje. Smaks spenetrował już dolne poziomy wieży oraz to, co znajdowało się powyżej: płaski dach otoczony barierą, która Toggorowi wydała się gigantyczna, lecz Faree zrozumiał, że sięga ona człowiekowi do pasa. Gdyby istniał jakiś sposób, żeby dosięgnąć okna i wspiąć się na dach, chłopiec mógłby znaleźć dla siebie kryjówkę, z której pokonałby ich wszystkich, jeśli tylko potrafiłby kontrolować myśli. Jednak od okna dzieliła go dość duża odległość. Gdyby tylko ją pokonał, mógłby, pomimo garbu, tak się skurczyć, że przecisnąłby się przez ten otwór.

Uważnie myśląc o wielkim jak Bojor smaksie spieszącym mu na ratunek, Faree wstał, by przejechać cienkimi palcami po powierzchni ściany. Między starymi kamieniami nie było dziur. W tej części ruin nie było nic, na co mógłby się wspiąć, by dostać się do okna.

Zacisnął dłonie i spojrzął w górę, czując się pokonanym. Jediną drogą prowadzącą na zewnątrz okazały się zablokowane i prawdopodobnie pilnowane przez strażnika drzwi. Musiał się z tym pogodzić. Przedstawił w myślach obraz olbrzymiego smaksa na zewnątrz, gotowego wyzwolić go, tak jak bartel poradził sobie z podobnym problemem na statku.

Toggor zeskoczył ze ściany na ramię Faree, powodując ból w garbie. Oczy zwierzęcia, umieszczone na słupkach, były wysunięte. Smaks wpatrywał się w drzwi, jakby się czegoś spodziewając.

Nie mylił się! Chłopiec usłyszał zgrzyt odsuwanej zasuw. Poruszył się. Chwycił Toggora w obie dłonie i rzucił nim tak, że zgodnie z jego zamierzeniem smaks wylądował we wgłębieniu ponad drzwiami.

Toggor odwrócił się szybko i wczepił dwoma pazurami w krawędź tej wąskiej półki. Słupki oczu miał już wciągnięte i czekał gotowy do skoku. Faree znowu zgarbił się jak ktoś pozbawiony nadziei, ale odwrócił głowę, by móc widzieć smaksa w działaniu. Na przednim pazurze już zaczęła powstawać zielonkawa kropla, powoli sączył się jad.

Do celi wszedł mężczyzna z bronią w ręku i zwrócił ją w stronę Faree w chwili, gdy Toggor puścił się kamienia i skoczył mu na plecy. Pazury wbiły się w gardło strażnika tak szybko, że Faree nawet nie zauważył, jak się to stało. Strażnik zachwiał się, krzyknął i upuścił ogłuszacz, by obie ma rękami chwycić się za szyję. Kołysał się w przód i w tył, a jego twarz wyrażała ból i przerażenie. Teraz nadeszła kolej na skok Faree. Garbus chwycił za ogłuszacz, strażnik zachwiał się, przytrzymał ściany i opadł na kolana, ręką wciąż ściskając kark. Toggor już opuścił to walczące ciało. Chłopiec obrócił broń i przycisnął cyngiel. Wijący się z bólu mężczyzna rozprostował się i wydał zduszony krzyk, po chwili leżąc już nieruchomo. Garbus wraz ze smaksem wyszedł z celi i zamknął za sobą ciężkie, grube drzwi.

Chłopak wsunął ogłuszacz za pasek i schylił się do zasuw, która wyglądała na zbyt ciężką jak na jego możliwości. Udało mu się jednak wsunąć ją w odpowiednie otwory, co utwierdziło go w przekonaniu, że w tym momencie może dokonywać cudów. Wtedy...

Przykucnął przy schodach i spojrzał w dół. Ponieważ nie znał ani dokładnej liczby obecnych tu mężczyzn, ani ich rozmieszczenia, nie miał odwagi zejść po schodach, nawet uzbrojony. Na dół? Gdyby była jakaś droga do góry!

W jego umysł wdarł się niewyraźny obraz: fragment mglście zarysowanego muru, a na nim...

Faree obrócił się. Smaks był u podnóża tego muru i do czegoś sięgał pazurami. Kolce... w samej ścianie były kolce. Nie schody, lecz z pewnością droga do wspinaczki. Chłopcu wydało się, że dojrzał tam zarys otworu, zamkniętego ukrytą zapadnią. Rygiel tych drzwi mógł się znajdować tylko z tej strony.

Smaks był już w połowie wysokości muru i zwinnie przeskakiwał z jednego wgłębienia w drugie. Garbus ruszył za nim, sprawdzając każdy uchwyt. Mimo iż rdza całymi płatami pozostawała mu w dłoniach, było pod nią jeszcze dostatecznie dużo

metal, zdolnego utrzymać jego ciężar.

Przytrzymując się jedną ręką i dwiema stopami, drugą rękę położył na zamkniętej zapadni i spróbował wypchnąć ją w górę. Stare drewno stawiało opór. Faree, zaciskając zęby, spróbował jeszcze raz i poczuł minimalne przesunięcie. To wystarczyło, by go zachęcić. Przytrzymał się obiema rękami i wygiął ciało tak, że naciskał nim na drzwi. Odczuwał ostry ból w garbie, lecz nie rezygnował. W końcu przeszkoda uniosła się na tyle, że chłopiec zdołał wsunąć w szparę jedno ramię i bark. Potem już dość szybko wyczołgał się na zewnątrz. Leżał na świeżym powietrzu, a Toggor delikatnie pociągał go za długie kosmyki włosów i radośnie popiskiwał. Plecy Faree przeszywał ból nie do wytrzymania, lecz resztkami woli poruszył się, by zamknąć za sobą drzwi. Szczyt wieży zakrywała masa krzewów i wysuszonych traw. Faree zauważył ptasie odchody. Było tam gniazdo, prawdopodobnie używane dłużej niż jeden sezon. Wokół leżały kości, połamane, rozdrobnione, niektóre dosyć duże, co kazało zastanowić się nad rozmiarami budowniczych gniazda, którzy polowali na tak duże zwierzęta.

Wstając potrafił dłonią jakąś czaszkę. Wychylił się trochę, by spojrzeć za główne budynki. Pod zewnętrznymi murami stały dwa ślizgacze, służące zapewne do przewożenia osób stacjonujących w ruinach. Dostrzegł dwóch mężczyzn udających się do budynku z dachem, w którym Faree był przesłuchiwany. Poza tym nic nie wskazywało, by w ruinach ktokolwiek przebywał.

Dzień był ponury, bez jasnego światła słonecznego, ale chłopiec dostrzegł na wschodzie zarys wzniesień świadczący, że tam znajdują się wzgórza i skały, uważane przez Thassów za ich pradawne terytorium. Suche kępki traw i gdzieś tam wyginane wiatrem krzewy były szare zamiast zielone, wokół walały się liczne kamienie, niektóre duże, wznoszące się pionowo, jakby sugerowały, że ruiny, w których się znajdował, miały dużo starszych sąsiadów, po których pozostało tylko kilka wyrzeźbionych przez wiatr pozostałości.

Chwilowo Faree był bezpieczny, ale bez żywności i wody nie mógł pozostać w tym miejscu dłużej. Wbrew wszystkim wyobrażeniom sprzed godziny nie mógł też liczyć na żadną pomoc. Toggor skakał po brudnych resztkach dużego gniazda, a pod jego ciężarem z traskiem łamały się dawno uschnięte liście i gałęzie. Pośród tych liści Faree dostrzegł błysk czegoś, co jasno lśniło nawet pod tak szarym niebem. Chłopiec schylił się i wyjął nóż z kościaną rękojeścią. Znaleźisko było jeszcze w pochwie i chłopiec pomyślał, że musi być zardzewiałe od długiego leżenia na

świeżym powietrzu. Nie było łatwo wydobyć nóż z pokrowca, a gdy się to udało, Faree ze zdumieniem zauważył, że ostrze jest matowe, lecz tylko w kilku miejscach dotknięte korozją.

To szczęśliwe znalezisko sprawiło, że chłopiec zaczął rozgrzebywać zawartość gniazda w poszukiwaniu przedmiotów, które zapadły się na jego dno. Spotkał jeszcze więcej kości: trzy czaszki wskazujące, że należały niegdyś do zwierząt wielkości mniej więcej Yazza. Były też inne rzeczy: zniszczony przez czas pas skóry, wyglądający na pasek, na którym umieszczone były jakieś krążki z czarnego metalu, z zakurzonymi kamieniami w środku, puchar z zaśniedziałego metalu, który, według Faree, mógł być srebrem, oraz fragment sztyletu z zachowaną rękojeścią i skorodowanym ostrzem. Słyszał o ptakach, które wyszukują błyszczące przedmioty i znoszą je do swoich gniazd. Wszystko wskazywało na to, że znalazł się właśnie w jednym z nich. Wśród zgromadzonych przedmiotów było też pudełko, które musiał otwierać za pomocą sztyletu i końcówki noża.

W końcu udało się je otworzyć, lecz to, co Faree tam znalazł, było tylko kupką gęstego, czarnego proszku. Jeśli były to resztki jakiegoś skarbu, to chłopiec nie potrafił stwierdzić, co to było, i z niesmakiem odrzucił pudełko. Odrobina substancji utworzyła niewielką chmurę, która osiadła na przedmiotach, wygrzebanych z gniazda podczas poszukiwań.

W powietrzu unosił się dziwny zapach. Po chwili z jednej z obsypanych gałęzi podniosła się smużka dymu. Za nią pojawił się płomień. Faree skoczył do tyłu, świadom tego, że jeśli się nie pośpieszy, ogień strawi wszystko to, co znalazł w gnieździe. Jak najszybciej odepchnął gałęzie od otworu prowadzącego w dół, by w razie najgorszego móc tędy uciekać. Prawdopodobnie prosto w ręce swoich oprawców, bo na pewno ten ogień na dachu wieży zostanie zauważony!

Wszystko było suche i wraz z rozprzestrzenianiem się płomieni rozlegały się głośnie trzaski. Tam gdzie upadł proszek z pudełka, buchały większe płomienie - nie czerwone ani żółte, lecz jaskrawozielone - aż nich zaczęły się podnosić gęste tumany zielonkawego dymu.

Faree przykucnął przy klapie. Jeśli tylko wytrzyma ciepło buchające od płonącego gniazda, to będzie tu bezpieczniejszy niż w samej wieży. Gdy wcześniej grzebał w gnieździe, odgarnął trochę suchych kości, z których teraz zbudował obok siebie stosik, połamawszy je najpierw na krótkie szczapki. Tym sposobem prócz ogłuszacza odebranego strażnikowi posiadał dodatkowe uzbrojenie, które mógł

wykorzystać do kaleczenia sięgających po niego dłoni, w razie gdyby nie musiał uciekać przed ogniem.

Z myślą o tym ewentualnym starciu przywołał do siebie Toggora i kazał mu przejechać zroszonymi jadem pazurami po długich ostrzach, szykując w ten sposób broń na każdego, kto chciałby wtargnąć do jego kryjówki.

Ciepło płynące od ognia było nie do wytrzymania. Toggor wpełzł za koszulę Faree i przylgnął do ciała, jakby pokurczone ciało młodzieńca, w połączeniu z odległością od ognia, mogło uchronić go przed niszczącym działaniem płomieni.

Zielony dym wciąż unosił się w niebo, lecz wiatr pochwycił go i ukształtował zeń coś, co wyglądało jak palec skierowany w stronę odległego skalnego lądu. Jeżeli Thassowie mieli jakichś strażników lub zwiadowców, musieli zastanawiać się, co dzieje się na dachu ruin.

Z dołu dobiegł krzyk. Faree chwycił ogłuszacz i przysunął bliżej dłoni swój zapas zatrutych ostrzy. Usłyszał stapanie po schodach w wieży. Trudno nie rozpoznać kosmicznych butów o magnetycznych podszwach. Nie mógł policzyć, z ilu osób składa się atakujący oddział. Czy oni w ogóle wiedzą, że to on jest winien? Odkąd znalazł się na tym dachu, nie czuł żadnych komunikatów myślowych, a teraz, podczas kolejnej próby stawienia oporu, przedstawił myślami Thassa - Thassa i olbrzymie bestie w marszu, nawet skrzydlate potwory obecne wraz z nim na dachu.

Rozdział 12

Zielony dym nie rozpląnął się, gdy wiatr zawiął nad wieżą. Wręcz przeciwnie, stał się jakby gęstszy i wciąż unosił się w kierunku odległych skał. Na dole było coraz głośniejsze. Zbierali się wszyscy, którzy tu koszarowali. Faree widział mężczyzn, biegnących przez dziedziniec w stronę wieży. Nawet Sulve pojawił się w drzwiach kwatery głównej, zadarł do góry głowę osadzoną na spasionych ramionach i przyglądał się zjawisku na dachu.

Faree czekał przy włączniku. Odważył się nawet na chwilę odblokować umysł, lecz napotkał tylko niskie fale nadawcze Toggora i te wszystkie dziury oznaczające pola ochronne członków Gildii.

Nagle nastąpiła mała eksplozja. To ogień dosięgnął pudełka i posilał się jego zawartością. Z pewnością któryś z Thassów, jeśli był na warcie, zauważył ten słup wystrzałów. Faree jednak nie potrafił sobie wyobrazić, jaka korzyść może stąd płynąć dla niego.

Kłapa obok uniosła się. Chłopiec chwycił jedną z zatrutych drzazg z kości i przygotował się. Mocno pchnięte drzwi odchyliły się i w otworze pojawił się ogłuszacz. Ten, kto go trzymał, pozostawał tak ukryty, jak to tylko było możliwe, ale by utrzymać równowagę na tej kolczastej drabinie, musiał jedną ręką opierać się o framugę otworu.

Faree uderzył i trafił dokładnie w cel. Z dołu dobiegł jęk zaskoczenia i bólu, po czym ogłuszacz i dłoń zniknęły. W tej ostatniej tkwiła wbita drzazga. W jej umieszczeniu we właściwym miejscu garbus włożył wiele siły.

Światło wiązki lasera poszybowało w górę, lecz Faree już znalazł schronienie za kłapą drzwi. Ze swojej kryjówki jeszcze raz rzucił kawałkiem kości na oślep w dół. I znowu grot kości trafił do celu.

Ogień lasera zajął szczątki gniazda. Jednak chociaż szybko zapłonął, równie szybko został stłumiony przez płomienie zieleni, które właśnie pochłaniały to, co pozostało po zasuszonych liściach.

Faree oparł się ramieniem o drzwi i zatrzasnął je. Wiedział, że napastnicy mogą z łatwością wypalić w nich dziurę. Nie miał jednak możliwości zamknięcia tej pokrywy z tej strony. Kucnął więc na niej, robiąc z siebie samego jedyny możliwy zamek. Zatrute drzazgi z kości trafiły dwukrotnie i ten lub ci, którzy ucierpieli,

powinni stracić nieco animuszu.

Po pierwszej silnej fali ognia płomienie w gnieździe zaczęły już dogasać. Ile czasu mu pozostało, nim wyłamie drzwi, które nawet w tej chwili uginają się pod jego ciężarem? Wiedział, że ktoś na nie naciska. Na jego korzyść działała tylko niewygodna pozycja, jaką musiał przybrać każdy, kto wspinał się po tych szczeblach.

Toggor wypętlzył zza koszuli i przycupnął na ramieniu garbusa.

- Faree?

Jego imię, nie wymówione na głos, lecz tak wyraźnie brzmiące w umyśle, jakby zostało wykrzywane. Thassa... nie tylko jakiś Thassa, lecz sama lady Maelen! Głęboko wciągnął powietrze. To brzmiało tak głośno, jakby stała przed nim, lecz Faree wiedział, że lady nie może znajdować się na otwartej przestrzeni między jego stanowiskiem a skałami, gdyż Gildia szybko by to zauważyła.

- Tutaj - odpowiedział, porzucając nagle dotychczasową ostrożność. Wiedział, że jego sygnał jest wyraźny, ale w tym momencie nie dbał o to, czy sprzęt Gildii jest w stanie go przechwycić. - Na wieży - dodał po chwili, ponieważ miejsce jego kryjówki już i tak było znane.

- Kto trzyma?

Jej pytania nie miały ułatwiać podsłuchu i Faree odpowiadał w ten sam sposób:

- Gildia.

Chociaż ogień szybko gasł, dym wcale się nie zmniejszał. Jego zielony palec sięgał coraz dalej, ponad równinny lądem, poza zewnętrzne mury ruin. Był on niezwykle gęsty, nie rozchodził się jednak w powietrzu mimo wiatru, który Faree czuł na policzkach i który powinien go rozproszyć.

- Gdzie? - To wezwanie było jeszcze wyraźniejsze.

- Na wieży - powtórzył.

- Bądź gotów.

Gotów na co? - zastanawiał się. Przecież Thassowie, tak bezbronni jak ich widział, nie mogli napaść na ruiny i wyciągnąć go stąd. W każdym razie zachowanie tego dymu musiało ich zaskoczyć.

Utworzony z dymu palec wygiął się nagle w górę i w tył. Zaraz potem zgęstniał, zwiększając znacznie swoją objętość. Faree miał wrażenie, że mógłby wyciągnąć dłoń i chwycić w garść stałą substancję.

Dym powrócił nad wieżę. Faree przełknął ślinę. W tym powrocie było coś

złowieszczego i nienaturalnego. Nie miał ochoty zostać schwytanym przez zbliżające się zwały tego czegoś. Nie mógł jednak zejść na dół. Wciąż słyszał dobiegający stamtąd stłumiony hałas i gdyby spróbował chociaż uchylić pokrywę, mógłby spotkać się z promieniem lasera. Szarawe niebo nad głową pociemniało, lecz dym na jego tle był wyraźnie widoczny. Gdy jego tumany dotarły z powrotem nad zewnętrzne mury ruin, końcówka tego palca - czy też języka - zaczęła osnuwać niższe partie zrujnowanych budynków. Przynajmniej nie kierował się w stronę garbusa, żadna cząstka dymu nie zbliżała się w jego kierunku.

Faree odważył się klęknąć. Cały czas był uzbrojony w kościane strzały i nie schodził z pokrywy drzwi, choć pozwolił sobie na szersze spojrzenie na ten dym, który obniżył się niemal do poziomu parteru. Gniazdo już spłonęło i reszta dymu zupełnie jakby na rozkaz uniosła się przed Faree, by podążyć za głównym trzonem tumanu.

Z dołu dobiegały krzyki. Nacisk na pokrywę drzwi ustąpił. Faree wstał, gotów w razie potrzeby znów rzucić się na klapę, i spojrzał w dół.

Dym nie dotykał ziemi, lecz wisiał mniej więcej na wysokości kolan człowieka. Nie rozchodził się. Przypominał raczej bezkształtne, drapieżne zwierzę, gotowe zaatakować wszystko, co się poruszy. Garbus zauważył, jak Sulve cofnęła się i zatrzasnęła drzwi przed dwoma strażnikami, którzy zaklęli i uciekli do wątpliwego schronienia w jednym z budynków bez dachu. Nikt nie wychodził z wieży.

Unosząca się masa pokrywała całą przestrzeń tego, co przedtem było dziedzińcem. Jakiś dźwięk kazał Faree podnieść głowę i spojrzeć poza ruiny na rozległe tereny dokoła.

Wokół zaparkowanych tam pojazdów panowało niezwykle poruszenie. Garbusowi wydało się, że widzi ciało odrzucone na bok i wyprężył się, by dokładniej mu się przyjrzeć. Ograniczała go jednak konieczność pozostawania w tym miejscu, w którym stanowił blokadę pokrywy wjazdu.

Nagle usłyszał dźwięk, którego nikt z Obrzeży nie mógłby nie rozpoznać. To ślizgacz przygotowywał się do startu. Faree jeszcze raz przykucnął. Nie miał pojęcia, w jaki sposób ten obcy pojazd mógłby zgarnąć go z dachu. Przełożywszy zatrute kości do jednej ręki, drugą wyjął nóż znaleziony w gnieździe, zdecydowany na wszystko, co w jego mocy, by się bronić.

Mały pojazd uniósł się w górę. Na wieczornym niebie był już częściowo widoczny zewnętrzny z trzech pierścieni księżycy. Faree żałował, że nie posiada tak

głębokiej wiary, by wierzyć, że wyjdzie z tego bez szwanku. Czekał, marznąc z zimna pochodzącego nie tylko od wieczornego wiatru - wiatru, który zupełnie nie miał wpływu na ten dym poniżej, choć na górze stawał się coraz chłodniejszy i silniejszy.

Na niebie pojawił się samolot obniżający lot, a z niego dobiegł sygnał myślowy lorda Kripa.

- Przygotuj się!

Faree był pewien, że nie jest to sztuczka Gildii. Głos ludzki łatwo można podrobić, ale nigdy nie słyszał, by można podszyć się pod cudze myśli. Tam w górze był lord Krip, a on, Faree, miał się przygotować!

Nie było aż tak ciemno, by nie dało się zauważyć drabinki sznurowej spuszczonej z samolotu. Chłopiec wsunął swoje kościane drzazgi i nóż za pasek, w pośpiechu umieścił Toggora za koszulą i czekał.

Wspinać się po wiszącej w powietrzu drabinie... jego umysł wzdragał się na samą myśl o czymś takim. Ale to była ta droga na zewnątrz, którą tak bardzo pragnął odkryć, a która do tej pory była nieosiągalna. Samolot zawisł nad głową. Faree udało się uchwycić liny w dłonie. Zauważył też trzecią linkę zakończoną haczykiem i przymocował ją do swojego paska, by rozpocząć w końcu chwiejną wspinaczkę w wieczorne niebo.

- Trzymaj się mocno! - Gdy desperacko przywarł do drabinki, samolot wzniósł się i poniósł go przez powietrze w stronę zewnętrznych murów, z dala od klapy na dachu i wszystkich, którzy mogli próbować go schwytać. Liny wrzynały się w dłonie, gdyż ścisnął je bardzo mocno. Nie miał odwagi spojrzeć w dół.

Wreszcie usłyszał następny rozkaz:

- Wspinaj się!

Na początku Faree pomyślał, że nie potrafi poluzować uścisku, że nigdy nie zdobędzie się na to, by wejść na następny szczebel kołyszący się nad głową. Jakimś cudem jego ciało posłuchało rozkazu, choć umysł zmrożony był strachem, jakiego nie doświadczył nigdy przedtem. Mimo wszystko przesunął się wyżej.

Poczuł wzrastającą prędkość samolotu i siłę wiatru na ciele. Błyszcząca biała wiązka przeszła powietrze w miejscu, w którym chłopak wisiał chwilę wcześniej. To ktoś z ruin celował laserem.

Z otworu w samolocie wyłoniła się dłoń, która wyciągnęła się ku niemu, obiecując bezpieczeństwo. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że był już na wyciągnięcie ręki od kadłuba samolotu. Jakies palce mocno chwyciły za ubranie na garbie. Ciało

pod ubraniem odpowiedziało ostrym bólem, ale Faree został wciągnięty do środka samolotu. Podniósł wzrok na twarz lady Maelen. Sięgnęła ponad jego leżącym ciałem i przycisnęła dźwignię zamykającą otwór. Garbus pozostał tam, gdzie był, zbyt słaby, by się poruszyć.

Mały samolot cały się trząsł i Faree domyślił się, że pojazd porusza się z największą prędkością, by opuścić zrujnowaną twierdzę. Nie potrafił jednak stwierdzić, czy kierują się z powrotem do kraju Thassów o wysokich skałach.

Przez moment czuł zadowolenie, że leży w tym miejscu, oddychając głęboko. Toggor wypętl z za koszuli i usiadł na pokładzie obok głowy chłopca. Jego oczy sterczały na zewnątrz zwrócone w stronę garbusa, jakby smaks był zaniepokojony.

- Schodzimy - odezwała się lady Maelen fachowo. - Nie możemy wjechać do miejsca wewnętrznych tym obcym pojazdem.

Miejsca wewnętrzne? Tak szybko dotarli do serca krainy Thassów? Widocznie ten samolot poruszał się szybciej, niż Faree przypuszczał. Zaczęli lądować. Gdy dotknęli podłoża, co Faree odczuł na własnej skórze w postaci silnego bólu w garbie, lady Maelen podeszła do drzwi kabiny, by je otworzyć. Lord Krip nie opuścił jednak miejsca pilota.

Pochylił się nad tablicą kontrolną i wyciągnął ogłuszacz.

Odwróciwszy broń tak, że uczynił z niej pałkę, spokojnie tłukł po klawiszach tablicy, niszcząc ich pokrywę ochronną, a potem same klawisze, aż obnażył sieć kabli, które z kolei porozrywał i powyginał.

- Trochę to potrwa... może kilka dni... zanim to w ogóle jeszcze polecą - skomentował, gdy skończył. - Lepiej ruszajmy.

Gdy wydostali się na zewnątrz, spojrzeli w górę. Wieczór przechodził w noc, ale niebo rozświetlał blask trzeciego pierścienia i Faree zauważył, że lady Maelen wpatruje się w to zjawisko z dłonią uniesioną w dziwnym geście, jakby gromadziła to światło i wprowadzała do swego wnętrza jego część pochwyconą w garść.

Przed nimi znajdowało się wejście do tego dużego holu. Na ziemi widać było wyraźne koleiny pozostawione przez wozy, które jechały tą drogą przed nimi. Lord Krip dotknął ramienia Faree i skierował chłopca w tę stronę.

Ponownie garbus znalazł się w miejscu, gdzie w skałach wydrążone były wiekowe otwory i widać było wpływ czasu na ten wysuszony ład. Nie udali się jednak do sali zgromadzeń, lecz do mniejszego wejścia, niewiele wyższego od tych dwojga, którzy towarzyszyli chłopcu. Wewnątrz pomieszczenia nie zamkniętego żadnym

rygłem ani nawet drzwiami błyszczało blade światło, które mogło być częścią trzeciego pierścienia dumnie lśniącego na wieczornym niebie.

Czekało tam tych czworo, których widział poprzednio, ale teraz nie zamierzali nikogo sądzić. Faree wyczuł subtelną różnicę, ale nie potrafił jej nazwać. Pomyślał jednak, że niezależnie od tego, co ich tu teraz sprowadza, lady Maelen albo została ułaskawiona przez przywódców jej ludu, albo jej sąd odłożono na później, by zająć się pilniejszymi sprawami.

- Witaj, maleńki - odezwał się znajomy głos. Od wylądowania na Yiktor wdzierał się w jego myśli zbyt wiele razy, by go nie rozpoznać lub nie skojarzyć z właścicielką - kobietą, która wyszła o krok przed trójkę pozostałych.

- W jaki sposób dowiedziałeś się, jak obudzić mgłę Eor?

- Mgłę Eor? - powtórzył na głos z właściwym akcentem. Nagle poczuł silne zmęczenie. Niczego tak nie pragnął, jak ułożyć się do snu, snu bez snów, i pozostać w tym stanie bardzo, bardzo długo.

Obraz myślowy, jakim jego umysł odpowiedział na to pytanie, przedstawiał gęsty, zielony dym wydobywający się z tego proszku w pudełku. Odparł zgodnie z prawdą, że znalazł pojemnik, którego zawartość nic dla niego nie znaczyła.

- Gniazdo groka. Ale one już od jakiegoś czasu tu nie przylatują. Fortuna ci sprzyja, maleńki, skoro przydarzyło ci się coś takiego.

Pomyślał, że całkowicie się z nią zgadza. Spoglądając wstecz, dostrzegał to szczęście, które towarzyszyło mu, gdy był w rękach Gildii. Może sprawdził się stary przesąd, według którego jego garb był znakiem szczęścia... choć wolałby obyć się bez niego, gdyby miał coś do powiedzenia.

- Chcieli mnie użyć jako przynęty - podał jedyne wytłumaczenie tego, że przeżył.

- Ale to oni wpadli w pułapkę - powiedziała przywódczyni Thassów.

- Mają lasery. - Nie podzielał jej przekonania, że po raz ostatni widzieli towarzystwo z ruin. Nie potrafił stwierdzić, co jeszcze Thassowie mogliby wykorzystać do ofensywnej obrony.

- Oczywiście, że mogą mieć wspaniałą broń. - Lord Krip skierował odpowiedź do jego umysłu. - Ale jeśli uwierzą, że kontrolujemy jakieś wielkie znalezisko...

- Mogą mieć, co chcą - krótko odpowiedziała kobieta. - Teraz Thassowie są przed nimi zabezpieczeni.

Faree ośmielił się zabrać głos i wyrazić ostrzeżenie.

- Oni również mogą wykazać cierpliwość. A czy wasz ład - pomyślał o tej suchej krainie wokół - może utrzymać cały wasz lud w nieskończoność?

- Może i nie. Ale są też inne miejsca, w których można znaleźć starą broń, nie tylko gniazdo groka, maleńki.

Pomyślał, że jest zbyt pewna siebie. Jakby była tamtym komendantem, a jej oddziały miały nękać jakiś odległy lud, opierający swoją obronę na rzeczach nierealnych. Pamiętał jednak, jak ślizgacz musiał zmienić kurs, gdy przyleciał na zwiady w pobliżu Doliny Thassów.

- Jesteś zmęczony, maleńki. Odpocznij i wiedz, że śpisz pośród takich strażników, jakich ci na zewnątrz nigdy dotąd nie spotkali.

To był sygnał, że należy się oddalić, więc Faree odszedł dość chętnie, choć bez spokoju ducha. Po swoich doświadczeniach z dymem zaczął wierzyć, że nietypowa broń może w końcu przynieść efekty. Może za długo żył na Obrzeżach, w cieniu wszechobecnej Gildii, gdzie wszyscy z trwogą i przerażeniem wspominali o potędze i działalności tej organizacji. Wciąż jednak uważał, że przywódcy Thassów są zbyt pewni siebie.

Poszedł chętnie z lordem Kripem do innego pomieszczenia w jaskini i tam zjadł suszone owoce i plastry czegoś, co wyglądało na mięso, lecz chyba nim nie było, oraz wypił porcję gazowanej cieczy, która była mocniejsza od wody, ale nie była winem. Potem wraz z Toggorem zwinął się na stosie mat i czekał na upragniony sen. Ten jednak długo nie chciał nadejść.

Gildia chciała wykorzystać go jako przynętę. Pułapka mogła się udać. Nagle zdał sobie sprawę, że nigdy tak naprawdę nie wierzył, że lady Maelen i lord Krip przybędą mu na ratunek. Może czuli się z nim związani takim samym uczuciem odpowiedzialności, jakie on żywił wobec Toggora, i dlatego nie mogli zostawić go w rękach wroga. Było to jedyne wytłumaczenie, jakie był w stanie zaakceptować.

Czyżby był dla Gildii coś więcej? Zamknął oczy, by zasnąć, i już po chwili ponownie zobaczył scenę pochodzącą z jego wcześniejszego snu: głowa Lantiego leżała na stole, a ten drugi potrząsał jego ramionami, by wreszcie z niesmakiem i strachem się wycofać, gdy zauważył, że Lanti nie żyje. Ten odłamek, który mężczyzna trzymał w ręku... Faree próbował skupić na tym swoją pamięć, dotrzeć do znaczenia tego szczegółu.

To, co ujrzał przez króciutką chwilę, przez mgnienie oka, wciągnięcie powietrza, to nie była brudna chata z Obrzeży, lecz jakieś inne miejsce...

Jakby był znowu w górze, huśtał się na drabinie, ale tej próbie wydostania się na otwartą przestrzeń nie towarzyszył strach, lot był czymś prawidłowym i nie wywoływał obaw. Patrzył na dół, jakby jechał na grzbiecie ptaka, nie w samolocie, bo wokół czuł świeże powietrze i wiedział, że jest tam z własnej woli, a nie z braku wyboru.

Widział w dole falujący teren pokryty zielenią: grupy drzew, których liście delikatnie owijały się wokół przyjemnych dla oka barwnych plam będących, jak dobrze wiedział, owocami lub kwiatami. Po raz pierwszy, odkąd pamiętał, naprawdę żył, nie czuł przytłaczającego ciężaru na ramionach, mógł swobodnie poruszać głową. Jego ciało było proste - wiedział o tym bez dotykania ramion. Pomyślał, że to musi być sen, lecz uchwycił się go łączywie. Gdyby się mógł nigdy nie obudzić, byłoby to wystarczające wynagrodzenie za wszystkie cierpienia z przeszłości.

Zniżał lot lekko, łatwo, nie zależał już od niczego prócz własnego ciała i woli. Wokół niego wznosiła się wysoka do ramion trawa i rozchodził się słodki zapach...

Ten zapach zakłócił sen, zepchnął go na tyły ponurej rzeczywistości. Był to jednak przyjemny zapach, znany Faree. Otworzył oczy i zobaczył klęczącą przy nim lady Maelen.

Na jej ramieniu siedziała mała, futrzasta istota, która pocierała głową o szyję lady. Za nią stał Yazz i machał ogonem.

- Faree... kim jest Lanti?

Odpowiedział, nim zdążył uporządkować myśli.

- Byłem z nim. Myślę, że sprowadził mnie z innego świata na Obrzeża... mnie i jeszcze coś, co było więcej warte.

- Opowiedz mi - nalegała.

Rozzłościł się. Został obudzony z tak pięknego snu po to, by wspominać bolesne chwile - to naprawdę okrutne.

- Jak dowiedziałas się o Lantim? - zapytał.

- Widziałam go.

Faree napiął całe ciało, gdyż poczuł przyływ gniewu mającego początek gdzieś w jego głębi.

- Byłaś w moim śnie! - oskarżył ją. Owszem, porozumiewał się z nimi myślami, ale nigdy nie dawał im prawa do monitorowania go bez jego wiedzy. Czego takiego dowiedziała się o nim, czego on sam nie wiedział? Poczuł się tak bezbronny jak w rękach komendanta. Wtedy przynajmniej używali maszyny i uprzedzili go, że

będzie przesłuchiwany.

- Krzyczałeś - powoli powiedziała lady Maelen. - To był krzyk bólu. Dałam ci spokój. To wszystko.

Może miała rację i chciała dla niego tylko dobra, żeby znowu poczuł się swobodnie.

W jej głosie słychać było szczerą troskę. Wyciągnęła dłoń, jakby chciała go pogłaskać w taki sposób, w jaki głaskałaby zwierzę, które do tej pory było bezwzględnie traktowane.

Lecz on przecież nie jest zwierzęciem! Jest takim samym człowiekiem jak Thassa, nawet jeśli według ludzkich norm zachowuje z ludźmi pokrewieństwo ósmego stopnia! Może nawet Thassowie, z powodu swojego wyglądu, byli bardziej, niż sądził, oddaleni od obcych, używających tej skali.

- Proszę. - Nie był pewien, czy skurczył się od jej dotyku, lecz było to możliwe, bo jej dłoń opadła na kolano.

- Proszę - rzekła głośno. Może wiedziała, że w tym momencie nie dopuściłby komunikacji myślowej. - Te wspomnienia mogą stać się lżejsze, gdy się nimi podzielisz.

- Nie mam się czym dzielić - odpowiedział szybko i spojrzał jej w twarz tak, jakby była przysłana przez komendanta, by wydrzeć z niego ostami okrucieństwa prawdy. - Wiesz to wszystko. Byłem z Lantim na Obrzeżach... nie pamiętam nic poza tym.

- Wymazano ci pamięć? - Przyglądała mu się z taką uwagą, że zapragnął zanurzyć się w murze kamiennej komnaty, by się ukryć. W jej oczach pojawiła się czujność.

- Nie wiem. Nie zależy mi - powiedział to z całą stanowczością, na jaką było go stać. Zauważył, że jest skłonna to zaakceptować.

- To można zmienić. Gdybyś zechciał...

- Nie chcę!

Podniosła obie ręce do swojego czoła, wykonując dziwnie oficjalny salut.

- Za pozwoleniem, Faree. Wiedz, że wszyscy uszanują twoje granice, póki nie pozwolisz im postępować inaczej.

- To... jest... dobrze... - zaczął się jąkać. Przez cały czas siedział, nie zareagował nawet, gdy lady wyszła z komnaty.

Usłyszał popiskiwanie i zobaczył, że Toggor wspina mu się na kolano. Przeciągnął jednym palcem po kolczastym grzbiecie stanowiącym zewnętrzną

pokrywę smaksa. Czy Toggor również czuł niechęć do tych chwil, kiedy Faree próbował zrozumieć swoje przeżycia? Co te zwierzęta, z którymi lady Maelen dzieli czas i uczucia, sądzą o jej przyjaźni? Wiedział, że Yazz i Bojor witali ją wylewnie po krótkim rozstaniu, że oni chyba towarzyszyli jej z wyboru. Może cieszył ich fakt, że inna forma życia może komunikować się z nimi i że dostarcza się im dostatecznie dużo pieszczot. Faree nie był treserem ani właścicielem zwierząt. Tylko Toggora.

Wyciągnął przed siebie dłonie i smaks umościł się w ich zagłębieniu. Chłopiec uniósł ręce tak, że oczy na słupkach były na wysokości jego własnych.

- Jak to jest, Toggor? - Faree ostrożnie spróbował przepływu myśli. - Jak ty to widzisz? Czy czujesz, że zmuszam cię do czegoś, od czego chciałbyś się uwolnić? Nie jestem Russtifem, żeby cię więzić, ani twoje ciało, ani umysł.

Nie otrzymał w odpowiedzi żadnej myśli, nawet najwątleszej, tylko uczucie spokoju i zadowolenia, gdy smaks na jego rękach delikatnie przenosił ciężar ciała z jednych łap na inne.

Rozdział 13

Faree najadł się, napił i zasnął głęboko. Gdyby nawet ci z Gildii dokonali ataku na kraj Thassów, on nic by o tym nie wiedział. Kiedy się w końcu obudził, ujrzał na swoich krótkich nogach smugę jasnego, wyraźnego światła księżyca i poczuł gromadzącą się wokół niego duchową moc. Czyżby to ta ostatnia wyciągnęła go z głębokiego snu?

Żadne myśli nie dotykały go bezpośrednio. Może lady Maelen ustanowiła barierę, by je zatrzymać, bo obiecała, że nie będzie pytany o nic ponad to, co sam zechce wyjawić. Jednak chociaż nikt nie przyszedł go obudzić, zdawało mu się, że słyszy dobiegające z daleka przyzywające dźwięki muzyki. Przez chwilę w głębi umysłu czuł jakiś zamęt, jakby powstawało tam coś, co za jego zgodą mogłoby się rozwinąć. Szybko jednak otoczyła go ta sama bariera, którą z trudem wznosił przeciwko Thassom, i Faree poczuł się wolny.

W małej szczelinie kamiennego pokoju znajdowały się dzbanek z wodą i garść mchu zamiast ręczników. Faree zdjął przeпоcone ubranie i umył całe pokraczne ciało. Garb wciąż był niezwykle wrażliwy na dotyk, a poza tym chłopiec zaczął odczuwać w nim swędzenie, jakby nie miał tej grubej, pomarszczonej skóry na wierzchu. Dlatego wycierał się bardzo ostrożnie wszędzie tam, gdzie dosięgał.

Jego koszula była tak brudna, że z odrazą pomyślał o założeniu jej na czyste ciało. Nie musiał jednak tego robić. Obok szczeliny znalazł parę takich samych spodni, jakie nosili Thassowie, i koszulę tak szeroką w ramionach, że mieścił się w niej jego garb. Ciszę skalnego pomieszczenia przerwał piskliwy dźwięk i Faree ujrzał smaksa rzucającego dziwny cień na wiązkę księżycowego światła, gdy zbliżał się z postawionymi na sztorc oczyma.

Garbus znowu wyczuł emanujące od Toggora zadowolenie. Wyglądało na to, że smaksowi odpowiadały tutejsze warunki, mimo iż były dość surowe. Faree sięgnął do paska, by ściągnąć obfite fałdy, gdy nagle usłyszał dziwny dźwięk.

Brzmiało to jak głęboki ton wielkiego gongu. Na ten znak całe ciało chłopca poddało się wibracjom. Odgłos ten zdawał się nie pochodzić z jednego źródła, zupełnie jakby rodził się w powietrzu wokół garbusa. Zabrzęczało to trzy razy i Faree wyszedł z pokoju krokiem kogoś, kto został wezwany i nie potrafi się oprzeć.

Przeciął dolinę, mijając śpiące zwierzęta. Ponad nim rozciągało się niebo, do

którego wyciągnął swoją krótką szyję. Zobaczył pełny krąg trzeciego pierścienia. Z tego miejsca nie wyglądał on na zwykłe światło księżyca w naturalny sposób odbijane od samego Sotrath, lecz raczej jak tęczowa otoczka obniżającego się globu. Faree poczuł na ciele dreszcze. Odnosił wrażenie, że w każdym włosku na jego przerośniętej głowie, w najmniejszym koniuszku paznokcia jego szponiastych dłoni budzi się życie. Zupełnie jakby ciało, które miał na sobie, piło promienie tego światła, tak jak on piłby wodę z czystego źródła po długim okresie suszy.

To światło wyciągnęło z garbu resztkę bólu, choć swędzenie skóry pod koszulą stało się tak silne, że Faree zapragnął zdjąć ubranie i podrapać się. Jednak pomimo tego dyskomfortu wciąż odczuwał zadowolenie.

W pobliżu nie było nikogo z Thassów. Znowu usłyszał ich pieśń, wydobywającą się gdzieś z góry ponad głową. Tym razem jednak nie była to opowieść o stracie i o mijaniu czasu, ale głośne powitanie czegoś, co dawało nowe życie.

Spodziewał się, że zostanie zawrócony, gdy ruszył w stronę wejścia wyłobionego dawno temu przez naturę. Nie było tam jednak ani strażników, ani nikogo innego na warcie. Było otwarte, więc przeszedł przez nie, przyciągany miarowością tej pieśni. Nie rozumiał jej słów, lecz melodia dziwnie do niego przemawiała.

Nagle zauważył, że dzięki jakimś tajemnym sposobom światło trzeciego pierścienia jest też w tej jaskini i pada zarówno na czwórkę Thassów, stojących na platformie, jak i na pozostałych zebranych. W tym blasku ich białe włosy miały tęczowy połysk. Wszyscy oni byli jakby otoczeni aureolą światła, co nadawało ich ciałom bardzo delikatny, filigranowy wygląd i upodabniało ich do cieni. Nie... cienie pochodzą z ciemności - oni byli raczej strużkami migotliwego światła.

Dostrzegł lady Maelen, która wyraźnie odstawała od reszty zebranych. Jej jaskrawe włosy wirowały wokół niej jakby każdy kosmyk ulegał własnym wibracjom. Otoczona była blaskiem, który padał też na pozostałych.

Faree zatrzymał się przy drzwiach i obserwował. Może pomimo tego wewnętrznego przymusu, który go tu przywiódł, nie jest jednym z nich i lepiej będzie, jeśli zachowa dystans jako ktoś z zewnątrz.

Swędzenie na plecach stawało się coraz silniejsze. Stał na palcach, opierając się bosymi stopami o kamienne podłoże, zupełnie jakby chciał ponownie sięgnąć po przybywającą z nieba pomoc, która miałaby go unieść ponad zebranymi gdzieś w dal

ku tej smudze światła. Rozłożył szeroko ręce i wyciągnął głowę, najwyżej jak mógł, ponad pokurczonymi ramionami, tak że blask księżyca muskał jego twarz. Było to więcej niż światło - było to ciepłe powitanie przez odgarnięcie zmierzwionych włosów z czoła, niczym delikatne dotknięcie dłoni przyjaciela.

Jego stopy zaczęły kołysać się w przód i w tył. Pobyt w tym niewygodnym ciele zaczął mu ciążyć jak kara, jak coś, co trzyma go przywiązane do pokraczności i smutku, gdy tuż przed nim, niemal w zasięgu ręki, jest wszystko, o czym marzył i nigdy nawet nie przypuszczał, że uda mu się to zdobyć.

Pieśń zaczęła umierać, a wraz z nią odeszły jego pragnienia. Stał teraz cichy, gotów płakać nad wszystkim tym, co mu obiecywano lub dawano, a czego nie był w stanie przyjąć. W końcu był tylko Śmierdzielem. Gorycz tego stwierdzenia zaczęła w nim narastać jako cząstka owego uczucia niepowetowanej straty.

Zapanowała cisza. Faree uczynił krok w tył, pod sam łuk drzwi wejściowych. Może nie proszony wtargnął na ich sekretne spotkanie? Co będzie, gdy go zauważą? Nie chciał nikogo urazić.

- Witamy.

Wyraźnie, tak wyraźnie jak zawsze brzmiał ten głos, dobiegł go dźwięk słowa, które skierowane było tylko do niego. Nie wiedział dlaczego, lecz znowu coś ciągnęło go do przodu, więc ruszył powoli w stronę platformy. To, co emanowało blaskiem pierścienia, powoli gasło. Ciemność stawała się coraz gęstsza i rozleglejsza.

Thassowie nie byli już otuleni chwałą.

Jednak to nie jego obecność przełamwała ten czar. Wiedział o tym, wlokąc się przed siebie. Ta, która stała za i ponad lady Maelen, wyciągnęła swoją różdżkę, na końcu której pojawił się błysk, i Faree pomyślał, że mógłby zakreślić mglistą linię światła, biegnącą od tej pałeczki wprost do niego.

Był mile widziany. Nie dało się nie zrozumieć fali serdeczności unoszącej się ponad tą zbiorowością. Po chwili owa fala opadła, a jednostki i pary mijały go, kierując się ku drzwiom. On jednak wciąż był przyzywany.

Lady Maelen i lord Krip nie wykonali żadnego ruchu w stronę wyjścia. Gdy Faree zrównał się z nimi, oni przesunęli się, jedno w prawo, drugie w lewo, i wszyscy troje stanęli na wprost czwórki Starszych na platformie. Ta, która go przyzywała, uniosła różdżkę i Faree poczuł, że owo przyciąganie słabnie. Wiedział też jednak, że to nie uwolniło go od jej wpływu.

- Jest w tobie coś, maleńki. - Mowa jej myśli była czysta i w jakiś sposób

melodyjna, jakby wciąż dźwięczały w niej niektóre tony nocnej pieśni. - Sotrath przyciąga cię tak, jak synów i córki tej ziemi. Ale ty jesteś innej rasy i musisz przecież dotrzeć do swoich korzeni.

Pomimo całego swego zagubienia i smutku ośmielił się wówczas zapytać:

- Kim jestem... czym jestem, Jaśnie Pani?

Lekko pokiwała głową i w jej gęstych włosach zalśniły małe, błyszczące kamienie, zdobiące szpilki.

- Kim jesteś? Spytaj o to siebie samego, maleńki, bo nie widzieliśmy do tej pory nikogo podobnego do ciebie. Czym jesteś? Tego również musisz sam się dowiedzieć.

- Jestem... Śmierdziel! - Znowu coś zdawało się w zasięgu ręki i ominęło go.

- Jesteś tym, czym pragniesz być. Czy naprawdę jesteś tym, czym się nazwałeś? - Jej sygnał myślowy był cichy niczym dłoń uspokajająca dziecko rozbudzone złym snem.

- Jestem... Faree! - Oparł się tej drugiej części siebie samego, która była nieprzyjemnie gorzka.

Znowu zauważył błysk klejnotów, gdy delikatnie skinęła głową.

- Jesteś kimś więcej, o czym dowiesz się we właściwym czasie, maleńki. Posiadamy pewne zdolności przewidywania, lecz jesteśmy zobowiązani nie używać ich dla siebie. Nie wolno nam dokonywać wyborów, tylko stawić im czoło, zdecydowanie i bez pomocy umysłu. Mówię ci to, Faree: przyjdzie czas, gdy dowiesz się, kim i czym naprawdę jesteś. I nie będzie to czas smutku, lecz radości!

Coś z ciepła, które emanowało z nut pieśni i spływało z wielkiego trzeciego pierścienia, znowu pieszczotliwie go dotknęło. Spróbował się uklonić, ale w wykonaniu jego koślawego ciała był to niezgrabny salut.

- Dziękuję za tę przepowiednię... lady.

- Nie dziękujecie się za prawdę. Teraz jednak czeka nas co innego. Chodźcie!

Stojący na platformie odwrócili się i wszyscy zaczęli odchodzić. Faree cofnął się i znowu znalazł się między lordem Kripem a lady Maelen, wraz z którymi ruszył za starszyznę. Tak doszli do bocznej nawy i w końcu do pomieszczenia, gdzie w ponurym, kamiennym wnętrzu wzdłuż dwóch ścian biegła ławka z miękkim siedzeniem. Więcej takich zwisało z surowego kamienia ścian. Także i tutaj jakaś sztuczka dawnych budowniczych sprawiła, że przez otwór w dachu wpadało światło trzeciego pierścienia. Oświetlało ono całe pomieszczenie, gdyż na podłodze

znajdowały się ułożone we wzory kryształy czy klejnoty odbijające promienie. Faree przyglądał im się z zachwytem, nie śmiać stanąć na takim dywanie, który migotał delikatnymi wzorami niczym światła na tablicy sterowniczej statku. To jednak były skały i klejnoty i nie miały nic wspólnego ze sprzętem kosmicznym.

Czwórka Starszych usadowiła się na jednej ławce i skinęła na pozostałych troje, by zajęli tę bliżej drzwi. Faree usiadł między lady Maelen a lordem Kripem. Wtedy jeden z mężczyzn zwrócił różdżkę ku ścianie i jej fragment otworzył się, a z wnętrza, na tacy, wysunął się wysoki puchar, który w świetle księżyca błyszczał jasnym blaskiem.

Podano go Maelen. Wypiła łyk. Potem podała naczynie Faree i zachęcająco skinęła głową. Wypił i przekazał kielich lordowi Kripowi. Kiedy i on się napił, czara wróciła na swoje miejsce i zniknęła.

- Zdaje się, że ci obcy, którzy zdążają dolną ścieżką, są tu dobrze zdomowieni i mają zamiar zostać, póki nie osiągną celu.

- Ten, który wyglądał na najstarszego, pierwszy przerwał milczenie.

- Może to my ściągnęliśmy ten kłopot na nasz lud... - odpowiedziała lady Maelen. - To, co zrobiliśmy na innym świecie w obawie o życie swoje i nie tylko, spowodowało ciąg wydarzeń, które dotarły aż na Yiktor.

- Oni byli tu już wcześniej - powiedziała kobieta, która rozmawiała z Faree. - Nie wiem, czego szukają, ale mamy własne zabezpieczenia i strażników, których oni jeszcze nie rozpoznali...

- Prócz dnia, w którym próbowali nas wyciągnąć. - Ostro zareagował lord Krip. - Te maszyny nastawione były na jeden wzór osobowy, więc tylko Faree został zmuszony do reakcji. Gdzieś przygotowali się, by w ten sposób nas uwięzić. Cała czwórka Starszych pokiwała głowami na znak zgody.

- Przeto im szybciej odjedziemy, tym mniejsze będzie zagrożenie... - ciągnął lord. Lecz kobieta podniosła rękę, by go uciszyć.

- Jesteśmy Thassami i mamy bogatą przeszłość. Nie jesteśmy wcale słabsi przez to, że odrzuciliśmy wiele ze zdobyczy czczonych w innych światach. Ich myśliwi nie mogą nas dopaść...

- Może i nie, ale mogą was zniszczyć. I nie myślcie, że to nie przyjdzie do głowy tym, którzy próbują przejąć kontrolę nad wrotami do waszego kraju. To, czego nie mogą zagarnąć, usuwają.

Oblicza wszystkich czworga Starszych były poważne i ta, która wyglądała na

ich rzecznika, powoli pokiwała głową.

- Niech spróbują. - W jej słowach dźwięczała taka pewność siebie, że Faree nie wiedział, czy przyjąć je za dobrą monetę, czy też dziwić się naiwności tych, którzy nigdy nie opuścili swego świata i nie rozumieli rozprzestrzeniającej się i niezłomnej potęgi Gildii.

- Można zgłosić ich obecność tutaj - zaproponował lord Krip. - Patrol...

Głowa kobiety znowu poruszyła się w prawo i w lewo.

- Występują przeciwko Thassom na naszych własnych terenach. Przychodzą bezwstydnie robić to, co chcą. Nawet teraz nie oddaliliśmy się tak daleko od swych źródeł, byśmy nie mogli bronić własnej ziemi. Czy sądzisz, że oni wycofali się, gdyby porwali was troje i rzucili do swych stóp?

Usta lorda Kripa zacięły się a jego ramiona wyprostowały się, jakby miał zamiar sięgnąć po broń.

- Opowieści o Gildii są liczne i ponure. Nie wierzę, by jakkolwiek zawarta przez nich umowa została dotrzymana. Ale czas może działać przeciwko nim. Ten świat jeszcze nie jest pod ich kontrolą. Ich siedziba, tutaj, w tych ruinach, jest największym skupiskiem ich potęgi... inaczej coś byśmy słyszeli. Tak więc układ z nimi mógłby przynieść...

- Nic! - Jej głos miał moc przysięgi. - My nie wchodzimy w układy z takimi jak oni. Jednakże mogą nas zmusić do powrotu na ścieżkę, którą kroczyliśmy dawno temu... żebyśmy odpowiedzieli siłą na siłę. Kiedy wybraliśmy to, co jest tutaj - koniuszkiem palca dotknęła swego czoła - zamiast tego, co można unieść - rozłożyła pustą dłoń między nimi - zmieniliśmy punkt ciężkości i Waga Molestera została ustawiona od nowa. Sądzimy, że tych intruzów nie będzie łatwo się pozbyć czy zmylić iluzjami. Mówicie, że posiadają pola ochronne... więc nasza podstawowa obrona nie ma szans. Bardzo dobrze, jeśli nie możemy zastosować iluzji, to przyzwiemy moc. Jest czas trzeciego pierścienia, kiedy moc rośnie i w chwili jej najwyższego poziomu musimy wykonać nasz ruch. Nie...

Spojrzała wprost na Faree i pod tym spojrzeniem garbus poczuł się jak małe, skulone zwierzę bez żadnej osłony, za którą mógłby się ukryć, jakby wszystko o nim zostało udostępnione tej czwórce do przeczytania.

- Powiedz, co wiesz o tych ludziach - rozkazała.

Rozpoczął swoją opowieść od przypomnienia tej siły, która wyciągnęła go z ukrycia, zmuszając do zbliżenia się do wrogów. Opowiedział o podróży samolotem,

dotarciu do ruin i więzieniu w wieży, a potem o spotkaniu z komendantem i Sulve. Wówczas po raz pierwszy mu przerwano - jeden z mężczyzn podniósł dłoń.

- Słyszeliśmy o tym Sulve. To widocznie ten kupiec, którego statek czeka w porcie na naprawę.

- Myślę, że jest z Gildii - odpowiedział Faree. - Oni podobno mają swoich ludzi w wielu miejscach... często nieznanymi.

- Racja - zgodził się lord Krip.

- Nie ma znaczenia, kim on może być. - W głosie kobiety zabrzmiało zniecierpliwienie. - Opowiadaj dalej.

Opowiedział więc o dwójce przesłuchujących go mężczyzn i o maszynie sprawdzającej jego prawdomówność. Na twarzy jednej ze Starszych pojawił się cień, którego Faree nie potrafił odczytać.

- Z tego wynika, że oni zawsze polegają na maszynach. Nie mają ze sobą wytresowanego Dostawcy - skomentowała. - A ta maszyna... - zwróciła się do lorda Kripa. - Czy są one używane w kosmosie?

- Mówi się, że Patrol je posiada, a prócz tego są stosowane przez organa prawa na kilku światach. Ale wszystko, co znane jest prawnikom, wcześniej czy później trafia do rąk Gildii.

- Nie sądzę, by mogli odczytać myśli Thassów - odezwała się lady Maelen.

- Nie będą mieli okazji! - Starszy znowu się ożywił.

- Czy możecie - zaczął powoli Faree, tocząc walkę sam z sobą i ze zdrowym rozsądkiem - wyposażyć kogoś, kto nie jest Thassem, w fałszywe informacje i wystawić go do ponownego porwania?

Przez dłuższą chwilę, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność, w pomieszczeniu panowała cisza. Faree chciał wykrzyknąć, że nie miał na myśli tego, co powiedział, że wcale nie ma zamiaru znowu zostać schwytanym przez komendanta. Bo teraz już nie mieliby litości - jego umysł zostałby rozebrany na części, a oszustwo wykryte przez tych, których władzy i potęgi chłopiec bał się całe życie.

- Myślę że... nie! - odezwała się Maelen. - Sam Yiktor może dla nas pracować.

- Możliwe. - Kobieta wykonała gest nakazujący przerwanie dyskusji. - Lecz jeszcze nie usłyszeliśmy wszystkiego. Co było potem, maleńki?

Opowiedział o przybyciu ptaka z Toggorem i o tym, jak przy pomocy smaksa zorganizował pułapkę na strażnika. Toggor, jakby wiedział, że to o nim mowa,

wysunął się zza koszuli Faree i usiadł na kościstym kolanie chłopca. Wyciągnął wszystkie swoje oczy i zwrócił je w stronę Starszych.

Później Faree pobieżnie wspomniał o wspinacze na szczyt wieży i znalezionym tam gnieździe. Gdy mówił o małym pudełku, jeden ze Starszych, który do tej pory nie zabierał głosu, pochylił się i zapytał:

- Na pudełku były znaki... mogłeś je odczytać?

Faree potrząsnął przecząco głową.

- To było bardzo stare...

- No właśnie - zgodził się mężczyzna. - Nie wiedzieliśmy, że to jeszcze istnieje. Ale jeśli to tam było, to może jeszcze coś wciąż nadaje się do użytku?

- Skąd wiedziałeś, jak tego użyć? - zwrócił się znowu do Faree.

- Nie wiedziałem. To było bardzo stare i zniszczone. Otworzyłem to siłą, proszek wysypał się na wysuszone gniazdo i zapłonął.

- Tak. To znaczy, że Waga przechyliła się na twoją korzyść. To daje do myślenia. Ale twoja opowieść jeszcze się nie skończyła. .. co było dalej, maleńki.

Faree opowiedział o swoim improwizowanym uzbrojeniu z kości i obronie swojej pozycji, o dziwnej chmurze dymu, która zamiast rozplynać się od podmuchów wiatru osiadła na dziedzińcu. Zakończył wspomnieniem o sygnale niosącym otuchę i o przybyciu ślizgacza, który go stamtąd zabrał.

- Dobrze - rzekł ten Starszy, który wypytywał go o pudełko. - Powiedzieliście im prawdę, a ta im się nie przydała. Uciekłeś im, więc zemsta ich, albo ich przywódcy, będzie surowa. Wiem, że możemy się spodziewać jakiegoś nowego ataku. I skoro nie jesteś Thassem i jesteście tak podamy na ich metody kontroli... - zawahał się.

Faree lekko poruszył się na swoim miejscu. Czuł wzrastający niepokój i czujność. Na wpuł zaproponował, wbrew zdrowemu rozsądkowi, siebie na przynętę, tak jak Gildia miała zamiar użyć go wcześniej. Lecz oni nie przyjęli jego propozycji. Teraz... teraz musi im wyjaśnić.

- Co będzie, jeśli w jakiś sposób mną zawładną i stanę się kluczem do zdobycia waszej fortecy?

- Wczesne ostrzeżenie daje uzbrojenie - odpowiedział lord Krip. Jego dłoń zacisnęła się na ramieniu Faree, jakby obawiał się, że garbus odejdzie, by wyciągnąć komendanta i jego ludzi z ich kryjówek.

- Nikt cię nie może tutaj dosięgnąć. - Starsza przemówiła z takim przekonaniem, że Faree musiał jej uwierzyć. - Posiadamy metody obrony, które z

czasem nie słabną, lecz stają się coraz silniejsze, gdyż coraz więcej dowiadujemy się o naszych własnych mocach.

- Oni się nie poddadzą - powoli powiedział lord Krip. - Nawet gdy ujrzemy, że opuszczają ruiny i odchodzą, nie będziemy mogli mieć pewności, że rezygnują.

- Ani my. Będziemy mieć oczy otwarte w powietrzu i na ziemi. Ci, którzy mają dwa skrzydła, i ci, którzy biegają na łapach, cały czas będą mieć ich na oku.

Faree głęboko wciągnął powietrze. Ptak, który przyniósł Toggora, Yazza, inne zwierzęta, czy są myślowo połączone czy też zamienione miejscami z... Thassem. Co byłoby, gdyby wszyscy Thassowie połączyli się z ptakami i zwierzętami tego świata? Jak ci, którzy pozostają w ludzkim przebraniu, mogliby poznać lub przygotować się do obrony przed takim przewróceniem wszystkiego, co według nich jest naturalne? Zacisnął jedną dłoń na drugiej. Jakby to było mieć piękne, zdrowe ciało jak Yazz ... nie nosić wiecznie tego żalostnego swędzącego ciężaru na plecach? Czy to byłoby możliwe? Jego życie w ludzkiej powłoce nie jest aż takie, by nie chciał zamienić jej na inne i swobodniejsze przebranie.

- To nie tak! - Starsza Thassa przejrzała go. - Nie wszystkim dana jest wielka przemiana. Nawet Thassowie nie mogą tego robić, gdy mają ochotę. Czy chciałbyś skazać Yazza na twoje ciało?

Faree przygryzł zębami wargi. Myślał tylko o sobie, to prawda. Nie, nie mógł prosić, by ktokolwiek - zwierzę czy człowiek - przyjął jego ciężar.

- Trzeba być Śpiewakiem. - Lady Maelen musiała też przechwycić te myśli. - I musi być w pobliżu ktoś w futrze lub z piórami, kto potrzebuje siły człowieka... ktoś o okaleczonym umyśle lub bardzo oddany Śpiewakowi. To nie jest taka prosta rzecz jak zdjęcie jednego odzienia i zastąpienie go nowym. - Była delikatna, lecz nie potrzebował tego w tym momencie.

- Zastanawiam się nad tą sprawą z mgłą Eor - odezwał się drugi mężczyzna Thassa. - To, że taka broń została w gnieździe groka, jest tajemnicą nad tajemnicę. Minęło już tak wiele dziesiątek pór roku, odkąd ostatnia z tych broni została zniszczona. Te ruiny zostały wzniesione dużo później jako strażnica ziem lorda Jangera. Gdzie ten grok to znalazł? Było tam coś jeszcze?

- Spojrzał na Faree.

- To. - Garbus wyciągnął zza paska nóż. - I miecz, który był zupełnie przerdzewiały. Trochę kawałków skóry, które mogły kiedyś być pasem. I kości... dużo kości.

- Gdyby Janger natknął się na którąś z tych broni, nie zostałby pokonany podczas marszu klanów - skomentowała Starsza. - Nie ma jednak żadnych śladów ich użycia. Kto wie, gdzie grok to znalazł. Te ptaki przyciąga wszystko, co błyszczący. Samiec znosi świecidełka do gniazda, by skusić nimi samicę do miejsca, które dla niej zbudował.

- Groki nie oddalają się znanadto - odpowiedział jej towarzysz. - Kiedyś był tu lepszy teren łowiecki. A to gniazdo było stare. Mogło być zbudowane w pierwszym roku, gdy lord Janger przysłał tu swoich murarzy. Tacy lordowie szukają znaków i zwiastunów fortuny. Znakiem wojennym lorda Jangera był wrzeszczący grok... Nigdy nie pozwoliliby go zdjąć z własnej twierdzy. Nie, to pudełko pochodziło skądś w pobliżu.

- To znaczy?

- To znaczy, że może są inne podobne miejsca tutaj, w sercu posiadłości Thassów... i tylko czekają na to, by je odkryć!

- Skontrolowano wszystko! - sprzeciwiła się Starsza.

- Coś mogło zostać przeoczone. Doradzałbym, żebyśmy zamiast skupiać uwagę na działaniach wroga, spróbowali odszukać takie miejsca, do których jeszcze nie dotarliśmy, by sprawdzić, co czas mógł ukryć dla przyszłości.

Rozdział 14

Wraz z pogłębianiem się świtu światło księżycy bladło. Faree stał w dolinie Thassów, obserwując zgromadzenie klanów, a potem rozejście się mężczyzn, kobiet i dzieci. Każda mała grupka udawała się w kierunku jednego ze zdobionych rzeźbieniami otworów w skale. Chłopiec pozostał z lordem Kripem i lady Maelen z boku, w wąskim gardle kanionu prowadzącego do doliny i na skraj równiny, na której wciąż stał ich statek. Przy nich niecierpliwie przytupywał Yazz, gotów w każdej chwili ruszyć naprzód, i Bojor, który kiwał się z boku na bok, wyciągając swą ciężką głowę w górę i rozszerzając nozdrza ponad wyszczerzonymi zębami, gdyż w ten sposób czerpał z powietrza informacje.

Wszyscy zgadzali się co do tego, że Gildia miała powody do wtargnięcia na ich statek. Nie było jednak na nim nic, co mogłoby przydać się oddziałowi komendanta, przynajmniej nie teraz. Mapy gwiazd, owszem, ale ich prawdziwym celem był Yiktor, do którego dotarli. Wszelkie inne taśmy, znajdujące się na statku, można by wykorzystać dla zmylenia wroga i pod tym względem mogłyby na razie być bardziej przydatne niż broń.

Nie weszli do samego statku, gdyż mogła czekać tam na nich jakaś zasadzka, lecz zajęli miejsca za niewielkimi głazami otaczającymi większe skały i stamtąd obserwowali teren. Czekanie i obserwowanie sprzyjało kontemplacji, więc Faree znowu wpadł w sidła własnych myśli. Ciągle powracał do wywołanego snem wspomnienia o Lantim. Zastanawiał się, kim jest i jak znalazł się w rękach tego nikczemnego, pozbawionego czci i wiary kosmonauty? Gdy tak spoglądał wstecz, wydało mu się oczywiste, że ten Land musiał mieć jakieś powody do trzymania się z dala od innych, przybywających na Obrzeża w poszukiwaniu rozrywki. Chłopiec intensywnie starał się skupić myśli na jakimś epizodzie z dalszej przeszłości, przed starciem Lantiego z tym dużym mężczyzną, i przypomnieć sobie lepiej ten błyszczący odłamek czegoś, co kazało tamtemu odszukać Lantiego i jego więźnia. Był bowiem pewien, że on, Faree, nie pozostawał z Lantim z własnej woli.

Kiedy usiłował sobie to przypomnieć, zawsze dochodził w myślach do ciemnego muru. Co było za nim, nie potrafił powiedzieć. Może i lepiej, że tego nie wiedział. Jednak choć powtarzał to sobie wiele razy, zawsze znalazły się argumenty za grzebaniem w pamięci. Aż do chwili, gdy jego uwagę zaprzątnęło coś innego.

Z miejsca za skałą, które wybrał na swój punkt obserwacyjny, widział lady Maelen i skulonego za nią Bojora, który rytmicznie poruszał szczękami, jakby coś przeżuwał. Faree poczuł ciepły podmuch pochodzący jednak nie od nich, lecz z powietrza pustyni.

Z nieba opuszczał się latający obiekt o szerokich skrzydłach. Schodził spiralnie w dół i tylko kilka machnięć skrzydłami wystarczyło mu, by trzymać się kursu. Istota nim kierująca była czarna, lecz światło odbijało się tęczowymi barwami od gładkiego futra na tułowiu i wzdłuż skrzydeł, przez co sprawiała wrażenie pokrytej skórą i włosami, a nie piórami.

Stworzenie wylądowało na skale, za którą ukryła się lady. Faree zauważył, że zamiast dzioba ów stwór posiada spiczasty pysk z szeregiem zębów, wskazujących na wytrawnego myśliwego. Było to zwierzę bardzo duże, może nawet wyższe od Faree, gdyby stanęli obok siebie. Druga para jego kończyn, przylegająca mocno do górnej części tułowia, rozprostowała się i wyciągnęła obnażone pazury, jakby chcąc nastraszyć napotkaną kobietę.

Rozległ się ostry, skrzeczący dźwięk i skrzydła załopotwały tak głośno, jakby stworzenie chciało odlecieć, a było zmuszane do pozostania wbrew woli. Dłonie Maelen poruszały się równocześnie z ptasimi pazurami. Nie podeszła do ptaka, lecz wykonywała swego rodzaju gesty skradania się i wycofywania, jakby w okrutny sposób bawiła się ofiarą.

Był kontakt myślowy... ale według takiego wzoru, jakiego Faree nie rozumiał. Ptak zaczął dreptać, co wraz z uderzeniami skrzydeł pozwoliło mu wznieść się trochę ponad skałę, ale tylko po to, by ponownie na nią opaść. Ogromne oczy błyszczały jaskrawą zielenią, a wielkie uszy poruszały się w przód i w tył.

W końcu któryś z tych skoków wyniósł biedne stworzenie w powietrze i poszybowało ono w górę. Ptaszysko zawisło jednak nad skałą, na której dopiero co siedziało, i dziko trzepotało skrzydłami. Prawa ręka lady Maelen zakreśliła pół okręgu i stworzenie odleciało, kołując wcześniej nad cichą wieżą statku kosmicznego raz, dwa, trzy razy. Po chwili było już tylko małym punkcikiem na niebie, plamką kierującą się w stronę odległych ruin, o ile Faree dobrze ocenił kierunek. Garbus pomyślał, że w ten sposób ich misja zwiadowcza została zasilona dodatkową parą oczu.

Było gorąco, a w miarę wstawania słońca robiło się coraz upalniej. Tereny wokół były nieurodzajne, nawet lachy wysuszonej trawy wyglądały na martwe przy

korzeniach i ustępowały piaskowi, żwirowi i skałom. Toggor już wcześniej dał wyraz swojej opinii o tym przedsięwzięciu, cofając się za koszulę Faree, wciągając swoje oczy i najwidoczniej układając się do snu. Garbus również poczuł, że monotonne obserwowanie terenu, na którym nic się nie dzieje, wywołuje senność. Od odlotu skrzydlatej istoty poza skałami Thassów nic się nie poruszyło.

Tak więc niemal z ulgą chłopiec przyjął pojawienie się plamki na niebie. Czy to stworzenie wysłane przez lady Maelen? Nie... tego dźwięku nie da się nie rozpoznać. To ślizgacz.

Statek kosmiczny musiał zwrócić na siebie uwagę. Zbliżający się obiekt mógł należeć do Gildii albo do kogoś innego, choćby strażników tej planety. Faree wiedział o Yiktor bardzo mało, tylko tyle, ile dowiedział się od Thassów, którzy stanowili zaledwie garstkę i trzymali się swoich dzikich terenów.

Ślizgacz nie zbliżył się bezpośrednio do statku, lecz krążył nad nim. Faree zauważył, że pojazd cały czas trzyma się z dala od skał.

- C 2,3,3: odpowiedz. Masz kłopoty?

Nie było to wyraźne myślowe wezwanie Thassów, lecz głos z powietrza ponad głową. Chyba oddział Gildii nie zbliżałby się w ten sposób! Ten ślizgacz musi należeć do lokalnych przedstawicieli prawa.

Faree spojrział pytająco na lady Maelen. Nie poruszyła się. Kiedy ostrożnie odwrócił głowę, nie zauważył też, by ciało lorda Kripa drgnęło. Kimkolwiek byli owi przybysze, Thassowie nie chcieli nawiązać z nimi kontaktu.

- C 2,3,3. Tu zawiadowca portu. Masz kłopoty?

Przybysze, będący już dość nisko nad ziemią, z pewnością zauważyli, że rampy statku są wysunięte.

- To jest planeta typu 4. C 2,3,3, lądowanie jest dozwolone tylko w porcie kontrolnym. Z czym macie problemy?

Ślizgacz był już bardzo blisko statku. Przygotowywał się do lądowania. Faree zauważył przed sobą poruszenie. Jakieś małe stworzenie przeskakiwało zza jednej kępki traw czy stojącego głązu do innej kryjówki, zbliżając się w ten sposób do pustego statku i pojazdu przybyszów. Za małe jak na Yazza... a poza tym Yazz nie mógłby tak skutecznie posuwać się naprzód nie zauważony. To musi być jakieś inne zwierzę, kierowane przez lady Maelen. Wreszcie przykucnęło niedaleko platformy statku, a gdy się nie ruszało, tak zlewało się z tłem, że Faree nie potrafił go odróżnić.

Samolot wylądował i wyszła z niego jakaś postać, trzymając w ręku ogłuszacz,

na co wskazywała długość kolby.

- Wchodzimy. Tu kontrola Portu Centralnego.

Ten głos zadźwięczał głośno. Chłopiec pomyślał, że dobiegł on raczej z pojazdu niż z ust mężczyzny i został wzmocniony jakimś przyrządem na pokładzie.

Już było ich na zewnątrz dwóch. Nie podchodzili do pomostu razem, lecz rozdzielili się. Każdy z nich posiadał broń. Jeden pozostał u podnóża rampy wejściowej, a drugi wspiął się do środka. Nastął czas oczekiwania. Widocznie intruz dokładnie sprawdzał statek. Po jakimś czasie wyszedł i machnięciem ramienia dał znak, by jego towarzysz wrócił do ślizgacza.

Ten jednak nie ruszył prosto do celu, lecz zbaczał ze swojej pierwotnej trasy, wyraźnie szukając jakichś śladów, które mogły pozostać na ziemi. Faree był jednak przekonany, że do odszukania czegoś takiego potrzebny jest doświadczony tropiciel.

Poszukiwacz zatrzymał się i skinął przyzywająco. Jego towarzysz zbiegł z platformy i podbiegł do niego. Faree pomyślał, że póki są tu kontrolerzy, nie będzie prób zaatakowania Thassów. Gildia skradałaby się. To dziwne, lecz owo przekonanie nie pokrzepiło go. Jakaś jego część pragnęła ponownego spotkania z Gildią, przerwania tego oczekiwania.

Przybysze dokładnie zbadali grunt. Jeden z nich nawet uklęknął, opierając się rękami o ziemię, jakby miał zmysł węchu godny Yazza i chciał podążyć tym tropem mimo późnej pory dnia. W końcu obaj zrezygnowali i wrócili do ślizgacza, który po chwili wystartował. Stało się to jednak zbyt późno - piloci statku stali się świadkami powrotu latającego stworzenia wysłanego przez Maelen. Ptak zauważył ich i skręcił na północ, wznosząc się wyżej, widocznie w poszukiwaniu schronienia.

Latająca istota nie miała się czego obawiać. Samolot uniósł się lekko i zwrócił w kierunku, z którego przybył. Faree zdał sobie sprawę ze znaczenia tej wizyty. Każdy statek, który nie wylądował w porcie, prawdopodobnie działał według nich niezgodnie z prawem. Mogą wciąż przysyłać patrole w tę stronę, by znaleźć załogę tego opuszczonego pojazdu. Tak więc Gildia nie mogłaby wykonać ruchu, a Thassowie nie mogliby opuścić swojej doliny z obawy przed przesłuchaniami. Wszyscy wiedzieli, że Thassowie nie mają nic wspólnego z obcymi statkami. Choć nie wszyscy Thassowie...

Faree zastanowił się. Kto wie o lordzie Kripie, który był Wolnym Kupcem? I co wiedzą o lady Maelen? Ich historia z pewnością była powodem częstych rozmów w tej części Yiktor. Niewątpliwie jednak nic im nie groziło ze strony prawa na tym

czy innym świecie. To Gildia musi się ukrywać.

- Może... - Myśl lorda Kripa była niemal tak wyraźna jak głos ze ślizgacza. - Tak, moja historia jest znana... i to chyba zbyt wielu osobom tutaj. Także to, co się działo na Sehmet. Gildia ma własne powiązania z prawem. Lepiej obejść się bez sojuszników.

Gdy samolot zniknął w oddali, lady Maelen wyprostowała się w swojej kryjówce i Bajor cofnął się, by zrobić jej miejsce. Oparła się o skałę, obiema dłońmi przyłgnęła do surowej powierzchni, zwróciwszy głowę ku północy, gdzie zniknęła latająca istota.

Na mniejszą skałkę wdrapało się futerkowe zwierzątko, które Faree dojrzał w przelocie, gdy skradało się w stronę obcego pojazdu. Skoczyło do lady Maelen, która złapała je w ramiona i przycisnęła do piersi jak dziecko. Do Faree znowu docierały tylko fragmenty słów, gdyż częstotliwość ich nadawania była wyższa od jego własnej.

- To prawda... - nadeszła jej odpowiedź. - Ista ich „przeczytała”. Nie byli z Gildii, nie wiedzieli nawet, że to serce terytorium Thassów.

- Co wiedzą? - ostro wtrącił lord Krip.

- To, czego dowiedzą się w drodze powrotnej. - Lady delikatnie głaskała ciemne futro. - Ista tak zaprogramowała ich umysły, by skęcili trochę na północny zachód.

- Ruiny... Gildia. - Faree wymówił na głos to, o czym lord Krip musiał również pomyśleć. - Zobaczą...

- Wszystko, co widać - zgodziła się lady Maelen.

- To może być nic - odparł. - Gildia ma swoje środki ostrożności i kryjówki.

- Możliwe. Chciałabym wiedzieć, jak szybko mogą się ukryć i czy ich ślizgacze są teraz widoczne. Tam jest niewiele miejsca, by móc je schować. W ten sposób do gry może się włączyć kolejny gracz.

Wyglądało jednak na to, że wizyta i odlot ślizgacza strażników nie miały zakończyć prób zbliżenia się do pustego statku, ani lady bowiem, ani lord Krip nie zamierzali się wycofać. Czekanie bez żadnych perspektyw na nadejście kogokolwiek jest rzeczą bardzo nużącą, o czym Faree miał się właśnie przekonać.

Toggor wypełził spod koszuli i wszędzie tam, gdzie mógł wcisnąć łapę pod kamień, próbował wyciągać upolowane tak larwy i owady. Chłopiec zjadł swoją rację żywnościową i popił oszczędnie wodą z bukłaka.

Nudę tego popołudnia po raz drugi przerwało przybycie dużego ptaka.

Stworzenie usiadło na skale, przez co jego oczy znalazły się na wysokości oczu lady. Tym razem Faree nie mógł przechwycić nawet najsłabszych fali nadawczych, które przepływały między nimi. Skrzydlata istota dwa razy skinęła głową i w chwilę później wzbiła się w powietrze.

Wtedy lady Maelen powiedziała:

- Nie było tu groka, odkąd jam sięga pamięcią, a to znaczy przynajmniej jedno nasze pokolenie. Jest jednak wzniesienie na północy, na którym groki miały drugie gniazdo. Niedaleko jaskiń. Poza tym... - mówiła teraz powoli, jakby zastanawiała się nad tym problemem. - Tych z ruin widziano dwukrotnie, jak zapuszczali się w tamtym kierunku, a to, czego szukają, to na pewno...

- Miejsce składowania! - Szybko wpadł jej w słowo lord Krip.

- Nie ma żadnych... przysięgłabym. Thassowie zniszczyli wszystko, co istniało, gdy zrezygnowali ze starej wiedzy i wybrali drogi i otwarte przestrzenie.

- Na Sehmet też wydawało się, że nic nie ma, póki najeźdźcy i Gildia nie udowodnili, że to nieprawda - odparł lord Krip. - Oni mają dostęp do maszyn, które wykonują dla nich odczyty. Może nawet mają wśród swoich kogoś wrażliwego.

- Wrażliwego? - podchwycił Faree.

- Kogoś, kto potrafi wyzwolić energię w taki sposób, że zauważy albo na mapie, albo na samym łądzie obiekty nie należące do Ziemi... rzeczy, które były używane przez jakieś istoty myślące.

- Czy taki ktoś nie znalazłby tamtego pudełka? - zaryzykował Faree.

- Z pewnością tak... gdyby go szukali. Ale te ruiny należały do mieszkańców nizin, których istnienie zależało tylko od mieczy w rękach. Przeto jedna z ich starych twierdzy nie została przeszukana. Oni... dla nich Thassowie są zagadką i groźbą, gdyż oni nigdy nie potrafili nas zrozumieć. Dlatego gotowi są węszyć jak najbliżej naszych granic i złamać pokój, gdyby coś odkryli.

Futerkowe stworzenie odpoczywające w ramionach Maelen nagle wróciło do życia i lady posadziła je na skale, na której ostatnio siedział jam. Zwierzątko skoczyło jeszcze raz za najbliższy krzak i ponownie ruszyło w stronę statku. Bojor poruszył nozdrzami i przesunął się z miejsca, w którym siedział skulony na tylnych łapach.

Jeszcze raz na niebie zjawiała się odległa plama. Powietrze drgało. Ślizgacz... czyżby ten sam?... wracał. Faree pochwyił Toggora i włożył go za koszulę, by nie zgubić smaksa przy gwałtowniejszym ruchu.

Samolot wykonał szerokie koło ponad statkiem, lecz tym razem nie nadeszła

żadna wiadomość. Pojazd dwukrotnie zakołował i Faree zauważył brak jakichkolwiek oznakowań na kadłubie. Ten ślizgacz musiał należeć do Gildii, choć zuchwałość takiego przedsięwzięcia w świetle dnia była niepokojąca. Świadczyło to o pewności siebie ze strony osób w środku, a taka pewność w przypadku Gildii oznacza broń i ludzi gotowych odeprzeć każdy atak.

Trzeci zatoczony krąg był o wiele mniejszy i w końcu samolot osiadł niemal w tym samym miejscu, w którym znajdował się niedawno statek patrolowy. Z kabiny wyszli trzej mężczyźni. Wszyscy byli uzbrojeni i poruszali się ostrożnie. Zbliżali się do rampy statku tyłem, obserwując skały tak uważnie, jakby wiedzieli o obecności czatującej tam trójki. Trójki? Nie, było ich więcej, jeśli policzyć Yazza, który cały czas siedział skulony obok lorda Kripa, i Bojora... a także futerkowe stworzenie, teraz gdzieś ukryte.

Dotarłszy do platformy, jeden z mężczyzn wbiegł po niej na górę, a dwaj zostali na warcie. Potem do środka wszedł drugi, a za nim trzeci. Czy weszli tam, by przeszukać statek, tak jak strażnicy przed nimi, czy też po to, by nim odlecieć?

Nikt z Thassów nie poruszył się. Faree, czując się coraz bardziej jak dziecko lub jedno ze zwierząt, któremu można wydawać rozkazy, lecz samo nie ma prawa podejmować decyzji, obrócił się z jednego boku na drugi, by nie stracić tych dwóch z oczu.

Chłopiec nie potrafił określić, ile minęło czasu. Spodziewał się w każdej chwili ujrzeć, jak pomost się podnosi i statek odlatuje. Na pewno właśnie po to przylecieli ci mężczyźni. Jednak nic się nie zmieniało. W końcu przy wejściu nastąpiło poruszenie. Trzej mężczyźni zbiegu na dół i popędzili do swojego ślizgacza, jakby ścigał ich bartel lub jeszcze groźniejsza bestia.

- Odkryli osobisty. - Wiadomość lorda Kripa nadeszła wraz z delikatną sugestią śmiechu. - Złamanie tego zamka wymagałoby całej taśmy produkcyjnej.

- Zdaje się, że zobaczyli więcej, niż mieli ochotę - odpowiedziała lady Maelen. - Sadi dobrze się spisała, pokonała nawet ich pola ochronne. Pokazała im zwierzę pięciokrotnie większe od siebie, z gotowymi do ataku kłami i pazurami. Ona jest doskonałym strażnikiem. Jeśli użyli tej swojej broni, nie przyniosło im to korzyści.

Iluzja? Faree zastanowił się i natychmiast otrzymał odpowiedź.

- Iluzja, i to nie wykreowana przez nikogo z nas. Sadi przedstawiła to, co przestraszyłyby ją, a zrobiła to na takim paśmie myślowym, na które widocznie ich pola ochronne nie są nastawione. Patrz!

Ostatni z mężczyzn po długim skoku z rampy już prawie dotknął ziemi, gdy za nim, wypełniając sobą cały otwór drzwi, pojawiła się bestia, której Faree nie widział nigdy przedtem. Była większa i bardziej muskularna niż bartel. Pośrodku jej głowy znajdował się pysk, w którym widać było dwa rzędy ostrych zębów. Spływała po nich ślina, świadcząca o żądzy zanurzenia ich w delikatnym cieple. Przednie łapy, które właśnie stanęły na pomoście, wyposażone były w olbrzymie pazury, wyglądające tak, jakby mogły rozerwać na strzępy cały statek.

Wszyscy trzech mężczyźni strzelali z laserów, lecz owłosiona skóra zjawy pochłonęła najsilniejszy ogień, zupełnie nie odnosząc obrażeń od tej najbardziej skutecznej broni znanej na gwiazdnych szlakach. Jeden z mężczyzn zrezygnował i zaczął biec szybciej, a jego tropem ruszył ten, który stał za nim. Tylko trzeci wycofywał się w szyku, wciąż bezskutecznie strzelając.

Olbrzymia, przerażająca postać na szczycie platformy cofnęła się, tak że wystawała już tylko jej głowa ze złowieszczymi kłami. Wszystko zamilkło. Faree szeptem policzył do dwudziestu pięciu i wtedy ślizgacz wzniósł się i zaczął zataczać koła nad statkiem, jakby szukał innego sposobu dostania się do środka. Garbus niemal uwierzył, że mogliby, gdyby był tam jakiś otwór, zostawić tam swojego człowieka, który zszedłby po drabinie na dach.

Musieli jednak w końcu dojść do wniosku, że nie ma sposobu na spenetrowanie statku, a pojazd był wyposażony tylko w broń, która okazała się bezużyteczna.

Wreszcie samolot odleciał na wschód. Masywna głowa rozplynęła się i po chwili małe, futerkowe zwierzątko, które Maelen wcześniej głaskała, zeszło z rampy i przybiegło przez bezludny teren do skały lady.

- Dobra robota! - krzyknął na głos lord Krip, jakby to małe stworzenie mogło go usłyszeć i zrozumieć. Lady Maelen pochyliła się i chwyciła strażnika w ramiona, by znów obdarzyć go pieścizkami.

Postawiła zwierzątko na skale przed sobą i głaskała je po uniesionej główce.

- Sadi będzie obserwować z Yazzem - powiedziała - i z tym starym. -

Podrapała Bojora za uchem. To duże zwierzę tak wyciągnęło szyję, by mogła sięgnąć również za szczękę. - Myślę, że powinniśmy zastanowić się nad tym, co leży na północy... co tak bardzo przyciąga uwagę obcych, że już zorganizowali trzy wyprawy w poszukiwaniu tego czegoś. - Machnęła ręką w kierunku, gdzie za pierwszym razem pojawił się jam. - Nie wiemy też, co sprowadziło Gildię tutaj. Tego, że my wrócimy

na Yiktor, nie mogli przewidzieć, gdy się tu urządzali, bo przybyli tu dużo wcześniej niż my. Pamięć Thassów sięga daleko... ale czy dość daleko, skoro była też wola, by skończyć z tym, co mogło się stać zagrożeniem? Starsi z innych czasów mogli nawet wymazać naszą pamięć, by nikogo nie kusił powrót i korzystanie z czegoś, co nie jest dla nas dobre.

To, że uznali zwierzęta za odpowiednich strażników, wydawało się Faree dziwne, choć nic lub niewiele w zachowaniu Thassów dało się porównać z czynami mieszkańców Obrzeży. Wlókł się z powrotem przez wąwóz do tymczasowego schronienia reszty tych obcych... obcych? Tutaj on był kimś takim, bardziej nawet wyalienowanym od reszty niż od większości mieszkańców Obrzeży.

Zauważył jednak, że chociaż nie przydał im się do pomocy ani obrony, zarówno lord Krip, jak i lady Maelen uważali za oczywiste, że będzie on jednym z członków wyprawy na północ. Rozpoczęli podróż o wschodzie księżyca, gdy blask trzeciego pierścienia oświetlał równiny niemal jak światło dnia.

Szedł wraz z nimi jeszcze jeden Thassa, Maskay, który, jak się Faree domyślił, znał dobrze te tereny i żyjące na nich zwierzęta. Trudno jest określać wiek tych ludzi, lecz Faree uznał go za starszego o mniej więcej jedno pokolenie od pozostałej dwójki. Lady Maelen zdawała się oczekiwać od niego wyznaczenia trasy i tempa.

Nim z nadejściem szarawego światła brzasku blask pierścieni osłabł, zatrzymali się, by rozbić obóz na szczycie małego wzniesienia, gdzie schronienie dały im trzy powyginane od wiatru drzewa. U podnóża tego pagórka płynęła strużka wody, która szybko znikła w suchej ziemi. Wyglądało na to, że Maskay dobrze znał to miejsce.

Stanął pod jedną z rozłożystych gałęzi i wskazał na północ.

- Jeszcze jedna noc po równinie i potem góry. To sucha ziemia i w źródle przy Dwóch Zębach jest gorzka woda. Tylko jam może żyć na takich wysokościach.

- Ale ty tu przeżyłeś. Krewniaku - powiedziała lady Maelen.

- Gdy byłem młody i głupi, zwiedziłem wiele dziwnych miejsc. Bardzo niewiele lub zupełnie nic nie nauczyły mnie takie wędrówki - odpowiedział z uśmiechem.

Jednak jam żyje tutaj i jak wszystkie żywe istoty potrzebuje wody, pożywienia i...

- Szybko! Kryć się. Na ziemię! - Lord Krip wyciągnął ramię, chwycił talię lady Maelen i popchnął ją na ziemię, a Maskay uskoczył w tył pod drzewo.

Teraz już wyraźnie było słychać szum ślizgacza. Pojazd przesywał niebo przy słabym świetle trzeciego pierścienia. Faree spodziewał się, że gdy pojazd będzie nad nimi, za pomocą jakiegoś kosmicznego sprzętu wykryje ich obecność. Jednak statek przeleciał nad ich głowami, kierując się na pomoc, zupełnie jakby pilot miał przed sobą dokładnie określony cel.

- Gildia!

- Jesteś pewien? - zwróciła się lady Maelen do lorda Kripa.

- Jest różnica w uderzeniu. To nie jest pojazd do krótkich wypraw patrolowych, ale ślizgacz dalekiego zasięgu... do celów zwiadowczych.

- Leci tak, jakby ci na pokładzie wiedzieli, gdzie wylądują, i jakby się tam śpieszyli. - Maskay ubrał w słowa myśl Faree.

- Racja. Ciekawe, czy już znaleźli to, czego szukają. Jeśli tak, powinniśmy odkryć to samo jak najszybciej.

Faree spróbował trochę wyprostować szyję, lecz poczuł silny ból w plecach. Czuł go w całym ciele od narzuconego przez nich tempa, i nie był pewien, czy długo wytrzyma bez odpoczynku. Wiedział jednak, że nie pozostanie w tyle.

Rozdział 15

I znowu Faree leżał w ukryciu, patrząc w dół na maszynę spoza Yiktor - ślizgacz, który wylądował na skalnej półce wystającej z górskiego zbocza. Widać było zarys głowy w kabinie, lecz drzwi były otwarte, co oznaczało, że pozostali pasażerowie wyszli na zewnątrz.

Po niebie, oświetlonym blaskiem pierścieni, krążyły co najmniej dwa jamy, których wzrok służył lady Maelen, ukrywającej się na skalnym występie po przeciwnej stronie wąskiej doliny. Te dwa twory skalne były tak wyważone, że można by je uznać za dzieło jakiejś cywilizacji, która ujarzmiła górską dolinę, wznosząc w tym miejscu most.

Po przeciwnej stronie widać było prowadzący pod górę szlak, który zaczynał się niedaleko statku i wił wzdłuż zbocza skały aż do jej szczytu. Nie widzieli nic, co poruszałoby się po tej ścieżce, ale ptaki doniosły, że pasażerowie pojazdu wcześniej weszli na tę trasę.

Po tej stronie wąwozu biegła podobna droga, którą odkryli dzięki jamom. Wejście na tę ścieżkę oznaczało wystawienie się na widok załogi ślizgacza. Szlak ten nie docierał do samego szczytu, lecz urywał się gwałtownie przy prostej skalnej ścianie, w której nie było widać żadnych otworów. Maskay wyruszył pół dnia wcześniej, by wy badać tereny dalej na zachodzie. Miał na to całą noc.

Faree poczuł znużenie. Gonili podniebny pojazd od momentu, gdy zauważyli go poprzedniego dnia. Krótkie nogi i ciężar na plecach utrudniały garbusowi marsz. Odczuwał ból w całym ciele i miał wrażenie, że nie będzie w stanie zmusić się już do żadnego wysiłku, chociaż nie wypowiedziałby słowa skargi, nawet gdyby chcieli je od niego usłyszeć.

Surowe tereny otaczające serce krainy Thassów ustąpiły rzadkiej trawie i sporadycznie występującym lasom. Tutaj, w górach, też była roślinność - głównie powyginane drzewa rosnące w zagłębieniach skał. W wyższych partiach widać było niebieskawobiały cień śniegu, który wcześniej spadł lub późno topniał.

Jeden z jamów pokonał przestrzeń między ślizgaczem a nimi i wylądował na skałach, za którymi ukrywała się lady Maelen. Faree był pewien, że ptak przyniósł wiadomości, prawdopodobnie od Maskaya. Chwilę później myślowy przekaz dotarł też do niego.

- Wyżej nie ma nic prócz drogi, która jest teraz pokryta lodem. Zdaje się, że szukają swego skarbu w złym kierunku. Równie dobrze może on być po tej stronie. -

Lady przekazała usłyszany raport wraz ze swoją interpretacją.

- Ale ta droga prowadzi donikąd... tylko do nagiej skały.

- Ośmielił się nieśmiało zaprotestować.

- Do czegoś, co wygląda na nagą skałę - poprawiła go.

Znowu iluzja? Skłonny był uwierzyć, że jej przodkowie mogli zrobić coś takiego dla zatarcia śladów. Ale jak się upewnić?

- Idę, nim wrócą tamci i Maskay - odpowiedział lord Krip.

- Mogą cię zauważyć...

- Jeśli będę szedł, tak, ale gdy się poczołgam...

Faree obrócił się twarzą do szlaku. Może pierwotnie trasa ta została wydrążona w skale, by ułatwić chodzenie, a może została tak zniszczona przez niezliczone stopy na przestrzeni wielu lat, w każdym razie teraz był to tylko rów. Garbus spojrział na lorda Kripa. Jego ciało było szczupłe, lecz nawet gdyby posuwał się na czworakach, z pewnością byłby widoczny dla każdego, kto obserwowałby tę część skały. Wzdragając się przed tym, na co impulsywnie się zgadzał, chłopiec wtrącił:

- Skradanie się to coś, co robiłem przez większość życia. Posypcie mnie dokładnie ziemią. - Zaczął ją zdrapywać i rozsmarowywać po swoich nogach i biodrach, pozostawiając wrażliwy garb na sam koniec. - Ja zrobię to najlepiej.

Lady Maelen odwróciła głowę i spojrzała na niego wzrokiem kogoś, kto rozważa wszystkie za i przeciw. Po chwili powoli przytaknęła:

- Chyba masz rację, Faree.

Tak bardzo chciał, by odmówiła, że jeszcze raz obudziło się w nim to dawne ziarno goryczy. Chcieli go wykorzystać tak, jak wykorzystywali jama, bartła i inne formy życia na tym świecie.

Tęcza wschodzącego trzeciego pierścienia przemknęła ponad nim i wydało mu się, że przyniosła z sobą ukojenie. Nawet jego garb odczuł dotknięcie chłodu... co nie mogło być prawdą, bo odkąd to promienie światła są namacalne?

Faree odrzucił swój worek przymocowany do pasa i nałożył więcej ziemi na plecy, zaciskając zęby z bólu, gdyż garb był już tak wrażliwy, że najmniejsze dotknięcie powodowało ostre klucie.

Czołgał się na brzuchu aż do chwili, gdy zobaczył przed sobą strome podejście

tej ścieżki. Wtedy zadał pytanie, które powinien postawić już wcześniej.

- Jeśli tam jest iluzja, to jak ją przełamać?

- Spróbuj ją przebić. - Otrzymał odpowiedź. - Iluzja może zmylić wzrok, lecz nie dotyk... o ile ten, kto próbuje ją zniszczyć, nie jest całkowicie pod kontrolą.

Pomyślał, że to całkiem słuszne. Że oszukane oczy będą mu przynajmniej służyć, póki nie dotrze do twardej ściany na szczycie... czy też ściany, która wygląda na twardą. Zaczął pełzać, kalecząc sobie dłonie i sapiąc z wysiłku, próbując przy tym trzymać się tak płasko, jak to tylko było możliwe.

Posuwał się powoli, z częstymi przerwami, mając nadzieję, że jeśli ten ktoś w ślizgaczu ma jakieś przyrządy optyczne skierowane na tę stronę, ujrzy jedynie część jego garbu i weźmie go za skałę.

Sotrath wznosił się ponad horyzont. Jego trzy pierścienie lśniły wyraźnie, a delikatny zarys ostatniego rozsiewał jasność ponad całą krainą. Kamienie pod Faree odpowiadały połyskiwaniem. Ściana wciąż była przed nim.

Posuwał się cały czas do przodu. Nagle znieruchomiał i przywarł do głazu, gdyż z dołu dobiegło go ostrzeżenie.

- Pozostali wracają.

Kusiło go, by ich zobaczyć, ale liczyła się każda chwila. Ludzie z Gildii mogli natychmiast przejść na tę stronę skały, gdy nie powiodło im się po tamtej. Spróbował więc przyspieszyć, nie bacząc na to, czy cokolwiek gdzieś się rusza. Co kawałek odpoczywał. Opierał wówczas swój spiczasty podbródek na ramieniu i spoglądał przed siebie. Ku jego zadowoleniu wyglądało na to, że do ściany nie jest daleko. Nagle poczuł szczyknięcie w ramię i przypomniał sobie, że jest z nim Toggor. Czy można by wysłać przodem smaksa, żeby poszukał otworu? Czy iluzje stworzono po to, by zmylić wzrok jego gatunku, działają także na zwierzęta? Nie wiedział, ale świadomość obecności smaksa była bardzo pokrzepiająca.

Ścieżka, którą skradał się w górę, kończyła się. Przed sobą widział ścianę. Owa dróżka, jeśli można to tak nazwać, urywała się gwałtownie u jej podnóża. Faree znalazł się na poziomej powierzchni. Podniósł dłoń i przywołał Toggora. Smaks posłusznie wspiął się na rękę chłopca i zwrócił się w stronę kamiennego muru. Chłopiec postawił go na ziemi.

Garbus posuwał się do przodu małymi kroczkami, aż stanął na odległość wyciągniętej ręki przed ścianą. Przez moment wahał się. Jego oczy widziały tak potężną przeszkodę, że nie mógł uwierzyć, by była to tylko iluzja.

Wyciągnął dłoń i napotkał opór. Jednak trzeba było sprawdzić wszystko, od jednego krańca drogi do drugiego.

Rozpoczął od strony zewnętrznej. Toggor pomagał mu swoimi pazurami. Nie tutaj... ani tutaj... ani... Zatrzymał się zdumiony i przerażony. Nim dotknął po raz czwarty, Toggor zniknął. Był tutaj i ocierał się o dłoń Faree, a po chwili już go nie było!

Garbus uderzył gwałtownie w ścianę w tym miejscu, w którym zniknął smaks. Powierzchnia była dość solidna, lecz widać w niej było pęknięcie, przez które chłopiec poczuł delikatny powiew zimnego powietrza. Zaczął iść wzdłuż niego. Szczelina była niewielka, ale tam, gdzie się kończyła, zaczynała się następna, wznosząca się pionowo w górę. Faree wrócił i znalazł kolejną pionową szczelinę. To z pewnością jakiś zapieczętowany otwór, może wejście. Uderzył w to z nadzieją, że drzwi ustąpią. Nic takiego się jednak nie stało. Pewnie był za blisko ziemi, by to poruszyć, a może przejście zostało zapieczętowane tak, by nikt nie mógł go otworzyć!

Położył się z głową blisko szczeliny i próbował odszukać Toggora myślami. Odpowiedź była bardzo słaba, jakby smaks odpowiadał z wielkiej odległości, ale przynajmniej Faree wiedział, że Toggor jest żywy po drugiej stronie. Mimo wszystko nie mógł pojąć, jak taka wąska szczelina pomieściła zwierzątko.

Wciąż leżąc z głową opartą o kamienną ścianę, wysłał myślową wiadomość do lady Maelen. Tęczowy blask trzeciego pierścienia muskał jego ciało i oświetlał połyskliwe plamki na skale. Gdy Faree spojrział w górę, na ścianę, o którą się opierał, zauważył, że plamki tworzą niewyraźny wzór, a może nawet ożywiają stary rysunek, który tu pozostawiono przed wiekami.

- Idę. - Nadszedł sygnał od lady.

Faree lekko obrócił głowę i zobaczył Maelen przylegającą brzuchem do kamienia jak niedawno on sam i posuwającą się powoli naprzód. Nie zajęło jej to wiele czasu i wkrótce znalazła się przy niewidzialnych drzwiach, a on odsunął się, by zrobić jej miejsce.

Rozłożyła ręce szerzej, niż on byłby w stanie, i potakująco skinęła głową.

- Masz rację. Tutaj są drzwi i... - Położyła się na plecach i spoglądała w górę na powierzchnię ściany, na której rozbiegane plamki zdawały się rysować tajemnicze kształty. - I jest iluzja. Ale na trzeci pierścień, o Sotrath, dzięki ci z całego serca i umysłu! Dzięki trzeciemu pierścieniowi widzimy!

Zaczęła nucić tak cichutko, że nie było to bardziej słyszalne od chrobotu

pazurów smaksa na skale. Faree ponownie poczuł moc tego śpiewu.

Migoczące kawałki załśniły jaśniej, przejmując tęczowe odcienie samego pierścienia, raz czerwone, raz niebieskie, to znów zielone, żółte... lub też kłębiącą się tęczę wszystkich razem. Gdy połączyły się, by utworzyć na powierzchni ściany linie i łuki, lord Krip przysłał wiadomość:

- Wrócili do ślizgacza... startują w tę stronę!

To ostrzeżenie z dołu było tak wyraźne, jakby ktoś głośno krzyknął. Jednak lady Maelen nie poruszyła się, nie zmienił się też niski dźwięk wydobywający się z jej ust. Wzór tęczowych iskier na drzwiach stawał się coraz wyraźniejszy. To światło dało zarys portalu o rozmiarach pozwalających przejść całej trójce. Szmer statku sprawiał, że Faree nie słyszał pieśni, chociaż leżał tak blisko lady Maelen, jak tylko mógł. Nie odwrócił głowy, by spojrzeć na wrogów... jeszcze nie... cud bowiem tego świetlnego wzoru wciągnął go bez reszty.

- Nadchodzą.

To drugie ostrzeżenie nie było potrzebne, bo warkot ślizgacza przetaczał się ponad skałą i odbijał od okolicznych wzniesień. Faree podniósł się i rozejrzał w samą porę, by ujrzeć najazd maszyny w przód i gwałtowne poderwanie w górę. Możliwe, że oboje już zostali zauważeni i osoby na pokładzie obrały ich sobie za cel. Czekał przerażony na błysk wymierzonej w nich wiązki lasera.

Światło trzeciego pierścienia stawało się coraz mocniejsze. Może w jego mgiełce nie byli tak dobrymi celami jak Faree się obawiał. Z ruchów za plecami garbus wnioskował, że lady klęka, a potem wstaje, wciąż zwrócona twarzą do zamkniętych skalnych drzwi, jakby miała wiele czasu na zgłębianie ich tajemnicy i nie musiała się obawiać żadnej ingerencji,

Z kolei on wstał, zwrócony tyłem do lady i drzwi, a twarzą na zewnątrz. Przy swoich niewielkich rozmiarach nie mógł zasłonić sobą jej całej, lecz postanowił zrobić, co w jego mocy.

Ślizgacz kierował się prosto na nich, jakby chciał ich zmiażdżyć i samemu rozbić się o skałę. Jednak w ostatniej chwili wykonał zwrot i niemal pod kątem prostym poszybował w górę do górskiego szczytu.

Z pewnością zostali zauważeni! Faree nie mógł zrozumieć, dlaczego ich nie zaatakowano, choćby ogłuszaczem. Może zamierzali pozwolić lady Maelen otworzyć im drogę i dopiero potem napaść.

Spojrzął znowu na lady. Z rozłożonymi szeroko ramionami co chwila dotykała

koniuszkami palców któregoś z wirujących barwnych wzorów, wydobytych jej śpiewem. Nie było jednak żadnej odpowiedzi. W końcu zabrzmiał jej myślowy sygnał, tak wyraźny jak ostrzeżenie lorda Kripa:

- Chodź! To może otworzyć tylko ktoś z Thassów i ja w tym ciebie nie mogę tego zrobić. Chodź!

Lord wbiegł na górę ścieżką, która była tak trudna do przebycia dla pozostałej dwójki, i stanął między Maelen a skałą. Ona położyła swoje dłonie na jego plecach i kołysała nimi jak w tańcu. W tym momencie Faree nie bardzo wierzył, by pomysł Maelen miał dać jakieś rezultaty. Zwrócił twarz ku niebu, by zobaczyć, gdzie zniknął ślizgacz.

Szmer pojazdu wciąż głośno dźwięczał w uszach i tylko w przerwach garbus słyszał cichą pieśń śpiewaną wciąż przez lady.

Dłonie lorda Kripa poruszały się w przód i w tył pod kontrolą Maelen. Nagle... wreszcie... skrzyp. Dźwięk kamienia pocieranego o kamień... czegoś poruszanego po długim okresie spoczynku. Pojawiła się szczelina, nie w postaci cienkiej linii, lecz jako ciemniejsza przestrzeń. Gdy ta warstwa ściany wysunęła się w przód, Maelen popchnęła lorda Kripa w prawo, a Faree szybkimi krokami przyłączył się do nich. Na zewnątrz nie było dużego przesunięcia, jakby wielowiekowy odpoczynek tak unieruchomił urządzenie, że nie mogło dojść do prawdziwego wyzwolenia. Widać jednak było ciemność. Lady Maelen, puściwszy swego towarzysza, przecisnęła się przez szczelinę. Zaraz za nią podążył Krip, a za nimi Faree.

Garb ocierał się o skały pomimo prób posuwania się bokiem i ten ból kazał chłopcu sapać i iść powoli. Nagle znaleźli się w ciemności, dokąd z zewnętrznego świata docierał tylko blady odbłask światła trzeciego pierścienia.

Maelen obróciła się, a lord Krip przyciągnął Faree bliżej siebie. Stali tak obok siebie do momentu, gdy cichy pomruk zamienił się w słowa - pieśń, która pieczętowała wejście do tego miejsca ciemności i pozostawiała ich w mrocznym świecie wielowiekowego kamienia.

Nagle rozbłyśło światło. Było ono znacznie delikatniejsze i miało mniejszy zasięg niż blask na zewnątrz. Jednak po chwili ten mały glob w dłoni lady Maelen wystarczał, by oświetlać im drogę. Faree poczuł pociągnięcie za nogawkę i schylił się, by podnieść Toggora.

Lady Maelen rzuciła świetlną kulę do lorda Kripa, który zręcznie ją pochwycił.

Maelen miała krótki, szybki oddech, jak po biegu, a po jej twarzy niczym łzy spływały krople potu. Lord Krip wyciągnął lampę przed siebie i poruszał nią na boki, lecz widzieli tylko kamienne ściany dające cień i ciemny otwór przed nimi, będący prawdopodobnie drogą do środka góry.

- Mogą mieć ze sobą odkształczacz - powiedział lord Krip.

- A jeśli tak, to nie zajmie im dużo czasu...

- Przecież nie będziemy czekać! - W jej odpowiedzi były moc i zdecydowanie, chociaż potknęła się, wykonując krok. Faree chwycił jedną z jej rąk, położył ją na swoim ramieniu, nie zważając na ból w garbie, i stanął, gotów ją podpieścić. Ku jego zadowoleniu przyjęła tę pomoc. Czuł, jak opierała się o niego, gdy posuwali się dalej za lordem Kripem, niosącym świetlną kulę.

Nie było tu już błyszczących plamek wspomagających moc światła. Może dlatego, że nie docierała tu wiązka trzeciego pierścienia, a może dlatego, że to, co zostało przez nią obudzone, znajdowało się tylko na zewnętrznych drzwiach. Kamień był całkiem surowy, choć tu i ówdzie nosił ślady narzędzi.

Ich droga biegła najpierw prosto, a potem zaczęła stromo się piąć. Na początku nachylenie nie było aż tak duże, by utrudniać marsz. Faree, wciąż podtrzymując lady Maelen, uważnie nasłuchiwał.

Jeśli ścigający ich mężczyźni mają odkształczacz, mogą bez trudu odkryć tę drogę. Wtedy strzał z ogłuszacza lub lasera wystarczy, by wszyscy troje wpadli w ręce Gildii. Z tego właśnie powodu garbus cieszył się, że szlak biegnie pod górę.

W miarę jak posuwali się do przodu, było coraz bardziej stromo. Wreszcie lord Krip, ocierając się o ścianę, oświetlił wydrążone w skale zagłębienia, przeznaczone zapewne do przytrzymywania się dłońmi. Faree doprowadził lady Maelen do najbliższego z nich. Nie mógł jej dłużej podtrzymywać, wspinając się równocześnie, gdy aby sięgnąć dłońmi do tych zagłębień, musiał bardzo się wyciągać, ponieważ były one na wysokości ramion Thassów.

Ich tempo było teraz wolniejsze, posuwali się prawie tak wolno jak drogą pod górę. Lady Maelen, wycieńczona śpiewaniem, wspinała się z widocznym trudem, ale nie narzekała. W końcu lord Krip zatrzymał się i powiedział:

- Weź to i przejmij prowadzenie, Faree. Ja zajmę się Maelen.

Faree posłusznie minął ich dwoje, po czym przejął glob, wolną ręką dotykając ściany. Droga była coraz bardziej stroma. Cały czas szli w milczeniu, które przerywały tylko ciężkie oddechy i delikatny szelest ubrań ocierających się o mur.

Toggor wdrapał się na ramię Faree i wysunął wszystkie oczy, jakby w ten sposób mógł przeszyć ciemność. Zwierzątko zaczęło popiskiwać i garbus się zatrzymał. Smaks wywęszył lub zauważył coś przed nimi.

- Stójcie! - Po raz pierwszy to Faree rozkazywał tym dwojgu, którzy od spotkania na Obrzeżach kierowali jego życiem. - Przed nami coś jest. - Lady Maelen potrzebowała teraz siły lorda Kripa, a nie nikłej pomocy garbusa.

Faree posuwał się naprzód tak samo wolno, jak wspinał się drogą na zewnątrz, spodziewając się w każdej chwili znowu zatarasowanego przejścia. Zastanawiał się, czy lady Maelen będzie mogła jeszcze raz otworzyć drzwi śpiewem.

Chwilę później światło kuli obnażyło schody prowadzące w górę. Z boku kapąła woda, która zostawiła na kamieniu ślady w postaci wyżłobień, i zasiląca kilka dziwnych, tajemniczo wyglądających roślin o bladożółtej i szarawej barwie w świetle lampy. Gdy na jedną z tych roślin padło światło, coś się w niej poruszyło. Istota z cienkimi, plamistymi skrzydłami podfrunęła w górę, omal nie ocierając się o twarz Faree.

- Tu są schody - zawołał do tyłu. - Ale jest wilgotno, a przy ziemi może być jeszcze gorzej... jest woda...

- Idziemy. - Tylko tyle odpowiedział lord Krip. Faree zdał sobie sprawę, że w zasadzie nie mają wyboru, muszą iść dalej.

Począł u podnóża tych schodów i dopiero gdy oboje się z nim zrównali, wszedł na pierwszy stopień. Na następnym uchwycie jego palce dotknęły jakichś roślin, które Faree mimowolnie zmiażdżył, wydobywając z nich woń zgnilizny.

Szli dalej, krok po kroku. Na szczęście, stopnie były szerokie i pozwalały na krótkie odpoczynki. Ta wspinaczka zdawała się nie mieć końca. Jednak po jakimś czasie kapanie ustało i przestały im towarzyszyć cuchnące rośliny i ich oślizgli mieszkańcy żerujący w ciemnościach.

Jeszcze raz Toggor ostrzegł o jakiejś przeszkodzie, piszcząc Faree do ucha. Chłopiec przekazał ostrzeżenie pozostałym dwojgu. Wydawało mu się, że lady Maelen zamiast odzyskiwać siły, coraz bardziej słabnie. Oto czekała ich wszystkich najcięższa próba.

Drogę przed nimi przecinała szczelina, a przed nią pozostała tylko niewielka przestrzeń, na której schroniła się cała trójka. Przed nimi czekało w ciemnościach coś, co przygotowano dla podróżnych.

Pośrodku drogi tonęło w ciemnościach przesłone na tyle szerokie, że

jednorazowo mogło pomieścić jedną osobę. Drugiego końca nie dało się zobaczyć, choć Faree wyciągał glob najdalej, jak tylko mógł.

Chłopiec prowadził, odkąd zaczęła się wspinaczka, ale czy będzie miał odwagę przeprowadzić ich przez ten wąski skalny most ponad przepaścią? Nie był pewien. Nie mógł jednak w żaden sposób pomóc lady Maelen... musiał więc ruszyć pierwszy.

Poczuł ciężar głowy i słabość nóg. Może lepiej byłoby się czołgać, niż próbować iść swoim zwykłym tempem? Poruszył lampą i ściągnął Toggora z miejsca na ramieniu. Przyczepił lampę do swojej koszuli, Faree umieścił smaksa za kołnierzem i wydał mu jedno jasne polecenie. Poczuł ruch przednich łap zwierzątka na skórze i wiedział, że Toggor chwycił kulę światła i trzymają ją z wielką ostrożnością.

Na czworakach Faree wszedł na most. Usiadł, opuścił stopy na boki, dłońmi chwycił się kamienia tak kurczowo, że boleśnie otarł skórę. Posuwał się tak naprzód przy słabym świetle, pozwalającym widzieć zaledwie na kilkanaście centymetrów.

Podobnie jak podczas wspinaczki czas zdawał się stać w miejscu. Wydawało się, że to posuwanie się będzie trwać wiecznie. Dłonie miał już pokaleczone, a ciało bolało od rozciągniętej pozycji, jaką musiał przybrać. Jednak w głębi umysłu coś zaczęło kiełkować. Nie uczucie, że już kiedyś przebył taką trasę... nie odległe wspomnienie... lecz raczej wrażenie, że istnieje dużo lepszy sposób pokonania tej trasy, gdyby tylko mógł go sobie przypomnieć. To zablokowane wspomnienie ciążyło mu i przeszkadzało właśnie w chwili, gdy tak bardzo potrzebował swobodnego umysłu.

Wreszcie most się skończył. Faree wysunął się do przodu i wytarł krwawiące dłonie o koszulę, a potem upadł na rozpościerającą się przed nim szeroką przestrzeń, która wydała mu się stabilna.

Wyciągnął glob zza koszuli tak gwałtownie, że wraz z nim wyjął Toggora. Smaks upadł na kamień, podczas gdy Faree wraz z lampą wstał i poszedł kawałek dalej, jakby chcąc się upewnić, że ma pod stopami twardy grunt.

Nie zaszedł daleko, lecz obrócił się i zrobił coś, co wymagało od niego całej siły woli - skulił się i ruszył w drogę powrotną ze światłem znowu przytroczonym do koszuli. Toggorowi za kołnierzem kazał trzymać lampę, gdy tymczasem on zapuszczał się znowu na wąski most.

Spotkał ich w połowie drogi. Lady Maelen siedziała i posuwała się w tej samej pozycji, którą wybrał Faree. Z tyłu ubezpieczał ją lord Krip. Faree musiał się teraz

cofnąć. Posuwał się naprzód, oświetlając im drogę, jak mógł najlepiej, i ograniczając się tylko do kontaktów z Toggorem, którego zachęcał do pomocy przy poruszaniu lampą.

Rozdział 16

Nawet niezwykle blask trzeciego pierścienia nie docierał tak daleko w mrok. Pokonali drogę pod górę, zdradliwy most i wyszli na następną półkę skalną. Przed nimi widniał jeszcze jeden szczyt. Obeszli cały ten skalny występ i znaleźli tylko jedno miejsce, które można by wykorzystać do zejścia, choć droga ta wiodła tak samo niebezpieczną, wąską ścieżką, jak most, który pozostał w tyle.

Nie mieli pojęcia, co znajdą w ciemnościach, w które się zagłębiali. Czyżby to miał być koniec ich ucieczki? Lord Krip przejął gasnący glob lampy i ruszył w stronę tej niepewnej ścieżki, by zbadać możliwość jej wykorzystania.

Lady Maelen siedziała oparta plecami o ścianę z zamkniętymi oczami, jakby jeszcze nie odzyskała sił zużytych na otwarcie wejścia. Faree przemierzał skalną półkę wzdłuż i wszerz, na próżno usiłując zapomnieć o bólu w plecach. Po tej przeprawie przez most coś zaczęło się dziać w jego garbie. Czuł nie tylko ostry ból w całym ciele, lecz także mrowienie nie do wytrzymania, że aż zamarzył o zrzuceniu koszuli i podrapaniu się po ciele połamanymi paznokciami. W każdym razie cierpienia te nie pozwalały mu spokojnie usiedzieć.

Toggor zgrzytał pazurami po kamieniu i ustawił swoje oczy na słupkach tak, by móc obserwować ścieżkę przed sobą. Gdy Faree przeszedł obok niego, smaks wykonał jeden ze swoich długich skoków i znalazł się w ramionach garbusa, skąd szybko przedostał się na jego bark.

Chłopiec nie widział już nawet słabego światła lampy na ścieżce. Albo droga skręciła... albo może światło w końcu zgasło i lord Krip posuwa się dalej po omacku. Pozostawanie w miejscu, jeżeli za nimi podąża pościg, byłoby głupotą. Dać się schwytać na tej niebezpiecznej ścieżce byłoby prawdopodobnie jeszcze gorsze, lecz ogarniająca Faree niepewność kazała mu uznać tę drugą ewentualność za mniej groźną.

- Lady... - Zbliżył się do Maelen. - Czy możesz iść i schodzić w dół?

Powoli odwróciła głowę i przyjrzała mu się, jakby obudził ją ze snu.

- Nadchodzą?

Spróbował wysłać badawczą wiązkę w tył, lecz nic nie wyczul - nawet tej pustki znamionującej pola ochronne umysłów.

- Nic nie czuję. Ale im dłużej tu będziemy...

- Tak. - Jej głos brzmiał tak, jakby wydobywała go ostatkiem sił. - Spróbuję.

Szedł obok niej, gdy na czworakach zbliżała się do początku wąskiej ścieżki biegnącej w dół. Nie próbowała wstać. Faree pochylił się, by chwycić ją jak najmocniej za pas.

Tak połączeni posuwali się powoli za lordem Kripem, który zniknął w ciemnościach. Raz po raz odpoczywali. Faree trzymał jedną dłoń na pasie Maelen, a drugą wyszukiwał wgłębień w ścianie. Ku swemu wielkiemu zadowoleniu odkrył obecność wydrążonych uchwytów, wykonanych prawdopodobnie przez tych samych rzemieślników, którzy pozostawili podobne ułatwienia w innych korytarzach.

Napięcie w ramionach spowodowało ponowny przyływ ostrego bólu, lecz wszystko było lepsze od siedzenia lub stania i czekania nie wiadomo na co.

Doszli do miejsca, gdzie szlak skręcał gwałtownie z powrotem. Zakręt był tak ostry, że musieli posuwać się na czworakach. Właśnie tutaj doszło do groźnej sytuacji.

Lady Maelen widocznie szukała oparcia w kamieniu, który pod jej naciskiem się obsunął. Krzyknęła i zaczęła się zsuwać w stronę krawędzi. Faree zatrzymał się, nie wiedząc, czy uda mu się oprzeć ciągnącej go sile. Lady szukała oparcia nogami, podczas gdy Faree desperacko się zapierał. Palce lewej ręki wsunął głęboko w jedno z wgłębień, a prawą ręką cały czas trzymał lady za pas. Musiał jednak wytrzymać coraz większy ciężar jej ciała, zwiększany przez jej wysiłki znalezienia jakiegoś punktu zaczepienia.

Ból w wygiętych ramionach garbusa był tak silny, jakby dosięgnął go promień lasera. Nie był już w stanie pomóc sobie ani dłużej utrzymać Maelen.

Nagle doświadczył uczucia rozrywania się na pół... agonii. Poczł, jakby skóra na garbie odchodziła od ciała. Nie poluzował uścisku. Trzymał cały czas. I przez łomot tętniącej w skroniach krwi usłyszał krzyk.

- W porządku... mam ją!

Stał się ofiarą połączenia, które sam ustanowił. Wyzwolić palce z uścisku na jej pasku było w tym momencie ponad jego siły. Po plecach spływały mu krople, które gromadziły się pod stopami. Nawet gdyby chciał, nie mógł się poruszyć.

Wreszcie ciężar lady Maelen przestał ciągnąć go w bok. Czyjeś palce dotknęły jego palców zaciśniętych na pasie i po kolei rozprostowywały je. Gdy to napięcie minęło, Faree opadł na cztery kończyny. Potem przewrócił się na twarz. Jego koszula była mokra, lecz w plecach nie czuł już bólu. Był ledwo przytomny, gdy na dłoni

zwisającej poza krawędzią ścieżki poczuł uścisk. Nocne powietrze biło chłodem po plecach. Nim jednak pogrążył się w stanie półświadomości, poczuł najpierw na nadgarstku, a potem wyżej na ramieniu uchwyt, który wyciągnął go do realnego świata. Przez moment się opierał, lecz z braku sił musiał poddać się temu pociągnięciu w bok.

Tak znalazł się na dole, na powierzchni, która mogła być kolejną półką, a w każdym razie była dużo szersza od ścieżki, którą podążali z lady Maelen. Ból, który koncentrował się w garbie, zniknął, a zamiast niego pojawiło się silne mrowienie. Wywinął się z uścisku i padł na kolana, wyciągając w tył obie ręce, by chwycić za swój garb. Z początku pomyślał, że to koszula rozerwała się pod jego ostrymi paznokciami, a potem poznał, że to skóra, cienkie strzępy skóry!

Poczuł ból, lecz daleko mu było do tego, który odczuwał wcześniej. Raz po raz dotykał tej luźno zwisającej skóry, czuł, jak odrywa się i odpada od jego ciała. Pod nią było coś, co się poruszało, budziło... jakby przez wszystkie te lata nosił na swoich plecach jakąś żywą istotę.

Przed nim lśniło blade światło globu. Faree nie patrzył w górę, lecz skulił się i wsłuchiwał w oznaki życia swojego garbu, aż to, co tak długo nosił, wyzwoliło się. Wreszcie to coś zaczęło poruszać się samo. Chłopiec podniósł głowę. Mógł ją teraz unieść wyżej niż kiedykolwiek, odkąd sięgał pamięcią. Mięśnie, o których istnieniu nie miał pojęcia, poruszały się jakby instynktownie. To na plecach rozwijało się... rozprostowywało... już nie ograniczone niewielką przestrzenią tłumionego bólu... wyciągało się na zewnątrz.

- Skrzydła! - Usłyszał głos lorda Kripa z silną nutą zdumienia. - On ma skrzydła!

Mięśnie poruszyły się znowu, rozciągając się w zupełnie nowy sposób. Faree poczuł podmuch powietrza wokół swego niewielkiego ciała i ośmielił się jeszcze raz sięgnąć pleców jedną ręką. To, czego dotknął, było jak najdelikatniejsza gładka skóra. Skrzydła? Naprawdę? Jak to możliwe? Jakimś sposobem nadepnął na własną stopę. To, co ciążyło mu przez całe świadome życie, zniknęło. Pomyślał o skrzydłach i spróbował ostrożnie nimi poruszać, skoro to prawda, że je ma.

Za plecami poczuł podmuch powietrza oraz drobne potarcie, jakby czymś ocierał się o krawędź skały. Zaprzagnął to zobaczyć!

Przed nim leżała lampa. Widział w niej twarze tych, za którymi siedł... na obu rysowało się zdumienie i trwoga. Uniósł jedną dłoń... potem drugą... i badał

dotykem. Z jego ciała coś wystawało. Te odstające części były lekko wilgotne i miał wrażenie, że muszą zostać wysuszone w powietrzu. Jak to jest mieć skrzydła, które nagle wyrosły z ciała? Kim... CZYM teraz jest? A czym był?

Wykonał pół obrotu, aby pozostali mogli to lepiej zobaczyć.

- Czy to prawda? - zapytał zastanawiając się, czy nie jest nieprzytomny od jakiegoś upadku po drodze, a to wszystko nie jest wytworem majaczeń w gorączce.

- Tak, to prawda! - zapewniła go lady Maelen. - W twoim garbie były skrzydła... one rosną...

- Ale ja nie jestem ptakiem! - Na wielu światach były latające gady i prawdopodobnie jeszcze dziwniejsze stworzenia. On jednak miał ludzkie ciało... a przynajmniej tak wyglądające. Przez wszystkie te lata, gdy na Obrzeżach słuchał opowieści podróżnych (a niektóre z nich były niewiarygodne), nigdy nie słyszał o skrzydlatym człowieku.

Jeszcze raz zamachał tymi rozwijającymi się skrzydłami (doszedł do wniosku, że musiały być ciasno zwinięte w garbie) i poczuł, jak całe ciało odrobinę się unosi. Przerazony złączył skrzydła. Nie miał pojęcia o lataniu i pomyślał, że tego trzeba się uczyć. Jednak odezwała się w nim chęć wzbicia się w powietrze. .. ulecenia w zmiarach, w górę, ku trzeciemu pierścieniowi, który lśnił w swojej chwale wysoko nad głowami.

Nawet w szyi czuł coś dziwnego i musiał się podrapać. Mógł wyciągać ją w górę i trzymać prosto, jak nigdy przedtem. Już nie musiał patrzeć na świat boleśnie powykrzywiany.

Wtem, jak gdyby jakaś dłoń wyciągnęła się i dotknęła jego ramienia, przypomniał sobie, skąd uciekali i gdzie są.

- Na dół. - Spojrzał na lorda Kripa. - Musimy zejść na dół.

- Jesteśmy na dole - odpowiedział lord. - To już dno doliny. I... zresztą chodź i sam zobacz.

Faree zrobił kilka kroków do przodu i zauważył, że musi trzymać skrzydła zwinięte, jeśli chce chodzić, a nie miał jeszcze odwagi próbować latania, jeszcze nie. Znowu byli na drodze albo gładkim szlaku, po bokach którego tu i ówdzie leżały głazy pochodzące z okolicznych gór. W ścianach wokół nich, po obu stronach, były takie same wyrzeźbione wejścia jak te, które widział w Dolinie Thassów. Ta droga nie rozszerzała się jednak, lecz cały czas biegła między dwiema ścianami.

Ich blade światło pokazywało niewiele ponad to, że te otwory były zbyt

regularne, by być tworem natury. Ścieżka zdawała się nie mieć końca. W ciemnościach przed nimi, tam gdzie nie docierało światło lampy, mogło czekać wszystko i Faree zmusił swój umysł do zapomnienia o bagażu na ramionach i zająć się poszukiwaniem oznak życia przed nimi.

Wyczuł drobne, anonimowe sygnały pochodzące od zwierząt lub ptaków, lecz zbyt różniły się od ogólnego wzoru myślowego, by mógł się z nimi porozumieć. Nic silniejszego, groźniejszego, nie dawało znaków życia. Lord Krip, z globem w dłoni, znowu prowadził. Lady Maelen wołała trzymać się jego pasa, niż korzystać z pomocy Faree, więc skrzydlaty człowiek szedł sam. Idąc ostrożnie machał skrzydłami. Nie miał odwagi im zaufać, lecz był pewien, że potrzebują rozprostowania i osuszenia. Zdjął z siebie resztki podartej koszuli i wykorzystał je do wchłonięcia strużek wilgoci, spływających z ramion po klatce piersiowej, która nie była już wypchnięta do przodu, lecz powoli się prostowała.

Skrzydła! Czym więc jest: jakimś gatunkiem, tak różnym od tych, z którymi podróżuje, że może uznają go teraz za coś nienaturalnego? Obserwował dwie postacie idące przez ciemność, oświetlone słabym światłem, i zastanawiał się, co go czeka. W jakiś sposób zatęsknił za znajomym ciężarem na plecach, za starym przekonaniem, że jest upośledzony przez coś zrozumiałego.

Teraz musiał trzymać te nowe „kończyny” złożone, aby nie ocierać ich o kamienie, między którymi wielokrotnie musieli się przeciskać. Szli jednak tak wolno, prawdopodobnie z powodu wyczerpania lady Maelen, że Faree zdążył pozbyć się swojej niezgrabności. Z każdym krokiem wzrastała w nim nowa pewność siebie.

W miarę ich posuwania się naprzód coraz bardziej oczywisty wydawał się fakt, że ta przestrzeń między wzniesieniami musiała kiedyś być ważnym miejscem. Ciemne otwory po obu stronach były tak równo wykute, że przypominały te w dolinie, w której Thassowie mieli swoje miejsce zgromadzeń. Ci dwoje, za którymi podążał Faree, najwyraźniej nie byli zainteresowani tym, co znajdowało się wewnątrz tych otworów, gdyż nie zbaczali ze swojego szlaku biegnącego górą.

Wreszcie doszli do miejsca, w którym wąska szczelina rozszerzała się i tworzyła zwieńczoną niebem dolinę. Jednak nie taką, jak na terenie spotkań Thassów, gdyż tutaj brak było suchości pustyni.

W górze znowu widniał Sotrath i trzeci pierścień, dzięki którym teren przed nimi był jasno oświetlony. Pierścienie księżyca połyskiwały na tafli wody zbiornika, który zdawał się jeziorem. Tę masę cieczy otaczała bogata roślinność, taka, jakiej

Faree nie spotkał nigdzie na tym świecie.

Wielkie drzewa, które podtrzymywały pnące się i wijące winorośle, stanowiły gęstą ścianę wokół jeziora. Faree, nie zastanowiwszy się nad tym, co robi, ogarnięty tylko chęcią zobaczenia, co jest przed nimi, po raz pierwszy użył swoich skrzydeł - zamachał nimi i wzbił się w powietrze.

Natychmiast odkrył, że latanie jest umiejętnością, którą trzeba ćwiczyć jak wszystkie inne. Jego początkowe szybowanie było zbyt gwałtowne i uniosło go zbyt wysoko. Rytmiczne uderzenia nowo narodzonych skrzydeł były czymś całkiem nowym, jeszcze nie opanowanym, i jego lot bardziej przypominał skoki w powietrzu.

Jednak te skoki wystarczyły, by Faree zauważył, że jezioro otaczało wyspę położoną tak centralnie, iż wyglądała jak źrenica olbrzymiego oka. Na tej wyspie były mury i wieża, nie przypominające jednak tej, z której wydostał go ślizgacz kilka dni wcześniej.

Dwójka towarzyszy Faree nie próbowała przedzierać się przez gęstą roślinność, lecz raczej opadła, niż usiadła, na ostatnim skrawku otwartej przestrzeni przed ową gęstwiną. Lady Maelen siedziała z głową zwróconą ku niebu, oczami utkwionymi w trzeci pierścień i lekko uchylonymi ustami, jak gdyby drobnymi łykami spijała blask księżyca. Faree przysiadł na zwalonej skale, nieco powyżej Thassów. Widział stamtąd, jak lady rozłożyła szeroko ramiona gestem osoby, która pragnie objąć coś lub kogoś przed sobą.

Lord Krip również siedział z uniesioną twarzą, lecz jak Faree zauważył, przyglądał się nie blaskowi na niebie, ale uskrzydłonemu chłopcu. Jego twarz wyrażała zastanowienie, które powoli przeszło w zdecydowanie.

- Co leży dalej? - zapytał na głos. Może obawiał się, że sygnał myślowy mógłby przeszkodzić lady Maelen.

- Jezioro i na wyspie, wśród ruin, wieża - szybko odpowiedział Faree.

- Możesz tam dotrzeć ponad tym? - Lord Krip wskazał na gęstą przeszkodę w postaci roślin. Było oczywiste, że bez pomocy jakiegoś tnącego narzędzia nie mogli liczyć na przetarcie szlaku.

- Mogę spróbować. - Faree jednak wciąż nie dowierzał swoim skrzydłom. Były zbyt nowe, za bardzo odbiegały od wszystkiego, co kiedykolwiek znał, by mógł uwierzyć, że potrafi je wykorzystać do wzbicia się w niebo wyżej niż na krótką próbę, jaką miał już za sobą.

Powoli zamachał nimi i obrócił głowę, by dojrzeć ich drżenie. Nie były z piór

(stwierdził to już za pomocą dotyku), zdawały się raczej pokryte skórą o delikatnej powierzchni przypominającej aksamit, niemal jak krótko przystrzyżone miękkie włosy. Faree wstał i odważył się podskoczyć w górę, wykorzystując swoje skrzydła do poderwania się i utrzymania w powietrzu. Coraz lepiej radził sobie z rytmem uderzeń, w który umiejętnie zaczął się wsłuchiwać.

Wzniósł się w przestworza, we wspianiałe, oświetlone blaskiem pierścieni nocne niebo. Gdy poczuł się już pewniej, wykonał dwa okrążenia ponad głowami dwójki przyjaciół czekających w dole i wyruszył poza widzianą roślinność, cały czas obawiając się, że skrzydła mogą go zawieść i runie na kłębiące się w dole chaszczce. Mimo iż nadal był w tym trochę nieporadny, to z każdym ruchem radził już sobie coraz lepiej i bardziej opanowywał umiejętności pozwalające na to, do czego ludzie zawsze tęsknili: sięgnięcie nieba.

Z tym że tutaj nie było chmur - tylko ciemność gęstwiny okalającej jezioro, połysk tafli wody, w której odbijał się trzeci pierścień, i dalej wyspa.

Leciał ponad jeziorem, nie próbując jeszcze wzbijać się za wysoko. Wreszcie znalazł się nad wyspą. Tutaj również rosła bujna roślinność, ale nie tworzyła tak gęstej ściany jak zarośla na brzegu. Były tu kępki wysokich roślin uginających się pod ciężarem tak rozwiniętych kwiatów, jakby do życia potrzebne im było światło księżycy, a nie słońca. Wydobywał się z nich ciężki zapach, tak intensywny, że Faree lecąc ponad nimi, czuł się tak, jakby kąpał się w tej woni. Jego myślowe poszukiwania nie natrafiły na żadne oznaki życia.

Wylądował na murze otaczającym wieżę. Z bliska widać było, że czas obszedł się z tym zamkiem dużo łaskawiej niż z wieżą, w której ukrywała się Gildia. Te ściany były gładziej od wszelkich znanych mu kamieni, białe z ciemnymi liniami i plamkami. Ciemniejsze punkty połyskiwały i gdy Faree dotknął najbliższego z nich, poczuł nierówność, jakby wewnątrz osadzone było jakieś obce ciało, może klejnot.

Szedł po murze, używając skrzydeł do utrzymywania równowagi i spoglądając w dół na to miejsce, które jakby chłonęło wspianiałość Sotrath. Na tym terenie nie było innych budynków prócz wieży, która połyskiwała takimi samymi iskrami jak te, które przebiegały pod jego stopami.

Przed wzbiciem się do lotu Faree zrzucił buty i teraz, pod twardymi podeszwami stóp, czuł drobne ogniste iskierki, jakby te drobne kamyki były zarzewiem małego ogniska. Wykonawszy rundę wzdłuż murów, chłopiec odważył się opaść na chodnik. Jak zdążył zauważyć, drobne, jasne kamyki były tu ułożone w

dziwne wzory, zupełnie nie związane z przebiegiem ciemniejszych żyłek. Machnięcie skrzydłami uniosło go tak, że już nie dotykał stopami kamienia, bo skądś - z wieży, nieba nad głową - dobiegł go ostry dźwięk, niczym stuknięcie dwóch ostrzy o siebie.

Faree poczekał, rozejrzał się i wysłał badawczą wiązkę myśli. Dźwięk odbił się echem i zamilkł. Nie nadeszła żadna wyczuwalna odpowiedź. Jednak chłopiec zaczął podejrzliwie patrzeć na tajemnicze wzory - czyżby to był jakiś alarm? A może to powitanie, przeznaczone dla dawno zmarłych? Po drodze do doliny widzieli jaskinie w stylu Thassów, ale wieża nie wyglądała na ich styl budownictwa.

Przed sobą Faree miał ciemny otwór drzwi, lecz na żadnym z pięter nie było śladów okien. Wejście tam mogło oznaczać zgodę na zostanie schwytanym w pułapkę, jakby był ufnym smaksem.

Smaks! Przez całe to zamieszanie z przekształceniem swojej postaci chłopiec omal nie zapomniał o Toggorze. On jednak go nie opuszczał i mocno trzymał się pazurami paska. Nie otrzymawszy żadnych sygnałów z wieży, Faree porozumiał się ze zwierzątkiem, by się dowiedzieć, czy nie wyczuwa czegoś, co dostępne jest tylko jego rasie. Ten jednak też nic nie wiedział.

Wspomagany skrzydłami skok przeniósł Faree z murów pod samą wieżę, gdzie, jak zauważył, nie sięgały te dziwne wzory. Tam ponownie się zatrzymał. Błede światło księżyca i trzeciego pierścienia wystarczało, by zauważyć, że żadne drzwi nie zagradzają wejścia. Mrok panujący w środku nie zachęcał jednak do wizyty. Chłopiec pomyślał, że głupio postąpił, nie zabierając z sobą globu. Nawet gdyby widział tylko kilka kroków przed sobą, nie kurczyłby się tak na myśl o zbadaniu tych murów.

Smaks... znowu posłać Toggora? Wprawdzie wzrok tego zwierzątka sprawuje się w ciemnościach lepiej niż oczy Faree, jednak do polowania używa ono węchu. A tutaj lekkie podmuchy wiatru przynosiły przytłaczający zapach kwiatów, który zdusiłby każdy taki ślad.

Dalsze zwlekanie nie miało sensu, Faree wiedział, że musi albo dokładnie zbadać tę budowlę, albo wrócić i przyznać się, że ogarnął go strach. Jednak tutaj nie mógł nawet w najmniejszym stopniu wykorzystać tych możliwości, jakie stwarzały mu skrzydła na otwartej przestrzeni.

Złączywszy je ze sobą i zwinąwszy, najciaśniej jak potrafił, Faree wziął głęboki oddech i wszedł do środka wieży. Podświadomie spodziewał się jakiegoś akustycznego alarmu, może nawet trzasku pułapki. Tymczasem napotkał jedynie mocną barierę w postaci... pustki.

Nie widział... tylko czuł, gdy przesuwiał dłońmi w górę i na dół, tę barierę tak trudną do przebycia jak drzwi z podwójnym zabezpieczeniem. Sięgał jednak wzrokiem poza tę przeszkodę, na ile pozwalało światło, i nie dostrzegał nic. Tylko dłonie mówiły, że coś tam jest. W końcu wypuścił Toggora, lecz smaks również stanął przed barierą, której nie potrafił zbadać. Czyli... tutejsi budowniczowie mieli jednak swoich strażników. Może ta przeszkoda została uruchomiona, gdy Faree dotknął wzoru na chodniku na zewnątrz.

W każdym razie, jak już nauczył się w fortecy Gildii, zawsze pozostawał jeszcze dach. Zachęcił Toggora, by jeszcze raz wczepił się w jego pasek, i chłopiec cofnął się tak daleko, by móc rozłożyć skrzydła i wzbić się w górę. Uderzenia skrzydeł wyniosły go tam, gdzie mógł się chwycić barierki na wieży.

Również tutaj na powierzchni były wzory. Faree nie dostrzegał wśród nich żadnych śladów klapy podobnej do tej, która uratowała go w tamtej wieży. Nie myślał nawet o zejściu na dół bez dokładniejszego zbadania tego, co było przed nim. Zaczął więc przyglądać się wzorom i dokładnie je zapamiętywać.

Gdy skończył, wysłał sygnał myślowy, na który odpowiedziała jak zawsze wyraźnie lady Maelen. Powiedział jej o dziedzińcu na dole, o niewidzialnych, zamkniętych drzwiach i o tych wzorach na dachu.

- Pokaż mi. - Nadeszła jej spokojna odpowiedź.

Próbując przedstawić wszystkie po kolei, Faree zaczął od tego najbliższej siebie. Wygląda on tak, tak i tak. Potem przysłała kolej na następny. Chłopiec starał się przedstawiać jak najwierniejsze myślowe obrazy widzianych wzorów.

Poczuł jej wzrastające zdziwienie oraz podniecenie.

- Taki? - zapytała, przedstawiając jeden wzór.

Faree spojrzał, lecz takiego nie było. Posłał jej taką wiadomość i poczuł jej rozczarowanie.

- Więc taki albo taki?

Część tego... tak! Ale niedokładnie taki, jakim go przedstawiła.

- Niżej. Spójrz na dziedziniec w dole! - Nadszedł wtedy jej rozkaz.

Tak jak kucał na murze i analizował wzory z niższego punktu, tak teraz przyglądał się im ponownie, posuwając się wzdłuż dachu, by wszystko dla niej zauważyć. Niektóre wzory były tak skomplikowane, że trudno było odróżnić ich początek od końca.

- To labirynt - odpowiedziała. - Ale muszę to sama zobaczyć.

- Nie mogę cię przenieść - odparł Faree. Nie miał tyle siły, by bezpiecznie dotrzeć z nią aż tutaj. Nie wierzył też, by ona i lord Krip potrafili przedostać się przez las i wodę.

- Możesz przenieść to, co ja mogę wykorzystać. - Nadeszła jej pośpieszna odpowiedź. - Przybądź po to, Faree, przybywaj!

Rozdział 17

Faree pofrunął z powrotem ponad pasem gęstych zarośli i stanął na ziemi w pobliżu czekającej na niego dwójki. Lord Krip grzebał w torbie, która przez cały czas ich podróży przypięta była do jego paska. Wyjął nie żywność, której spodziewał się chłopiec, lecz połyskującą płytkę z czegoś, co wyglądało jak jasny metal, dobrze wypolerowaną i nie większą od dłoni Faree.

Lord przetarł palcami po powierzchni, jakby chcąc usunąć jakąś niewidzialną powłokę, i podał to lady Maelen, która chwyciła metal mocno i spojrzała na Faree.

- Tamte wzory - powiedziała - to swego rodzaju urządzenia ochronne, ale nie takie, jakie znam. Muszę je zobaczyć.

Faree przesunął się na swoje miejsce. Im dłużej przyglądał się poplątanemu labiryntowi ciemnej zieleni przed nimi, tym mniej wierzył w możliwość wycięcia jakiegokolwiek ścieżki bez żadnych narzędzi. Może laser mógłby być pomocny, ale przecież...

- Spójrz. - Pokazywała mu prostokąt metalu. - Widziałeś już coś takiego? Turyści używają ich do zapisywania widoków, jeśli chcą coś dobrze zapamiętać. To działa tak... albo niech Krip ci pokaże, bo to nie pochodzi ze świata Thassów.

Lord odebrał od niej tę płytkę i odwrócił ją, by pokazać dwa wgłębienia z tyłu, w które mógł się zmieścić palec wskazujący.

- Odbicie tego, co chcesz zarejestrować, musi pokazać się w tym lusterku i wtedy tu naciskasz. Policz do pięciu i wciśnij ten drugi guzik. Obraz się wyczyści i możesz zaczynać od nowa. To proste. Mieści się tu dwadzieścia takich obrazów. Potem bateria się wyczerpie i trzeba ją naładować.

Lord Krip podał urządzenie Faree, który przyjął je bardzo ostrożnie. Tak, wszystko to brzmiało prosto, ale chłopiec nie miał dotąd do czynienia z takimi cudenkami z innych światów. Miał jednak nadzieję, że uda mu się bezbłędnie wykonać to polecenie. Było jeszcze coś, co mu przeszkadzało. Faree wstał, trzymając w rękach przyrząd do utrwalania obrazów. Nie patrzył w stronę wieży na jeziorze, której szczyt był widoczny z jego pozycji, lecz obrócił się do tyłu, w kierunku drogi, którą tu przyszli. Pościg... muszą już zbliżać się do końca tej drogi przez górę i w każdej chwili mogą nadejść. Co wtedy? Czy takie zadanie, jakie Faree ma do wykonania, nie zajmie zbyt wiele czasu? Co jeśli wrogowie zaczają się wśród gruzów

na drodze i zaatakują dwójkę Thassów swoją bronią dalekiego zasięgu?

- Nic z tego - odpowiedział lord Krip na jego nie wymówione pytanie. -

Trzymamy straż i jak zwykle wyda ich pustka towarzysząca polom ochronnym ich umysłów.

- Lecz oni przyjdą... - Faree był tego tak pewien, jak świadom był obecności skrzydeł na swych plecach. Nie wierzył też, by nawet oni mogli uciec przed takim pościgiem.

- A my odejdziemy - odparł lord Krip. - Tam... - Wskazał gęste zarośla przed sobą.

- To niemożliwe!

Lady Maelen uśmiechnęła się.

- Póki na niebie utrzymuje się trzeci pierścień, posiadam moc, chociaż mój lud nie pochwaliby tego. Jednak odkąd wróciłam, zauważyłam, że siłę daje nie tylko różdżka, lecz wola i energia tego, kto jej używa. Tak, możemy odejść, ale niedaleko. Przesuniemy się na północ, żeby nie mieli pojęcia, cośmy zrobili. A ty, skrzydlaty bracie, masz to, co najbardziej nam się przyda.

- Skinęła głową w kierunku przedmiotu w rękach Faree.

Ponieważ nie potrafił przytoczyć żadnych argumentów, które zachwiałyby jej zdecydowanie i pewność siebie, Faree poderwał się i wzniosł ponad grubą pokrywę krzaków i drzew, udając się w stronę wyspy na jeziorze.

Gdy tak leciał, czuł się nagi i bezbronny wobec Gildii i jej węszących myśliwych, którzy mogliby go z łatwością sprowadzić na dół jednym strzałem z lasera. Poczul więc zadowolenie, gdy znowu usiadł na wieży, w miejscu, z którego najlepiej mógł zarejestrować obrazy.

Powoli, z największą uwagą wyjął prostokątny metal, przytrzymał go nad pierwszą wybraną grupą wzorów i wcisnął guziki, licząc na głos. Posuwał się wzdłuż krawędzi wieży, aby na pewno jego nagranie -jeśli naprawdę coś nagrywał - objęło wszystkie te wiry, spirale, trójkąty i łuki, widniejące na dole. Gdy wykonał już pełną rundę, co pozwalało zachować kolejność, zwrócił się ku wzorom na dachu i dołączył je do swojego zbioru.

Nie zostało wiele czasu do zachodu Sotratha i trzeciego pierścienia. Księżyc już powoli zanurzał się w szarości zwiastującej świt. Przyciskając do siebie urządzenie do zapisu obrazów, chłopiec poderwał się wysoko nad jezioro jakby w nadziei, że zobaczy dwójkę Thassów. Jednak w miejscu, w którym ich pozostawił, nie

było nikogo. Nic też nie zauważył wzdłuż północnej krawędzi lasu. Obniżył lot i przesuwiał się ponad samymi wierzchołkami najwyższych drzew tej dżungli. Wreszcie odważył się wysłać myślowy sygnał.

- Jezioro - nadeszła odpowiedź lorda. - Czekaj przy jeziorze.

Między granicą lasu a wodą biegł pas jasnych, drobnych kamyków lub piasku. Faree opadł na to i zwinął skrzydła, wciąż nie mogąc wyjść ze zdumienia, że tak dokładnie mieszczą się na swoim miejscu. Co prawda, na barkach poczuł jakiś ból, lecz uznał, że to od napinania mięśni, których wcześniej w ogóle nie używał, i że to przejdzie, gdy dłużej będzie korzystał ze swoich nowych części ciała. Jego uwagę przyciągnęła cicha, nie zmacona niczym powierzchnia jeziora. Faree spojrzał na nią jak w lustro.

Był... Nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Odkąd pamiętał, był pokraką, kaleką wśród innych żywych istot. Teraz niczego mu nie brakowało. Końcówki skrzydeł wystawały na jakieś pięć dłoni ponad głowę, którą chłopiec był w stanie trzymać całkiem prosto. Same skrzydła nie były jednostajne, lecz pokryte lśniąca, gładką powierzchnią w plamki i wzory o jasnozielonej barwie, takiej samej jak jego skóra. W pierwszym w życiu przyplwywie dumy pomyślał, że są wspanialsze od wszelkich peleryn i opończ bogatych panów.

Poleciał jeszcze dalej nad wodą, by lepiej się przejrzeć, i czuł, że z każdą minutą, z każdym ruchem coraz bardziej upodabnia się do tego, co przeznaczyła dla niego natura. Co to takiego? Na pewno nie urodził się w Świecie Grania, bo ktoś z Obrzeży rozpoznałby w nim to, czym jest. Lanti... czy on go tam sprowadził? Dlaczego? Chyba nie na sprzedaż takim jak Russtif, do pokazywania publiczności po brutalnych walkach. Coś w wyglądzie skrzydeł spowodowało przebłysk pamięci. Ten błyszczący skrawek, który tamten padalec z Obrzeży pokazywał Lantiemu. Kawalek... skrzydła! To na pewno był kawałek skrzydła!

Chłopiec poczuł chłód. Przyczyną mógł być wiatr poranka, który poruszał taflą jeziora, ale równie dobrze ten chłód mógł pochodzić z przerażonego wnętrza jego drobnego ciała. Polowanie na skrzydlatych ludzi dla ich skrzydeł! Według legend powtarzanych na Obrzeżach, nie byłby to jedyny przypadek, gdy świadoma rasa - a także wiele zwierząt - została zniszczona z powodu jakichś szczególnych zdobyczy bandy obcych. Może nawet Lanti zabrał go, by w odpowiednim czasie móc odciąć mu skrzydła. Może ten kosmonauta pragnął zadziwić Gildię skarbem, który był częścią Faree. Teraz przesywało chłopca zimno, więc zeskoczył on z powrotem na ten pas

kamyków między wodą a lasem. Być ściganym dla skrzydeł!

- Faree. - Nagłe myślowe wezwanie oderwało go od tych koszmarnych myśli, ale nie wzbił się w górę. Ostrożność nakazywała mu trzymać się ziemi, by nie zostać zauważonym przez żadnego myśliwego szukającego świeżych śladów.

Ujrzał, ku swemu zdumieniu, poruszenie w tej zielonej ścianie gąszczy, uniesienie gałęzi, rozplątywanie pnączy i wreszcie postać lorda Kripa, który wyłonił się tuż przed Maelen. Lady szła z otwartymi oczami, wpatrując się przed siebie jak ktoś poruszający się na oślep w stanie silnego szoku. Równocześnie śpiewała... W nuconym przez nią rytmie było coś z szumu liści i pocierania gałęzi o gałąź przy lekkim wietrze. Wyglądało na to, że tak jak jej śpiew działał cuda w innych miejscach, nawet pośród skał, tak i tutaj ujarzmił on ten pierścień dżungli na tyle, by wraz z lordem mogli się przezeń przedostać.

Wyrwała się z uścisku swojego towarzysza i stanęła twarzą do lasu, z którego właśnie wyszli. Rozłożyła obie ręce i wyciągnęła w górę otwarte, puste dłonie. Po chwili rozległ się jej śpiew, przypominający trele ptaka, który po chwili zamilkł.

Lord Krip podszedł już do Faree i wyciągnął dłoń po to lustrzane urządzenie do zapisu obrazów. Chłopiec podał mu je z nadzieją, że na tyle dobrze wykonał swoje zadanie, by odpowiedzieć na ich pytania.

Lady Maelen, znowu wyglądając na osobę świadomą tego, co ją otacza, szybko podeszła do nich po kamienistej plaży. Lord Krip dotknął miejsca na krawędzi lusterka i z boku tego prostokąta pojawił się pasek z kolorowymi wzorami, które wiernie odzwierciedlały wzory rejestrowane przez Faree. Lady Maelen rozłożyła to na kamieniach i przykucnęła, by dokładnie je obejrzeć. Czasami podnosiła koniuszek palca i posuwała nim wzdłuż któregoś ze wzorów, jakby chciała go lepiej zapamiętać.

- To naprawdę blokada - zauważyła. - Tak solidna, na swój sposób, Kripie, jak te zamki osobiste, których obcy używają do zamykania swych najcenniejszych własności. Tutaj i tutaj - szybko stuknęła palcami - są znane mi oznaczenia... podobne do tych, których używa się i dzisiaj. Ale reszta... - Potrząsnęła głową. - Mogę się tylko domyślać, że przechodząc przez nie bez odpowiedniego przygotowania, można się narazić na prawdziwe niebezpieczeństwo.

- Czego to wszystko strzeże? - Lord Krip nadał formę słów pierwszemu pytaniu, jakie zrodziło się w umyśle Faree.

- Czegoś Thassów... ale nie z tych czasów - odparta. - Może to właśnie to, czego tamci szukają.

- I te pułapki. - Lord Krip przesunął dłonią ponad rolką obrazów, leżącą płasko na ziemi. - Nie pozwolą im wejść i znaleźć tego, czego szukają?

Powoli potrząsnęła głową.

- Nie możemy być pewni. To było zaplanowane, żeby odstraszać mieszkańców Yiktor. Czy zadziała też wobec obcych, których prób przełamania barier może tamci konstruktorzy nie przewidzieli?

- Jaką więc przeszkodę im przygotowujemy? - ciągnął.

- Możemy tylko czekać i patrzeć. - Lady uniosła dłonie w geście, który mógł wyrażać bezsilność.

Jednak Faree nie był przygotowany na taką odpowiedź - po raz pierwszy lady Maelen była niepewna i zagubiona.

- Jak można by to otworzyć - teraz on wykonał gest wskazujący - gdyby udało się to poznać?

- To jest specjalny kod - wyjaśniła. - Trzeba poruszać się z jednego wzoru na drugi w określonej kolejności i wtedy się to otworzy.

- I te niewidzialne drzwi znikną?

Przytaknęła.

- Ale ten kod został wymyślony przez tych, którzy dawno odeszli, i może być sto, nawet tysiąc różnych kombinacji, próbowanie mogłoby trwać latami i nie dać żadnych rezultatów. Nie ma o czymś takim mowy nawet w dawnych legendach Thassów... tych, które zna każdy Śpiewak.

Teraz Faree zaczął przyglądać się obrazkom. Te, których szukał, były na samym końcu.

- Te cztery wzory są na dachu. Czy nie są do czegoś podobne?

Maelen pochyliła się. Słabe światło wczesnego poranka pogłębiło się od chwili zniknięcia trzeciego pierścienia. Lady zmrużyła oczy, a po chwili potrząsnęła głową.

- Nie umiem powiedzieć. Jest za mało światła.

Lord Krip poderwał się.

- Ukryjmy się - powiedział. - Może nie sprowadzili ślizgacza tą górską dróżką, ale mogą mieć urządzenie do ustalania trasy, a to przywoła do nich samolot, gdy tylko dotrą do tej doliny.

Cofnęli się więc pod drzewa za pasem plaży. Tam skulili się, nie oddalając się od siebie, i pozwolili ciałom odpocząć po nocnych trudach podróży. Ciągnęli losy o to, kto pierwszy ma stanąć na warcie, i wypadło na Faree. Skrzydła okazały się trudne

do kontrolowania. Nawet najbardziej zwinięte i ściśnięte wystawały na tyle, że można było na nich usiąść, więc Faree musiał udać się na skraj kryjówki, by mieć dostatecznie dużo miejsca.

Słońce wzeszło jakby od niechcienia i tafla wody, która w blasku trzeciego pierścienia lekko połyskiwała, zaślniła tak mocno, że chłopiec musiał mrużyć oczy. Posilił się jednym z pasków żywnościowych, suchych i bez smaku, i uważnie nasłuchiwał, czy z powietrza nie dobiega jakiś dźwięk.

Choć usiłował skupiać uwagę na tym, co działo się wokół i w górze, to raz na jakiś czas mimowolnie spoglądał na wieżę i wyspę zastanawiając się, czy w słońcu te dziwaczne wzory z kamieni nie są wyraźniejsze. Najwidoczniej dwójka Thassów nie miała odwagi próbować szukać szyfru teraz, gdyż mogłoby to zająć dużo czasu, jeśli w ogóle by się udało. Faree zastanawiał się, jakie pułapki czekają na tych, którzy nie znają tej tajemnicy. Wkrótce miał się o tym przekonać.

Z zarośli dobiegał stały szum, jak gdyby rośliny niepokoiły się i zmieniały swoje pozycje. Nie było jednak słycać ptasich śpiewów, głosów zwierząt, pisków owadów. Ta ponura warstwa zieleni, prócz własnego, nie kryła chyba żadnego życia.

Chwilami ten jednostajny szum przypominał cichą rozmowę, do której Faree nawet mógłby się włączyć. Wreszcie potrząsnął energicznie głową i lekko się poruszył w obawie, że ten szum ukołysze go do snu.

Z oddali dobiegł go hałas. Chłopiec miał dość czasu, by podejść do lorda Kripa i dotknąć jego ramienia. Thassa natychmiast odzyskał całkowitą świadomość, jakby tylko leżał z zamkniętymi oczami.

- Ślizgacz! - Faree poinformował myślami, jak gdyby mógł zostać podsłuchany przez wrogów, nawet z tak dużej odległości. Potem rzucił spojrzenie na południe, w kierunku tej wąskiej szczeliny, przez którą dotarli do tej doliny.

Lord Krip obudził lady Maelen i wszyscy troje nasłuchując, przybliżyli się do siebie. Samolot zdawał się dobrze znać trasę. Sądząc z coraz głośniejszego dźwięku, kierował się prosto nad jezioro i nic nie wskazywało, by krążył w poszukiwaniu drogi.

- W tył! - rozkazał lord Krip. Lady Maelen już zagłębiała się w krzakach, a Faree słysząc dźwięk ślizgacza, pomyślał, że mógłby to być jej głos, gdyby jeszcze raz spróbowała wykorzystać umiejętności Śpiewaka do spenetrowania gęstych zarośli. Wydawało się to bezużyteczne... może by zadziałało tylko w świetle trzeciego pierścienia... bo zobaczył, jak gałąź uderzyła ją w twarz i tylko dzięki temu, że zasłoniła się ręką, kolce podrapały jej przedramię, a nie oczy.

Byli na samym skraju lasu, a kamyki z tyłu nie stanowiły wyraźnej ścieżki. Jednak obcy mieli własne metody śledzenia, maszyny i przyrządy do wykrywania ściganych osób z niewielkiej odległości na podstawie ciepłoty ich ciała.

Ślizgacz kołował ponad jeziorem. Po chwili zawęził promień swojego lotu do samej wieży. Jeśli nawet członkowie załogi wiedzieli, gdzie ukryła się trójka uciekinierów, to wyraźnie chcieli dowiedzieć się czegoś więcej o budowlu, na którą się natknęli, gdyż samolot wykonał trzecie okrążenie. Potem zawisł nad wieżą i z otworu w kadłubie wysunęła się taka drabinka, z jakiej korzystał Faree podczas swojej ucieczki.

Schodził po niej jakiś mężczyzna, a drugi z gotowym do użycia laserem czekał przy otworze, by ubezpieczać swojego partnera podczas schodzenia. Wiszący na drabince musiał przedstawić jakieś propozycje, bo ślizgacz przesunął się trochę w przód i mężczyzna schodził obok dachu wieży na pokryty wzorami dziedziniec. Zniknął za murem i jego miejsce na drabinie zajął ktoś inny.

Dźwięk... nagły, ostry i ogłuszający... zagłuszył nawet rżenie silnika. Wtedy w górę uniosła się tęcza światła. Jakby cała wspaniałość trzeciego pierścienia buchnęła płomieniem.

- Nie! Nie patrz! - Dotarła do Faree myśl lady Maelen i posłuchał na wpeł świadomie, zasłaniając oczy ramieniem.

Poczuł ciepło pochodzące nie od światła słonecznego, lecz przypominające ból powodowany ogniem, jak gdyby dotknął dłonią rozżarzonego węgla. Pod wpływem tego gwałtownego odczucia jego skrzydła zadrżały. Gorąco, które uderzyło ich taką falą, musiało być dużo silniejsze na ogrodzonym dziedzińcu.

Faree usłyszał wrzask trwający zaledwie sekundę, który został stłumiony ogłuszającym, piskliwym dźwiękiem. Jakie miał szczęście ubiegłej nocy, że nie wpadł w tę samą pułapkę!

Żar utrzymywał się dość długo, lecz ów głośny pisk powoli cichł, a wraz z nim szmer ślizgacza, który po utracie dwóch członków załogi na pełnych obrotach wycofywał się znad wieży.

Do ukrytej pod drzewami trójki dotarł nowy zapach - nie kwiatów, które pachniały całą noc, lecz okropny odór palonego mięsa.

- Już ich nie ma - powiedział lord Krip. Faree zastanowił się, czemu sam nie spróbował ich odnaleźć myślami. Otaczającą ich pustkę łatwo było wychwycić.

- Wróć - dodał lord Krip po chwili. - Nie zostawiaj tego tak.

- Czy mają coś, co może odkryć szyfr? - spytała lady Maelen. - Słyszałeś o czymś takim?

- Nie. Ale to nie znaczy, że czymś takim nie dysponują. Gildia posiada dużo bogatszą wiedzę niż przeciętny Wolny Kupiec, jakim byłem ja. Krąży sporo opowieści o ich zdobyczach.

- Więc musimy zrobić, co się da. Jeśli ta rzecz, która jest tu strzeżona, znalazła się tu z woli dawnych Thassów, to nie może wpaść w ich ręce!

Wyczołgała się z cienia krzaków, które pozostawiły szkarłatne zadrapania na jej ramionach, i ponownie sięgnęła po obrazki wyjęte z lusterka. Skierowała uwagę z tych z dziedzińca na wzory odkryte przez Faree na dachu wieży. Przesuwała palcem wskazującym z jednego na drugi.

- Umieścili najwspanialszą broń na placu - powiedziała powoli. - Nie sądzę, by spodziewali się ataku z powietrza. Dlatego te wzory są dla nas ważne. - Jej palec znowu przesunął po obrazach, a ona znów nuciała, lecz nie tym leniwym, na wpół usypiającym tonem, który stanowił ich broń przy pokonywaniu dżungli.

- Nie możemy spróbować przed wschodem księżyca...

- Do tego czasu oni mogą wrócić z czymś, co otworzy wieżę jak muszlę kraba - przerwał jej Faree.

Skinęła głową.

- Racja. Czas im sprzyja. Ale nie wierzę, by Waga Molestera była tak przechylona na naszą niekorzyść, podczas gdy chcemy zachować ślady czasu i przestrzeni i nie odesłać ich w niebyt. Musimy przeczekać dzień, oszczędzać siły...

- Nie mogę zanieść was do wieży, a jest przecież jezioro do przebycia - zauważył Faree. Zastanawiał się, czy odważą się płynąć... czy umieją pływać. Sucha kraina, która wydawała się domem Thassów, chyba nie stwarzała możliwości opanowania tej umiejętności. Lord Krip był wcześniej Wolnym Kupcem i z pewnością też miał niewiele okazji do uprawiania tego sportu.

- Wiem - odpowiedziała zatroskanym głosem.

- Lina. - Lord Krip spoglądał w tył na dżunglę. - Jedna z tych lian, gdyby była dość mocna, albo splot z winorośli...

- One żyją - szybko odpowiedziała mu lady Maelen. - I to bardziej intensywnie niż inne rośliny, jakie wcześniej widywałam.

- Ale też umierają. - Pokazał dwa miejsca, gdzie obfita krągłość życia skurczyła się i były tam brązowawe pętle najwyraźniej martwe lub bliskie tego stanu.

- Czy martwe mogą protestować?

- Nie wiem - powiedziała szczerze. - Czy to takie ważne, ta twoja lina?

- To jedyny sposób, tak myślę, żeby dotrzeć do wyspy - odparł stanowczo.

Faree nie widział podstaw do takiego przekonania.

- Aha, cóż... - Wstała i podeszła do miejsca, w którym jedna z takich martwych pętli łączyła gałęzie drzewa. Powoli podniosła dłoń i położyła ją na brązowej powierzchni. Leciutko pociągnęła. Nic w sąsiedztwie nie poruszyło się ani nie próbowało jej ukarać za taką śmiałość. Maelen pociągnęła mocniej i zaczęła śpiewać swoją cichą pieśń. Po kilku chwilach łuk martwej winorośli był oderwany od gałęzi i leżał zaplątany na ziemi i częściowo na piasku plaży. Lord Krip natychmiast znalazł się przy nim. Lady przystąpiła do tych samych czynności z dwoma innymi pnączami i wkrótce wszystkie one leżały na plaży, ciągnąc się na długość większą od wysokości wieży, jak ocenił Faree.

- Liście. - Lord Krip wstał, skończywszy łączenie pnączy.

- Taki liść jak ten. - Znowu wskazał na krzak wyższy od siebie. Dolne liście tej rośliny, te wystające na plażę, też miały brązowe plamy, świadczące o ich umieraniu. Ich twarde, grube powierzchnie były tak wygięte, że przybrały kształt miski, i były tak duże, że mogły pomieścić człowieka. - Czy można by je też zerwać?

Lady Maelen podeszła do rośliny i uklękła przy niej. Znowu zaczęła śpiewać i Faree pomyślał, że mógłby rozszyfrować pragnienie. Potem pochyliła się, dotknęła dłonią obu stron liścia i spróbowała przyciągnąć go do siebie. Nic się nie poruszyło z wyjątkiem jej ciała. W każdym razie, tak jak w przypadku martwych winorośli, sama roślina nie zaatakowała. Wtedy przegniły koniec liścia poddał się tak nagle, że Maelen upadła w tył. Z odłamanego liścia sączył się czarny płyn o odpychającym odorze zgnilizny.

Po oderwaniu drugiego liścia z podobnej rośliny lord Krip zagonił wszystkich do pracy. Z twardych pnączy upletli jedną grubą linę. Gdy skończyli, lord spuścił jeden z długich liści na wodę i rzucił się na niego twarzą w dół, odpychając się od brzegu. Choć liść trochę się zanurzył pod jego ciężarem, to głowa i ramiona lorda pozostały nad wodą.

- To - wskazał na linę - dobrze przymocowane do skały, tam. - Jego szeroki gest wskazywał wyspę. - Można wykorzystać do przeciągnięcia nas przez wodę.

Faree pomyślał, że zbyt dużym zaufaniem obdarzają martwe rośliny, ale istniał cień szansy, że to się uda. Jego część zadania była prosta w porównaniu z tym, co

czekało Thassów. Co zrobią, jeśli ślizgacz wróci, gdy będą w wodzie?

Czul wielki respekt wobec mocy lady Maelen w świetle trzeciego pierścienia, ale to musieli zrobić już, a słońce prócz światła nic im nie dawało. Jednakże trzeba było spróbować.

Z końcówką liny przypiętą do pasa wzbił się w górę i przeleciał ponad jeziorem, kierując się prosto do skał przed murami dziedzińca. Na miejscu w pośpiechu przymocował koniec liny do najwyższej ze skał. Lord Krip musiał wejść do wody, by nie puścić drugiego końca, ale lina nie była za krótka. Faree mocno pociągnął, testując jej wytrzymałość.

Pierwsza ruszyła lady Maelen. Położyła się w zwiniętym liściu, obiema dłońmi ponad głową ściskając linę i przyciągając się do przodu. Na rwącej rzece nie miałyby szans, lecz posuwanie się po spokojnej tafli, choć zdawało się trwać wieki, wreszcie zostało pomyślnie zakończone i Faree poleciał z końcówką liny do czekającego Kripa.

Po raz drugi liść odbył ten niewiarygodny rejs i w końcu cała trójka stanęła przed murem otaczającym dziedziniec.

Rozdział 18

Faree przykucnął na szczycie muru. Starał się nie patrzeć na dwa powyginane i zwęglone ciała, leżące przed niewidzialnymi drzwiami. Niedaleko jednych zwłok leżał laser, który musiał wypaść z dłoni mężczyzny w chwili upadku. Czy dałoby się opaść na mały skrawek chodnika pozbawiony wzorów i zabrać go? Trudno było porzucić myśl o posiadaniu takiej broni. Faree odłożył linę, z którą tu przyleciał, i dał znak dwójce Thassów w dole, że odlatuje. Nim zdążyli się sprzeciwić, odbił się od muru.

Pofrunął na dół, nie bardzo pewien mocy swoich skrzydeł, lecz zżerany niecierpliwością, by zacisnąć dłoń na tej broni. Zniżył lot, oddychał nierówno, wyciągając ciało równoległe do ziemi. Udało mu się chwycić kolbę lasera i wznosił się wyżej, a potem ponad murem poleciał do lorda i Maelen. Wręczył broń lordowi Kripowi, który chętnie wyciągnął po nią dłoń. Teraz Faree zaczął się zastanawiać, czy jego ciężar na końcu liny będzie dostatecznym obciążeniem. Wreszcie podniósł linę i nie próbował przymocowywać jej do muru, lecz poleciał do wieży, gdzie zaczepił ją o jeden z wystających fragmentów konstrukcji. Potem powrócił na mury, gdzie wkrótce dołączyła do niego dwójka Thassów.

Lady Maelen położyła się i czołgała wzdłuż szczytu muru aż do chwili, gdy ujrzała wzór, który okazał się fatalną pułapką dla członków Gildii. Faree wyczuł jej obrzydzenie w stosunku do tego, co zobaczyła, ale wiedział też, że poczucie obowiązku nakazywało jej zbadać rodzaj tej pułapki - czy da się ją porównać z czymś, co wciąż jest znane jej ludowi.

- Wyzwolona siła - powiedziała powoli. - Po tylu setkach dziesiątek lat to, co zostało zastawione, zadziało.

- Jednak ja wylądowałem tu wcześniej i nic się nie stało - odezwał się Faree.

- Szczęśliwym trafem musiałeś dotknąć wzoru, który nie służy do obrony.

Chłopiec dokładnie przyglądał się wzorom. Tak, stanął na krawędzi purpurowego koła, kilka stóp od kwadratu z niebieskich falistych linii, na którym leżały zwłoki mężczyzny.

- Próbujemy przejść? - spytał lord Krip.

Lady Maelen palcem wskazującym wodziła w powietrzu po wzorach między nimi i po wąskiej krawędzi z surowego kamienia wokół fundamentów wieży.

- Nie wiem. Jest tam labirynt, łuk, podpowiedz szyfru. Lecz bez dokładnej wiedzy... - Przeniosła wzrok na dwa martwe ciała i zadrżała. - Oni wrócą - dodała, jakby myśląc na głos.

- Z taką siłą, że otworzą to miejsce - odparł lord Krip. - Może nawet wszystko to zniszczą.

Potrząsnęła głową.

- Za bardzo tego chcą. Czy też tego, co sądzą, że tu jest. Pamiętasz Sehkmet? Niektórzy z nich śledzili nas wierząc, że znajdziemy miejsce ukrycia skarbu, który oni potem zagarną. Teraz na świecie Thassów znaleźli to. Ich pierwsza porażka nie była wielka w ich oczach. Będą przygotowani na doprowadzenie sprawy do końca.

- Patrzcie. - Faree pociągnął z całej siły za sznur. - Czy możecie się na tym zawiesić i tak rozhuścić, żeby wylądować przy wieży, a potem się wspiąć?

Lord Krip wstał i przyjrzał się linie i wieży zmrużonymi oczami.

- Można spróbować.

Wyjął ją z dłoni chłopca, napiął mocno i skoczył. Wytrzymała. Lord ścisnął ją mocno. Poleciał na dół ponad zdradliwym chodnikiem tak nisko, że Faree wystraszył się, iż zawadzi stopami o kamienie. Gdy znalazł się u podnóża wieży, rozpoczął wspinaczkę. Stopami opierał się o mur, ramiona trzymał przed sobą uniesione jedno nad drugim i tak podciągał się po linie. Lady i chłopiec przyglądali mu się w skupieniu, póki nie znalazł się na dachu. Wtedy Faree skoczył w powietrze, na skrzydłach pokonał odległość między nimi, pochwycił koniec liny i przyniósł go lady Maelen.

Jeszcze raz chłopiec obserwował niebezpieczny, wahadłowy skok nad zwłokami, tym razem w wykonaniu lady. Potem mężczyzna z wieży wciągnął Maelen na szczyt, a Faree pofrunął tam, by ją powitać.

Dość długo opierała się o gzyms czekając, by oddech wrócił do normalnego rytmu, lecz cały czas wpatrywała się we wzory, które miała teraz jak na dłoni.

- Trzeci pierścień - powiedziała powoli. - To są bardzo stare oznaczenia... gdybym miała czas, może bym mogła znaleźć klucz do tej blokady. Ale podczas prób potrzebny jest Sotrath nad nami.

Lord Krip spojrział w niebo.

- Do tego zostało jeszcze wiele godzin. Oni mogą tu wrócić na długo przed wschodem trzeciego pierścienia.

- Musimy zaryzykować. Jeśli przybędą... - Lady wzruszyła ramionami.

- On przybędzie. - Faree był tego pewien. - Ich przywódca sam weźmie w tym udział.

Lord Krip skinął potakująco głową.

- Zdaje się, że musimy zaryzykować. Jeśli to jest zawodowy oficer, zapewni sobie uzbrojenie, zabezpieczy się przed kolejnymi stratami, takimi jak ci tutaj. I...

Nagle Toggor wrócił z miejsca na dachu, na które się wdrapał. Oczy na słupkach miał wysunięte do granic możliwości, a wzrok wbity w brzeg, z którego oni sami wcześniej nadeszli. Jeśli przechwycił tę wiadomość Faree, zrobili to też Thassowie. Za labiryntem roślin poruszał się wróg. Ci, którzy ścigali ich przez górę, byli teraz gotowi do wycięcia drogi przez splątany gąszcz.

- Tak - zgodziła się lady Maelen. - Jednak... - Ona również obróciła się, by stanąć twarzą do tej żywej bariery. Obie dłonie położyła na spiralnej linii jaskrawozielonych kamieni z żółtymi gwiazdami klejnotów. Przyklękła, ograniczając sobie w ten sposób widoczność, choć wciąż była zwrócona w tę samą stronę co Toggor.

- Zasilcie mnie! - rozkazała stanowczo. - Zasilcie!

Lord Krip ukląkł na jedno kolano. Jedną dłoń położył na jej ramieniu, drugą wyciągnął do Faree. Nie wiedząc, co jest do zrobienia, skrzydlaty człowiek opuścił się, dość niezgrabnie z powodu swych skrzydeł, lecz trafił dłonią w uścisk palców, które mocno ją pochwyciły.

Faree westchnął. Coś było wyciągane z jego ciała, przepływało do lorda Kripa, a potem prawdopodobnie do lady Maelen. Jej twarz wyrażała napięcie i wyglądała jak maska. Lady zaczęła śpiewać, najpierw tym samym niskim tonem, jakiego używała do przedarcia się przez dżunglę, a potem jej głos wszedł w wyższe rejestry, przybrał na sile, chwilami podzwaniał, zupełnie jakby uderzała w gong, a nie używała głosu. Śpiewała za dnia... czy moc bez księżycy odpowie?

Choć chłopiec ukląkł, by ująć dłoń lorda Kripa, widział w górze gzyms, o który otarł się plecami. Nagle jak gdyby chmura gradowa spuściła falę wiatru zamiast wody. Rośliny pochylały się. Faree widział, jak gałęzie się poruszyły, a winorośle powyginały. Niektóre wyglądały, jakby się rozplatały i wymachiwały oswobodzonymi końcówkami w powietrzu, chwiejąc się niczym głowy pokrytych łuskami stworzeń. To dzikie falowanie odbywało się w dwóch kierunkach. Chłopiec pomyślał, że może nawet zauważyć kawałki liści i pnączy, które wyzwoliły się i unosiły gnane tym wiatrem znikąd.

Faree poczuł, jak opuszczają go siły. Coś, czego istnienia nawet nie podejrzewał, tętniło i przeszywało jego uścisk dłoni z lordem, by wspierać tę desperacką pieśń. Chłopiec położył drugą dłoń na gzymsie, gdzie siedział Toggor. Teraz dopiero zauważył, że smaks kołysze się w przód i w tył, uderzając większymi łapami o siebie częściowo w rytm pieśni.

Przez jakiś czas brzmiała ona głośno i jednostajnie, potem jej tempo zaczęło stawać się wolniejsze. Faree widział krople potu spływające po policzkach lady Maelen, czuł jej wolę i determinację, by wytrwać. Po chwili jednak siły ją opuściły. Zachwiała się i byłaby upadła, gdyby lord Krip jej nie pochwycił. Puścił w tym celu dłoń Faree i szybko przysunął się, by lady mogła się oprzeć. Z jej ust wydobył się ostatni fragment pieśni, niewiele głośniejszy od szeptu, po czym z zamkniętymi oczami, ciężko dysząc, Maelen opadła w objęcia lorda Kripa.

Wiatr ucichł i ustał wszelki niepokój. Chłopiec usiłował wyłowić tę pustkę, oznaczającą wrogów z polami ochronnymi. Tam! Dosięgną! jednego... szybko szukał dalej, lecz wyglądało na to, że innych nie ma. Toggor skulił się i wciągnął słupki oczu, tak jak to robił, gdy potrzebował odpoczynku.

Odpoczynek! Faree oparł się bokiem o kamień. Skrzydła trzymał złączone i zwinięte. Czuł ból głowy, a wewnątrz pustkę. Był teraz tak pusty, jakby został wyciśnięty przez jakąś olbrzymią dłoń i odłożony na bok bez życia.

Jak długo to trwało? Nie potrafiłby stwierdzić. W jego umyśle odezwało się słabe kołatanie, że znowu trzeba przygotować się na niebezpieczeństwo śmierci z nieba. Jednak Faree chyba się zdrzemnął, bo z tego miejsca nicości wyrwał go nagle uścisk dłoni, po którym lord Krip wsunął mu w dłoń coś do jedzenia. Porcja była sucha i bez smaku, ale chłopiec posłusznie przełykał przydzielone mu kęsy.

Słońce nie paliło ich już, lecz śpieszyło po niebie w stronę czerwonych chmur zachodu. Lady Maelen siedziała i obracała głowę tak, jakby zbudziła się z głębokiego snu i nie mogła poznać, gdzie jest. Po chwili jej oczy były całkiem trzeźwe, a ona sama uśmiechnęła się.

- Niechaj Sotrath wzejdzie-powiedziała powoli.-Wtedy zobaczymy, czy nadal brak mi umiejętności, by zrobić to, co ma zostać zrobione. W każdym razie dzisiaj uczyniłam więcej, niż przypuszczałam, że jest możliwe. To jest naprawdę miejsce mocy.

- Jak to brak! - wybuchnął lord Krip. - Gdy się obudziłaś, las dzwonił...

Jej uśmiech stał się wyraźniejszy.

- Tak. Dokonałam tego. Wciąż jestem Śpiewaczką.

- Jedną z najlepszych! - powiedział lord Krip z naciskiem.

- Niech teraz spróbują odmówić ci tego prawa.

- Ciii! - Położyła dłoń na jego ustach. - Robię, co mogę, ale niesłuszne jest uznawanie tego za mistrzostwo. - Wyciągnęła się, by dotknąć ułożonej z kamieni linii, umieszczając palec na każdym kamyku. - To, że wreszcie po tylu próbach to nam odpowiedziało... to nie moje mistrzostwo, ale tych wspaniałych, którzy to tu zostawili.

- A pościg? - wymamrotał Faree ustami pełnymi okruszyn.

- Ich o to spytaj. - Wskazała na las. - Są większą barierą, niż przypuszczałam.

Patrz!

Tym razem wskazywała niebo na wschodzie, gdzie niczym kurtyna zapadał zmierzch. Na niebie pojawił się zarys czegoś błyszczącego, do czego chłopiec poczuł wielki szacunek. Oto wschód trzeciego pierścienia... nadchodzi czas najwyższej mocy Thassów!

Chłopiec miał wrażenie, że zmrok zapadł szybciej niż zwykle.

Jak gdyby pragnienie lady Maelen miało moc przywołania Sotratha i pierścieni księżycy. Jednak ona nie spoglądała na niebo, lecz przebiegała dłońmi po spiralnej powierzchni jednego wzoru i zawitych liniach innego, jakby dotykiem mogła odkryć to, czego szukała, szybciej niż za pomocą wzroku. Może do tej pory tak było. Tak samo jak wybrała kamienie do potarcia, gdy śpiewem pozyskała współpracę lasu, tak teraz wreszcie usadowiła się w odległym końcu dachu i gestem kierowała dwójkę przyjaciół ku niewidocznej granicy obok gzymsu. Sama uklękła i pochyliła się do przodu tak, że rękami objęła rząd trzech zielonkawych kamieni, które błyszczały tym mocniej, im wyżej wznosił się trzeci pierścień.

Jeszcze raz Maelen zaczęła śpiewać - tym razem nie było to ciche nucenie bez słów, lecz pieśń akcentująca niektóre sylaby niczym uderzenie w bęben. Ten dźwięk ogarnął Faree i chyba też lorda Kripa, bo chłopiec zauważył, że jego dłonie zaciskają się i rozluźniają w rytm słyszanej melodii.

Faree zaczynał wierzyć, że ona istotnie jest w stanie dokonywać wielkich czynów za pomocą samego głosu. Widział już raz czy dwa na Obrzeżach, jak dźwięk tłucze kryształy, gdy zręczni handlowcy popisywali się swoimi umiejętnościami. Czemu więc ktoś taki nie mógłby utrzymać rezonansu głosu na odpowiedniej wysokości i nie zostać przezeń przesuniętym jak zamek kluczem włożonym do

odpowiedniego otworu?

Nim Sotrath pokazał się na horyzoncie wraz z łukiem trzeciego pierścienia lśniącym tęczą barw z dziedzińca, lady rzeczywiście osiągnęła to, co zamierzała. W jej śpiew wdarł się inny dźwięk i ciemny zarys otoczył dużą część dachu przed nią.

Jej głos osiągnął wysokie tony triumfu, a wytyczony obszar został wessany w dół poza zasięg ich wzroku.

Faree krzyknął i złapał się za głowę. Nagle jego umysł przeszył blask czy też trzask obrazów i dźwięków, miejsc i osób, poczuł, jakby jego głowa miała się otworzyć, a on nie był w stanie nic na to poradzić. Lord w podobny sposób zgiął się niemal w pół, jakby zatoczył się od silnego ciosu i również zasłonił dłońmi uszy. Lady Maelen wciąż była nisko pochylona, z twarzą ściągniętą w dziwnym grymasie. Jej ciało było sztywne, jakby stawiało opór.

Było tak, jakby ruszył na nich cały świat cudzych myśli. Faree walczył, usiłując wzniesć w swym umyśle mur, za którym mogłoby znaleźć schronienie to, co było nim samym.

Spodziewał się przybycia zagniewanych Thassów lub im podobnych, nadchodzących przez drzwi, tych, których lady Maelen wzywała śpiewem do obrony. Cały czas jednak widział tylko ciemność pod ich stopami, gdzie nic się nie ruszało ani nie wspinało, by do nich przyłączyć.

Mur! Myśleć o murze! Skrzydła Faree poruszyły się bez udziału świadomości i nagle znalazł się w powietrzu - na nocnym niebie, ponad szczytem wieży. Te setki, tysiące myśli, choć nieco przytłumione, wciąż go atakowały. Myślał o murze, barierze tak szczelnej, by nic się przezeń nie przedostało. Gdy tak krążył na skrzydłach ponad wieżą, nie chcąc opuszczać tych dwojga, którzy nie mieli możliwości podobnej ucieczki, wiedział, że strumień myśli traci moc, że pozostała już z niego tylko strużka.

Lady Maelen wstała, lecz lord Krip pozostał skulony i kiwał głową na boki, jakby siła tej burzy myśli uderzała go następującymi po sobie falami. Maelen wyciągnęła do przodu lampę, która przeprowadziła ich przez górę. Jej światło przyciągnęło wspaniałość pierścienia, aż powstała wielka kula ognia, z którą w wyciągniętej ręce zbliżyła się do otworu i zajrzała w czeluść pod stopami.

Faree nie potrafił wyobrazić sobie, co tam ujrziała. Gdy obserwował jej przygotowania do zejścia w tę otchłań, obniżył lot, zdecydowany pochwycić ją, nim zostanie pochłonięta przez to kłębowisko komunikacji myślowej. Nie zdążył jednak i pomimo swego oporu znowu znalazł się w zasięgu tego wiru. Obrona przed tym

sprowadziła go na krawędź gzymsu, gdzie potrząsając lordem Kripem, próbował nakłonić go do działania.

Wyglądało na to, że lord również znajdował się jeszcze w mocy niewidzialnego sztormu, który rozpętali. Pojękiwał cicho, a gałki oczne tak powywracał, że widoczne były tylko białka.

Gdyby Faree mógł udźwignąć ciało lorda, uniósłby go i odsunął od tych niebezpiecznych, otwartych drzwi. Jednak mógł tylko stać przy nim i próbować tworzyć własny myślowy obraz muru wzniesionego przeciwko tej fali.

Z otworu wydobyło się światło. Chłopiec stwierdził, że nie da rady tam wejść, nawet ze spokojnym umysłem. Otwór nie był wystarczająco duży, by pomieścić jego skrzydła, choćby nie wiadomo jak je zwijał. Lecz pozostawić lady Maelen samą w takim miejscu! Niecierpliwie potrząsał lordem Kripem, aż tamten zaczął kiwać głową w przód i w tył. Wtedy Faree poczuł, że lord zaczyna odzyskiwać świadomość i po chwili oczy mężczyzny spoglądały na niego.

- Te... u.. .umysły - wyjąkał. - One są...

- Czy w takim miejscu może być wojsko? - zapytał Parce.

- Skąd to wszystko pochodzi?

- Wspomnienia, wszystkie myśli... całej rasy! - Lord Krip wyprostował się i Faree puścił go.

- Ona poszła... tam na dół! Nie mogę iść za nią. Czy ty możesz? - spytał Faree.

- Nie teraz. Jeśli się rozluźnię... zginę.

Obaj przyczołgali się do zapadni, pragnąc zobaczyć, co leży w dole. Czy ta fala komunikacji myślowej, budowana przez pokolenia, mogła zostać tak nagle wyzwolona bez żadnych konsekwencji, tego Faree nie wiedział, lecz czuł, że napór na jego mentalny mur był mniejszy niż poprzednio. I teraz chłopiec widział.

Lady Maelen stała pod niską drabiną, a jej ciało otaczał blask świetlistej kuli... Może to była jej broń.

Wokół niej były jakieś półki, pozostawiające niewielką przestrzeń tam, gdzie lady znalazła wejście. Owe półki wypełnione były licznymi bryłami, które pulsowały barwami tęczy rażącymi oczy niemal z taką siłą, z jaką fala komunikacji myślowej prawie stłumiła inne ich zmysły. Szkarłat, jaskrawy pomarańcz, zieleń w pięciu lub sześciu ostrych odcieniach, podobnie niebieski - od fioletu do purpury. To było wręcz niewiarygodne.

Ona po prostu tam stała. Jej głowa powoli przechylała się z boku na bok, twarz wyglądała jak maska, w której nie poruszały się nawet oczy... jak u kogoś, kto idzie śpiąc.

Nim któryś z nich zdążył się poruszyć, Maelen przełożyła kulę światła do lewej ręki, a prawą wyciągnęła w kierunku jednej z półek.

- Nie! - krzyknął lord Krip, a Faree miał ochotę za nim powtórzyć. Jednak nawet jeśli to usłyszała, ów protest nie miał dla niej żadnego znaczenia. Jej palce zacisnęły się na sześcianie lśniącym zielenią. Wyciągnęła go spośród wielu podobnych powciskanych na półki i podniosła do oczu. Przyglądała mu się, jakby nie tylko zobaczyła, ale i usłyszała w jego wnętrzu coś, co wprawiło ją w zdumienie. Wreszcie szybkim ruchem odłożyła bryłę z powrotem, zwróciła się w stronę drabiny i w pośpiechu wspięła się do dwójki przyjaciół.

Światło trzeciego pierścienia padało na jej połyskujące włosy, jasną skórę, a ona wciąż poruszała się jak w transie. Lord Krip wyciągnął do niej dłoń, gdy tylko znalazła się w zasięgu jego ręki, i podciągnął ją w górę, jakby czuł się w obowiązku wydostać ją z niebezpiecznej pułapki.

Nie próbowała wywinąć się z jego uścisku, lecz obróciła się wraz z nim. Wzniosła glob ku trzeciemu pierścieniowi, po czym obniżyła go, by skierować wiązki światła na kamienie, których użyła do otwarcia drzwi. Jej śpiew brzmiał czysto w powietrzu nocy, a rytm niezrozumiałych słów stawał się coraz szybszy, jakby chciała nadrobić stracony czas.

Tak jak poprzednio ten otwór się otworzył, tak teraz się zamknął. Dopiero wtedy Maelen spojrzała na nich dwóch przytomnym wzrokiem.

- Na dół. Musimy zejść na dół. Na dziedziniec! - Odepchnęła się od lorda Kripa i pokazała na ten zdradziecki chodnik w dole.

- To jest pułapka. - Faree przemógł się, by jeszcze raz spojrzeć na dwa zwęglone ciała.

- Tak - zgodziła się. - I musi zostać ponownie zastawiona... na większą zdobycz! To musi zadziałać, na moc trzeciego pierścienia!

Opuścili się po linie z pnączy. Lady dała lordowi znak, by czekał, i wskazywała niektóre linie wzorów.

- Idź tak i tak. - Pokazywała. - Dotrzyj do tamtego muru i na górę. Możemy mieć bardzo mało czasu. Tamci nadejdą. - Brzmiało to tak, jakby wiedziała coś, czego im nie powiedziała.

Lord Krip chwilę wpatrywał się w nią zdumiony, a potem zrobił wszystko, co kazała. Faree pofrunął, by zorganizować trasę ucieczki. Tym razem przywiązał linę do twardej skały przy brzegu, a drugi jej koniec zaniósł na dziedziniec. Jednak lord Krip cofnął się tylko do muru.

Lady Maelen znowu śpiewała. Nie zbliżyła się do tej części wzorów, gdzie leżały ciała intruzów, lecz szła w przeciwną stronę, uważnie stawiając stopy i śpiewając tę samą pieśń, której użyła do zamknięcia drzwi na górze. Trzykrotnie otoczyła wieżę i za każdym razem Faree czuł się bardziej zagrożony. Czuł, jak Toggor mocno się do niego przytula, i strach smaksa udzielał się też jemu.

Wtem, stanąwszy na jednym ze wzorów, lady Maelen ruszyła biegiem w ich stronę. Lord Krip chwycił ją i podniósł nieco w górę, by mogła zacisnąć dłonie wysoko na linie z winorośli. Sam był dość daleko za nią, gdy wspinała się i ześlizgiwała na dół po przeciwnej stronie muru.

- Zrobione - sapła, jej ciało opływało potem, twarz była wycieńczona. - W ostatniej chwili... te skały... tam... schowajcie się...

Nie musiała ich ostrzegać. Sami już usłyszeli warkot ślizgacza w powietrzu i zobaczyli poruszające się światła jak oczy olbrzymiego owada lądującego w dolinie tak pewnie, jakby już wcześniej tędy przelatywał.

Przywarli brzuchami do ziemi, osłonięci skałami. Faree ścisnął skrzydła najmocniej, jak potrafił. Ślizgacz w dalszym ciągu się zbliżał.

- Oni coś wiedzą - powiedziała lady Maelen. - Na pewno nie przylecieliby, gdy lśni trzeci pierścień. Ale przecież nikt z Thassów się z nimi nie zadaje. Jaką tajemnicę zdradzono, że polują z takim zapalem? - Pytanie to skierowała jakby do świata poza murami.

Nad nimi zawisł pojazd powietrzny. Tym razem dwie osoby z jego wnętrza opuściły się nie na dziedziniec, lecz na szczyt wieży. Przynajmniej tego nauczyła je poprzednia, nieudana próba.

- Tak. - Lady Maelen odezwała się szeptem, a potem dodała: - Teraz, niech to będzie teraz!

Tego, co działo się potem, Faree nigdy nie potrafił odtworzyć w pamięci. Zupełnie jakby promienie trzeciego pierścienia obudziły do życia każdy kamień, z chodnika buchały wiązki surowych, rażących wzrok barw. Nie tylko w mężczyzn, którzy wylądowali na dachu, lecz tak wysoko w górę, że aż docierały do ślizgacza. Chłopcu wydało się, że słyszy krzyki... nie mógł się jednak upewnić, gdyż wszystko

to działo się zbyt szybko.

Wiązki światła z kamieni przypominały płomienie, które zaczęły lizać samolot i ściągać go w dół, w samo serce ognia. Wtem cała wieża zatrzęsała się i zapłonęła. Faree nie miał odwagi więcej na nią spoglądać. Ona... stopniała! W żaden inny sposób nie da się opisać tego, co się stało, jej boki bowiem stały się miękkie jak wosk na słońcu i w postaci kropel zaczęły odpadać na zewnątrz, choć nie wydostawały się poza mur dziedzińca. Wieża stopiła się i zniknęła. Jedynym źródłem światła pozostał trzeci pierścień. Z miejsca, w którym leżała lady Maelen, dobiegał szloch. Lord Krip zbliżył się do niej i objął ją ramionami.

- Oni... nie żyją - wymamrotała. - Są martwi, a wraz z nimi cała ich wiedza. To już druga śmierć i to ja. ..ja ją sprowadziłam!

Faree odparł:

- Ale oni byli z Gildii i...

- Nie z Gildii, tamci zginęli z własnej chciwości. To były... dawne wspomnienia... te przechowywane na wypadek, gdyby Thassowie ich jeszcze potrzebowali. Ale miały swoje zabezpieczenia i ja je uruchomiłam. Nie rozumiecie. Byliśmy kiedyś tak potężnym ludem, że ani Gildia, ani nikt inny spoza naszego świata na nas nie nastawał. Potem postanowiono, że pójdziemy inną drogą. Byli jednak tacy, którzy uważali, że nie powinno się niszczyć całej wiedzy. Wzniesli więc tę wieżę pamięci i zamknęli tu wszystkie wspomnienia... całą wiedzę czasu, którego nie da się zliczyć latami ani pierścieniami Sotratha. Wszystko to przepadło... przeze mnie! - Rozpłakała się na dobre. Jej głowa opadła na ramię lorda Kripa.

Ponownie stali w tej wielkiej sali, którą po raz pierwszy Faree widział zaraz po wylądowaniu na Yktor. Lady Maelen na przedzie, z dumnie uniesioną głową spoglądała na przywódców swojego ludu. Odbyło się już czytanie myśli, po którym właśnie Maelen nalegała na przeprowadzenie sądu. Pierwsza przemówiła starsza z kobiet.

- Zawsze chodziłaś własnymi drogami, Maelen. I zawsze sprowadza to nieszczęścia i rozpacz. Tak więc nie ma już wielkich wspomnień. Cóż, nie można ich przywrócić. Ani... - mówiła teraz wolniej. - Skoro są tacy, którzy chcieliby je źle wykorzystać, nie możemy tego pragnąć. Jednak mówimy ci to już po raz drugi, nie ma dla ciebie miejsca przy trzech czy też dwóch pierścieniach. Nie jesteś już Thassem, lecz czymś innym... nie wiemy czym. Ani nie możesz wsunąć się w powłokę naszego

ludu. Przybądź do nas, jeśli chcesz, ale nie myśl o pozostaniu... bo jest w tobie coś, co nie da się dopasować do naszego życia, podobnie jak nie można zwinąć kwiatu z powrotem w ciasny pęk. Nie wyganiamy cię...

- Nie - powiedziała powoli lady Maelen. - Sama to zrobiłam. Jestem wdzięczna, że się ode mnie nie odwracacie.

- Jest jeszcze to... - Kobieta wyciągnęła różdżkę, którą podał jej jeden z mężczyzn.

- Nie, to też zostawiam. Nie jestem już Księżycową Śpiewaczką.

Wyśpiewałam śmierć przeszłości...

- Zrobiłaś to, co wydawało ci się słuszne. Ale masz rację, różdżka nie należy do twojej przyszłości. Masz swoją własną mądrość. Dokąd teraz się udasz?

- Ku gwiazdom!

- A wrogowie, którzy cię ścigali?

- Może żyją, może nie. Ale to kwestia przyszłości...

- A ty, Kripie Vorlundzie?

Lord uczynił jeden krok do przodu i zrównał się z Maelen.

- Dokąd zdąża ona, tam i ja.

Starsza skinęła głową i przeniosła wzrok na Faree, którego skrzydła rozwinęły się i ukazały całą swą błyszczącą urodę.

- A ty, mały bracie?

Faree wciągnął głęboko oddech i wypowiedział to, co przyszło mu do głowy w owej chwili, gdy te wspaniałe skrzydła przełamały jego brzydotę.

- Odszukam mój świat...

- Niech tak będzie. Życzymy wam trojgu powodzenia. Zrobiliście, co miało zostać zrobione... nie wspominajcie tego jako zła. Czas płata nam figle na różne sposoby. Dajemy wam czas, niechaj będzie waszym przyjacielem i niechaj wam dobrze służy. Faree rozłożył i złożył skrzydła, po czym uniósł wysoko głowę. Czas... zawsze jest przed nami, chociaż człowiek może uchwycić tylko chwilę teraźniejszą. On sam będzie miał swoją wybraną teraźniejszość - zgodnie z obietnicą. Nagle poczuł na dłoni uścisk lady Maelen i zdał sobie sprawę, że jego czas będzie też ich czasem. Po raz pierwszy w życiu poczuł zadowolenie.